www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 24 (910)
12-18.06.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Andrzej Rychard
Ludzie potrzebują trzeciej siły

Strach być sędzią
na **Ukrainie**

CO BY TU JESZCZE WYRWAĆ

REPRYWATYZACJA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
24 >
9 771509 311706

eprasa.pl 24736a12dd

Pomóż PRZEGLĄDać innym!

Nie zbieramy lajków, zwiększamy zasięg rzetelnych informacji

Weź udział w akcji i zainspiruj swoich znajomych.
To proste! Wystarczy, że na swoim profilu na Facebooku wstawisz zdjęcie, na którym czytasz PRZEGLĄD, i oznaczysz je #czytamprzegląd.
Najciekawsze zdjęcia opublikujemy na naszym Facebooku oraz wydrukujemy. Mamy też upominki książkowe. W zabawie mogą brać udział wyłącznie osoby, które polubiły nasz profil.

Nie przegap okazji!
Wyrusz w wakacyjną podróż z PRZEGLĄDEM i opublikuj zdjęcie.

Pochwalcie się i pokażcie się nam na Facebooku.
Miło nam będzie Was zobaczyć ♥

Bądźmy w kontakcie **Newsletter**

eprasa.pl 24736a12dd

CYTATY

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI, PSYCHOLOG OSOBOWOŚCI
Mądrzy są smutniejsi.
„Charaktery”

EWA SIEDLECKA, PUBLICYSTKA
W miarę postępu rewolucji walka z sądownictwem się zaostrza.
„Polityka”

OLAF LUBASZENKO, AKTOR, REŻYSER
Szacunek do innych i do świata powinien się zaczynać od szacunku dla samego siebie.
„Angora”

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ, SEKSUOLOG
Dziś Polacy są mniej aktywni seksualnie niż w czasach PRL.
„Polska The Times”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

OC na Sadurską

Po Misiewiczu Sadurska. Kolejny polityk dostaje stanowisko, na które kompletnie się nie nadaje. Skierowanie Sadurskiej do PZU jest nie do obrony. Nie ma żadnego argumentu, który by usprawiedliwiał taką hucpę. Sadurska nie ma fachowej wiedzy wymaganej w PZU już od starszych specjalistów. Brakuje jej jakiegokolwiek doświadczenia z pracy w biznesie, nawet umiejętności zarządzania zespołami. Bo dwa lata kierowania kancelarią Dudy pokazują, że tylko desperat może jej powierzać bardziej odpowiedzialne zadania. PiS jest takim desperatem, ale Polacy korzystający z usług PZU na pewno na taką zmianę nie czekają. Po podwyżkach opłat za OC i przy ciągłych kłopotach z egzekwowaniem odszkodowań klienci PZU czekają na fachowców i skutecznych menedżerów. Zamiast poprawy doczekali się Sadurskiej. Czyli kogo? Kogoś, kto tak gorliwie i bez szemrania wykonywał najgłupsze pomysły partii, że zasłużył na nagrodę. Był nią awans na szefową Kancelarii Prezydenta. Miała tam za zadanie pilnować Dudy. Była łącznikiem między prezesem i partią a Dudą. Obie role ją przerosły. I w końcu nikt nie był z niej zadowolony.

Prezydent budował swoją kancelarię tak, by nikt go nie przyćmił. Co skutkowało tabunem bezbarwnych i bojących się własnego cienia biurokratów. A to, że Sadurska nawet w takim zespole nie potrafiła się wyróżnić, najlepiej pokazuje jej nienachalną charyzmę. Nic dziwnego, że od Dudy musiał odejść Marek Magierowski. Bo już na pierwszy rzut oka widać było jego przewagę w myśli i w prezencji nad Dudą.

Sadurska, przechodząc do PZU, dołączyła do tych polityków PiS, którzy już wiedzą, że eldorado się kończy. Że prawdopodobny jest powrót na twarde ławy opozycji.

Politycy w takiej sytuacji rozpoczynają szturm na co lepsze posady. Idee i piękne słowa przekazywane ludowi ustępują potędze pieniądza. Niewielu potrafi się oprzeć pokusie zarabiania w miesiąc tyle co pięciu rodaków przez cały rok.

Zmieniały się rządy i każdy tak udoskonalał swoje działania, by jak najwięcej swoich dostało jak najlepsze posady. I tak doszliśmy do „dobrej zmiany”. PiS postawiło kropkę nad i. Nie ma już żadnych zasad ani kryteriów fachowych. O tym, kto kim będzie, decyduje wola kierownictwa partii. Przypadek Sadurskiej jest modelowym pokazem takiej buty i bezczelności. Robimy, co chcemy. A jak zechcemy, to na prezesa powołamy misia koalę. I co nam zrobicie?

Na początku urzędowania u Dudy Sadurska zablokowała dostęp do naszej strony internetowej. Bezprawnie i bezrozumnie. Jaśnie pani miała po prostu taki kaprys. Ciekawe, kto miał kaprys, by wysłać ją do PZU?

FAUL

Każde dziecko na wykrywacz kłamstw

Tęga główka musiała to wymyślić. Do zdobycia był certyfikat „Prawdomównego Dziecka”. Premier zaprosiła dzieci z okazji ich święta do zabawy w ogrodach kancelarii. Ministerstwa postawiły tam namioty, w których pokazywały dzieciom swoje atrakcje. Rozczuliła nas pomysłowość ludzi Ziobry. I chyba pięcioletnia Michalina, którą smutny pan z resortu sprawiedliwości przebadał na wykrywaczu kłamstw. Dziewczynka z palcami podłączonymi do wariografu rezolutnie odpowiadała na pytania. Podchwytliwe pytania smutnego pana. Udało się. Dostała certyfikat. A w nagrodę mogła przymierzyć mundur Służby Więziennej.
Jak ludzie Ziobry się rozkręcą, to w przyszłym roku będzie można użyć paralizatora. Jakiś gość z „drugiego sortu” zawsze przecież się znajdzie, by na nim poćwiczyć.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 24736a12dd

W NUMERZE

KRAJ

8 **Prężenie cherlawych muskułów**
– rozmowa z prof. Andrzejem Rychardem

11 **W duchu srebrnej gospodarki**

32 **Plamy na todze**
Kto krył adwokata z Olsztyna?

38 **Takiego porwania nigdy się nie zapomni**
– rozmowa z Jerzym Dziewulskim

PUBLICYSTYKA

12 **Co by tu jeszcze wyrwać?**
Dość rozdawania majątku narodowego

16 **Szósty raz w Nowym Jorku**
Polska w Radzie Bezpieczeństwa ONZ

ZAGRANICA

20 **Ciężki czerwiec pani May**
Wielka Brytania – zwieszony parlament

24 **Wyjście Trumpa**
Korespondencja z Berlina

28 **Ukraińskie sądownictwo bez sędziów**
Ponad połowa nie piastuje urzędu

OPINIE

27 **Tadeusz Iwiński**
Australijskie fantazje marszałka Senatu

34 **Przemysław Prekiel**
Nie delegalizować ONR!

HISTORIA

36 **Zniesławić legendarnego pilota**
Gen. Skalski już nie może się bronić

KULTURA

44 **Polskich filmów w Rosji nie ma**
Korespondencja z Moskwy

48 **Uczciwie jest pisać o tym, co się zna**
– rozmowa z Zośką Papużanką

52 **Kiepski interes żyć długo**
Fragmenty książki Tomasza Jastruna

54 **Qulturalia**

66 **Ćwiczenia z oswajania**

OBSERWACJE

56 **Panda wielka – odrodzona**

SPORT

58 **Piłkarska wiosna dla Legii**
Koniec wojny prezesów

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
OC na Sadurską

19 **Bronisław Łagowski**
Polscy migranci

23 **Roman Kurkiewicz**
Policjo, cóżeś ty za pani?

31 **Jan Widacki**
Naprawiać wymiar sprawiedliwości

43 **Edward Mikołajczyk**
Gdybym był królem

47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Podstępna roślina

51 **Tomasz Jastrun**
Polityczny trupizm

24
ZAGRANICA
WYJŚCIE TRUMPA
Korespondencja z Berlina

48
KULTURA
UCZCIWIE JEST PISAĆ O TYM, CO SIĘ ZNA
– rozmowa z Zośką Papużanką

56
OBSERWACJE
PANDA WIELKA
– odrodzona

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. KRZYSZTOF ŻUCZKOWKI

eprasa.pl 24736a12dd

Czy czeka nas powszechny pobór do wojska?

Dziś służba wojskowa sprowadza się nie do obrony ludności i struktur państwa przed zewnętrznym zagrożeniem, lecz do ochrony interesów korporacji i ambicji międzynarodowego establishmentu. Wszystkie wojny, które dziś się toczą, są prowadzone dla jego korzyści. Dlaczego za te interesy mają ginąć młodzi chłopcy?

Marek Głowinkowski

•

Powszechny pobór, wielkie zakupy broni, wyjście z Unii Europejskiej i epokowy pakt z Łukaszenką o wzajemnej pomocy militarnej… Przy niedostatkach umysłowych tej ekipy, jątrząco-zaczepnej dyplomacji, edukacji odwróconej od rozumu i stale postępującej faszyzacji elektoratu mogą powstać naprawdę prześmieszne scenariusze. *Halina Zalewska*

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

JELENA CZYŻOWA
„Radziecka kobieta"? A co to właściwie znaczy?

NASTOLATKI W INTERNECIE
Zabawy, o których byście nie pomyśleli

NASZYM CELEM BYŁA AL-KAIDA
Wspomnienia byłego dyrektora CIA

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wyjazdowe posiedzenie Rady Gabinetowej? Uroczystości 100. rocznicy objawień fatimskich, msza z okazji jubileuszu w Sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej w Zakopanem. 6 czerwca, wtorek – dzień posiedzeń rządu.

FOT. MICHAŁ OSTASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 24736a12dd

★ **17,5 mln turystów zagranicznych** przyjechało do Polski w 2016 r. Najwięcej (po 3 mln osób) odwiedziło województwa **małopolskie** i **mazowieckie.**

★ **Warszawska Parada Równości.** Dopisali uczestnicy i politycy prawie wszystkich partii opozycyjnych. **Nie było tylko Kukiz'15 i PSL.** Pozostali rozumieją znaczenie związków partnerskich dla kilku milionów Polaków, którzy muszą mieć równe innym prawa obywatelskie.

★ **Paweł Łysak,** dyrektor warszawskiego **Teatru Powszechnego,** nie uległ podgrzewanym przez polityków protestom nacjonalistów i **spektakl „Klątwa"** jest grany zgodnie z planem repertuarowym teatru.

★ Według **rankingu urzędów skarbowych 2017** organizowanego przez „Rzeczpospolitą" najbardziej przyjazne urzędy są w **Radomiu** i **Jeleniej Górze** (duże), w **Tomaszowie Lubelskim** (średnie) i w **Miechowie** (małe).

★ Po **Legionowie** i **Nieporęcie** przeciwko włączeniu do metropolii warszawskiej opowiedzieli się mieszkańcy **Ożarowa Mazowieckiego** i **Podkowy Leśnej.**

★ **Mariusz Czubaj,** autor powieści „R.I.P.", otrzymał **Nagrodę Wielkiego Kalibru** podczas Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu.

★ Polska stała się **potentatem na rynku gier komputerowych.** Jest on już wart 1,9 mld zł, o 13% więcej niż w 2015 r.

✖ **Małgorzata Sadurska,** była szefowa Kancelarii Prezydenta, po sukcesie, jakim było zablokowanie pracownikom dostępu do strony internetowej naszego tygodnika, dostała złotą posadę. Tak się nadaje do tej pracy, jak jej były szef na prezydenta.

✖ Minęły dwa lata od wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zrzeszania się w **związkach zawodowych osób zatrudnionych na umowach-zleceniach i samozatrudnionych.** Rząd PiS nie wprowadził tego wyroku w życie. Hipokryzja czy coś gorszego?

✖ **Ministerstwo Obrony Narodowej** planowało, że w maju będą istniały **trzy brygady Wojsk Obrony Terytorialnej** z 3 tys. ochotników, co miało kosztować w tym roku 630 mln. Fakty są zaś takie, że ochotników jest 800, a koszty WOT przekroczą 1,1 mld zł. Skala bałaganu w MON przechodzi ludzkie pojęcie.

✖ **Tworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej** idzie jak po grudzie. Ale jest wyjątek. Wyjątkowo sprawnie zorganizowano grupę kapelanów. W diecezjach trwa **nabór 70 kapelanów,** którzy ze stopniami oficerskimi trafią do batalionów WOT. Biorąc pod uwagę kwalifikacje tej formacji, posługa duchowa może być w cenie. A i księża sobie dorobią.

Sprostowanie

Nieprawdziwa jest wiadomość opublikowana na łamach tygodnika Przegląd w dniu 27.3.2017, jakoby Sąd Apelacyjny w Warszawie wydał wyrok nakazujący spółce Magellan zwrócić 320 tys. zł na rzecz Szpitala Dzieciątka Jezus. Taki wyrok nie zapadł – ani co do zasady, ani co do wysokości.

Magellan S.A.

PRZEBŁYSKI

LEX SIARKOWSKA

Egzotyki ci u nas w bród. I ciągle przybywa. Niewyczerpalne są zaiste źródełka bijące u o. Rydzyka. Jest np. koło poselskie Republikanie. A w nim posłanka Anna Maria Siarkowska, która kobiety powsadzałaby za kraty. Zwłaszcza te, które przerwały ciążę. Bo jak rezolutnie tłumaczy Siarkowska: „Nie ma przecież różnicy między przestępcą w spodniach a przestępcą w spódnicy". Siarkowska chce pomóc kobietom, które mogłyby pobłądzić, a przecież wystarczy wprowadzić karanie kobiet za usunięcie ciąży, by ta kara stanowiła dla nich barierę bezpieczeństwa. Nie rozumiecie? A to takie proste. Przecież kobieta będzie mogła wtedy powiedzieć ojcu dziecka, że ten czyn jest karalny. Nadal nie rozumiecie? Trudno. Szukajcie pomocy u dzieciatych księży.

Z EŁKU NA MISJĘ

Szczególne poczucie humoru ma biskup ełcki Jerzy Mazur. Z okazji 1 czerwca zaprosił dzieci z Ełku i okolic do wspólnego celebrowania ich święta. Kilka tysięcy dzieciaków świętowało, maszerując za figurą Matki Boskiej Fatimskiej. Diecezjalni księża i zakonnicy zadbali także o rozrywkę ekstra. W ofercie były misyjne przedstawienia, świadectwa misjonarzy, a nawet misyjny telemost. Dzieci też się przygotowały. Przyniosły własnoręcznie wykonane różańce i serca. Misjonarze zachęcali je, by poszły śladem krzewicieli wiary. Bo jest co robić. Bp Mazur policzył, że na świecie żyje jeszcze 5 mld ludzi, którzy nie słyszeli o Jezusie. My też dotąd nie słyszeliśmy, że tak może wyglądać Dzień Dziecka.

26 WIARA OJCÓW

Słowa misji: misyjnego „Idźcie i głoście" obowiązują wszystkich ludzi ochrzczonych – przypomniał m. in. bp Jerzy Mazur

EŁK

Dzieci misjonarzami

Monika Bogińska

Stacja Dziecięca zainaugurowała I Kongres Misyjny Diecezji Ełckiej, który odbył się w łączności z XII Ogólnopolskim

Sławomir Ciszochowski – obaj z Ameryki Łacińskiej, ks. Jan Fecko, który 36 lat pracował na misjach, oraz wielu misjonarzy z Centrum Misyjnego w Warszawie, a także licznie

cie i głoście" są dowodami nakazu misyjnego obowiązującą wszystkich ludzi ochrzczonych... "Te słowa nakazu misyjnego Jezus kieruje dzisiaj do każdego z nas – wyjaśniał ksiądz biskup.

KOŚCIELNE ŻYCIE KUKLIŃSKIEGO

No i mamy nowy rekord. Pięć wyrazów i tylko jeden prawdziwy. Nazwisko. Ogłaszanie kłamstw w kościołach stało się tradycją. A że Tadeusz Rydzyk zawsze musi się wyróżniać, otworzył w swoim toruńskim kościele wystawę „Generał Kukliński – Polska Samotna Misja". Poetycka nazwa, bo przecież nie mógł tej fałszywki nazwać „Pokręcone życie szpiega". Kuklińskiego powinno się raczej tytułować stopniem rosyjskim lub amerykańskim, a nie obrażać polskich oficerów. Bo z interesem Polski miał on słaby kontakt. A misja. Odkąd donoszenie jest misją? Podobno była to samotna misja? Tu Rydzyk musi się zdecydować. Czy to cały naród zwalczał komunę, czy tylko samotny szpiegusik K.? A swoją drogą, iluż to ludzi może żyć z wciskania kitu o takim szpiegu...

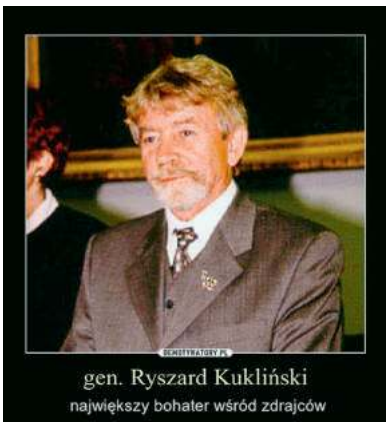

gen. Ryszard Kukliński
największy bohater wśród zdrajców

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, NASZ DZIENNIK, DEMOTYWATORY.PL

eprasa.pl 24736a12dd

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy państwo powinno bronić taksówkarzy przed takimi firmami jak Uber?

MARCIN GIEŁZAK,
analityk nowej gospodarki, Fundacja WE the CROWD

Państwo powinno bronić nie tyle taksówkarzy, ile obowiązującego porządku prawnego. Nie jest w niczyim interesie, nawet Ubera, dalsze utrzymywanie stanu niepewności co do tego, czy jego działalność jest w Polsce legalna. Pracownik tej firmy powiedział mi kiedyś, że wkroczyła ona na rynek „w kowbojskim stylu, ale teraz przyszedł czas, aby to wszystko ucywilizować". Uważam, że państwo powinno potraktować Ubera jak każdą inną firmę taksówkarską, a więc narzucić mu analogiczne obowiązki – także dotyczące prawa pracy. Taki kierunek obrała Wielka Brytania, co wcale nie sprawiło, że ludzie przestali tam korzystać z tej aplikacji. Można też stworzyć nową kategorię usług transportowych, dla której opracuje się odmienne regulacje; tak postąpił np. stan Massachusetts. Nie rozstrzygam, które rozwiązanie jest najlepsze, ale każde będzie lepsze od braku jasnych zasad.

PIOTR BOULANGÉ,
dyrektor operacyjny Taxify

Państwo powinno mieć na uwadze dobro wszystkich obywateli, a nie wybranej grupy. Jeżeli postęp i rozwój technologiczny postrzegane są jako coś pożądanego, nie powinno się ich hamować tylko dlatego, że prawo działa wolniej niż rynek. Nowe technologie tworzą nowe firmy i sposoby funkcjonowania. Jeżeli państwo widzi, że pojawiają się podmioty działające w sferze do tej pory nieuregulowanej albo pokazujące, że jakaś branża może działać inaczej, to zamiast zakazywać im funkcjonowania, należy im się przyjrzeć, a dopiero potem tworzyć regulacje. Odwrotne postępowanie może tylko zaszkodzić gospodarce. Poza tym nowe, niestandardowe podejście może wymusić na całej branży zmiany korzystne dla klientów, a ostatecznie to oni zadecydują, z czyich usług chcą korzystać. Ci, którzy je świadczą, powinni walczyć o klienta, a nie oczekiwać, że państwo zapewni im pracę. Te czasy już się skończyły.

JAROSŁAW IGLIKOWSKI,
Związek Zawodowy Taksówkarzy „Warszawski Taksówkarz"

Są przepisy szczegółowo określające, w jaki sposób wozi się ludzi taksówką czy w ramach tzw. przewozu okazjonalnego, ale nie ma regulacji dotyczących pośredników, takich jak Uber czy Taxify. Czerpią oni największe zyski z przewozu osób, bo mają tysiące przewoźników, którzy co miesiąc płacą im haracz. Wykonują usługi nielegalnie, czego firma Uber jest w pełni świadoma. Mało tego, na szkoleniach dla kierowców wprowadza ich w błąd, twierdząc, że nie muszą mieć licencji ani kas fiskalnych. Wprawdzie firma oferuje klientom nielegalne usługi, ale w związku z tym, że jej działalność nie jest w żaden sposób uregulowana, nie można powiedzieć, że sama działa nielegalnie. Aby uniknąć sytuacji, że ktoś zarabia na nielegalnej działalności podwykonawców, państwo powinno wprowadzić przepisy określające odpowiedzialność tego typu organizatorów przewozu osób.

CEZARY LEWIŃSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Uber to po prostu ściema. Firma niepłacąca ani złotówki podatku w Polsce, niegwarantująca bezpieczeństwa przewożonym osobom, a tylko organizująca kursy kierowcom, niszczy ekonomicznie zawodowych taksówkarzy. Czym innym jest umówienie się przez internet na wyjazd do miejscowości X z kimś, kto się tam wybiera i chce dzięki pasażerom obniżyć koszty podróży, a czym innym regularne organizowanie komunikacji samochodowej bez jakichkolwiek podatków i koncesji.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 24736a12dd

PRĘŻENIE CHERLAWYCH MUSKUŁÓW

Wybierając integrację europejską jako jedno z pól konfliktu, PiS źle wybrało

Rozmawia Kacper Leśniewicz

PROF. ANDRZEJ RYCHARD

– dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN

Wiatr wieje w żagle Platformy Obywatelskiej. Jeszcze niedawno rosnące sondaże, wielotysięczny Marsz Wolności, przejęcie opozycyjnej energii KOD. Czy Platforma może być liderem opozycji?

– Ma szansę, ale nie jestem pewien, czy ją do końca wykorzystuje. Siła Platformy bierze się dzisiaj ze słabnięcia zarówno Nowoczesnej, jak i PiS. To trochę usypiające, ponieważ może powstać wrażenie, że układ rządzący zaczyna się wyczerpywać, że zaczyna pękać jego spoistość. Wszystko to burzy dotychczasowy wizerunek partii rządzącej jako formacji jednolitej, skutecznej i od początku do końca realizującej to, co zamierza.

Nowoczesna balansuje w sondażach na progu 5% i zaczyna przypominać przystawkę Platformy.

– Myślę, że nie jest w interesie Platformy dobijanie Nowoczesnej i liczenie na to, że ta partia całkowicie zniknie, a PO przejmie jej elektorat. Część elektoratu wcale nie musiałaby przejść do PO. Kiedy Nowoczesna zaczynała, większość komentatorów myślała, że będzie to formacja skupiona na jednej kwestii. Reprezentująca raczej ludzi zamożnych, zainteresowana głównie kwestiami ekonomicznymi.

Ostatnio skręciła w lewo w kwestiach kulturowych.

– Aktywność dobrze przygotowanych posłanek Nowoczesnej w wielu sferach życia publicznego pokazała, że ta partia wychodzi poza okowy ekonomiczne. Przez to bardzo wysoko wywindowała oczekiwania. Przez pewien czas była jak bokser walczący powyżej swojej wagi. Na tle tego Platforma zyskuje, ale może zostać omamiona tą łatwością sukcesu wynikającą ze słabości przeciwników. Właściwie nie wykorzystała tego, co było ogromną szansą, a było nią wystąpienie programowe Grzegorza Schetyny w Sejmie.

To był przełomowy moment dla Schetyny jako lidera politycznego, któremu odmawiano dotychczas cech przywódcy?

– Tak. Jego letni wizerunek ustąpił wizerunkowi lidera, który dysponuje pewną siłą polityczną i charyzmą. Schetyna pokazał się jako człowiek, który wierzy w to, co mówi. Zaprezentował trochę konkretów, kiedy zapewniał, że wprowadzi ustawę, która odwróci to wszystko, co PiS popsuło w obszarze instytucjonalnym. Można się spierać, czy to się da załatwić jedną ustawą, ale przynajmniej został pokazany zamiar.

Schetynie udało się na krótko odczarować swój wizerunek, ale za chwilę wszedł w buty PiS.

– To prawda, Platforma cały czas nie odpowiedziała na pytanie, czy chce być PiS z łagodniejszą twarzą, czy jednak partią adresującą program nie tylko do tych, do których zwraca się PiS. Czy będzie jedynie odwoływać się do wartości o charakterze konserwatywnym i eksploatować polskie lęki przed uchodźcami, czy zaproponuje także coś nowego. Myślę, że to wynik pewnej amorficzności i niewyraźnego oblicza ideologicznego, które zawsze cechowało tę partię i nie było uznawane za specjalną przeszkodę w sprawowaniu władzy i pilnowaniu ogólnego kierunku modernizacji.

Nastąpiło jednak zużycie niewyraźnego oblicza. Dzisiaj rządzi partia, której trudno zarzucić, że jest niewyraźna.

– Kaczyński stworzył wyraźny przekaz dzięki trafnemu rozpoznaniu słabych punktów drogi modernizacyjnej. Zwrócił uwagę na to, że nie wszyscy mogli z niej skorzystać. Przedstawił kilka prostych haseł, które przywracały znaczenie polityki, ze słynnym programem 500+ na czele. Odbudował to, co Platforma całkowicie oddzieliła. Mówiąc: „budujmy szpitale, nie róbmy polityki", wytworzyła w ludziach przekonanie, że nawet jeśli jesteśmy zadowoleni z jakości życia, nie musimy głosować na partię rządzącą. Ponieważ zadowolenie zawdzięczamy własnej energii, a nie polityce.

PiS udało się odbudować związek obywateli z polityką?

– Jarosław Kaczyński jednym ruchem przywrócił znaczenie polityki. Każdy, kto dostał 500+, miał świadomość, że otrzymał te pieniądze, bo tam na górze podjęto decyzję. Platforma nie potrafi się porozumiewać

eprasa.pl 24736a12dd

takim językiem politycznym. Poza tym nie jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego chce odebrać władzę PiS. Poza tym, że chce naprawić to, co PiS popsuło, nie widać na horyzoncie innej filozofii uprawiania polityki. Jeśli opór wobec PiS ograniczy się do hasła: „żeby było, tak jak było", PO w taki sposób wyborów na pewno nie wygra.

Z jednej strony, mamy brak wizji, a z drugiej, mocną wizję wprowadzaną w życie za pomocą woli politycznej.

– Kaczyński jest jednym z niewielu polityków, którzy nie udają, że nie są politykami. Znajduje się jednak na drugim krańcu. W przeciwieństwie do tych, co od polityki się odżegnują, za bardzo wszystko polityzuje. Wyraźnie widzimy, że wola polityczna stoi w hierarchii przed prawem i procedurami. Z tego wynika pogarda dla procedur, zabójcza dla polskiej demokracji i polityki. Dzisiaj jednym z najważniejszych pytań jest to, jaką on ma wizję polityki.

No właśnie?

– Skłaniam się do opinii, że to wizja polityki zakotwiczona w przełomie XIX i XX w. Wizja polityki, w której gra się na jednej szachownicy, a nie na wielu. Dzisiaj sprawowanie władzy wymaga innych kompetencji. Władza ma charakter sieciowy. Jest rozmyta, trzeba umieć się poruszać w rozmaitych nowych strukturach instytucjonalnych. Socjolodzy, np. Jadwiga Staniszkis, mówili o tym wielokrotnie. Tak funkcjonuje cała Unia Europejska. Kaczyński nie potrafi się w tym poruszać.

Kto lepiej sobie radzi w tej grze sieciowej?

– Platforma, ponieważ jest partią pod tym względem nowocześniejszą i bardziej obznajomioną ze strukturami europejskimi. Co ciekawe, na tym poziomie dużo lepiej niż Kaczyńskiemu idzie Orbánowi. Premier Węgier podejmuje dyskusje z Unią Europejską, czasem się wycofuje, ale jest to rodzaj jakiejś relacji. Tymczasem w Polsce pani premier w sytuacji związanej nie z oceną Europy, tylko z głosowaniem nad wotum nieufności, wygłasza mocne antyeuropejskie hasła. To pewna przestarzałość polskiej polityki. Parę dni temu przeczytałem raport badawczy zrobiony przez European Council on Foreign Relations na temat tego, które kraje europejskie są najsilniej usieciowione i zakorzenione w Unii. Szukano odpowiedzi na pytanie, jak często kraje należące do UE kontaktują się z innymi krajami, na ile mają wspólne interesy itd. Krótko mówiąc, jak zbudowane są te sieci powiązań. Okazuje się, że wielką trójkę tworzą Francja, Niemcy i wciąż Wielka Brytania, ale dochodzi do niej druga trójka i razem tworzą wielką szóstkę. W tej drugiej trójce znalazły się Hiszpania, Włochy i Polska.

Co ten wynik oznacza dla Polski?

– Może zatrwożyć tych, którzy są przeciwni mocnej integracji z Unią Europejską. Polska ma strukturalnie duże szanse na dołączenie do Europy pierwszej prędkości. Okazało się, że przez ostatnie 13 lat zbudowaliśmy w UE silne sieci powiązań, a więc pewne otoczenie społeczne, które bardzo utrudni pomysł wyjęcia Polski z Unii. Ten raport powinien stanowić lekturę obowiązkową dla polskich polityków.

Jakie wnioski powinni wyciągnąć z niego politycy, którzy na co dzień prężą muskuły i wymachują szabelką?

– Tak silne zakorzenienie tworzy sytuację, w której scenariusz osłabienia naszej pozycji w Unii, łącznie z perspektywą opuszczenia przez Polskę jej struktur, będzie utrudniony. Innymi słowy, im bardziej PiS będzie dociskało nas do ściany, tym silniej w naszej obronie będą stawać unijne instytucje, broniąc naszego interesu narodowego, którym jest członkostwo w UE. Jeżeli PiS tak często mówi o polskim interesie i o polskiej racji stanu, powinno sobie uświadomić, że działania, które podejmuje, są bezproduktywne i odnoszą odwrotny skutek. Prężenie muskułów, wstawanie z kolan, kibicowanie procesowi dezintegracji zamiast dokładania swoich idei do procesów dalszej integracji tylko wysuwa Polskę z UE.

W debacie publicznej często obecny jest wątek naszej integracji z Europą. Pojawiają się argumenty o płytkim charakterze integracji. Jak mogą zostać odebrane przez opinię publiczną poglądy proeuropejskie?

– Byłbym bardzo ostrożny z tak daleko idącą interpretacją. Poglądy proeuropejskie korelują z rzeczywistością. Po słynnym 27 do 1 zapytano Polaków, czy są za tym, żeby pogłębiać integrację Polski z UE. W sondażu CBOS z kwietnia poparcie dla dalszej integracji Unii było najwyższe od 2009 r. – 48% badanych Polaków uważało, że Europa powinna nadal się jednoczyć. To, co się wydarzyło w sprawie głosowania na Donalda Tuska, zwiększyło moim zdaniem poparcie Polaków dla głębszej integracji. Wywołując tak wielką awanturę, PiS zrobiło coś przeciwskutecznego z punktu widzenia własnych celów, ale coś dobrego z punktu widzenia narodowego interesu Polski – przyprowadziło z powrotem UE do Polski. Jeżeli się pogrywa Unią na użytek polityki wewnętrznej, można dostać rykoszetem. Jak niedawno stwierdziła Lena Kolarska-Bobińska, wybierając integrację europejską jako jedno z pól konfliktu, PiS źle wybrało.

Wspomniał pan o Donaldzie Tusku, który odegrał dużą rolę we wzmocnieniu zaufania do UE. Wiele się mówi o jego planach na przyszłość. Czy Tusk może jeszcze odegrać ważną rolę także w polskiej polityce?

– Z Donaldem Tuskiem jest trochę tak jak z bombą atomową. Możemy jej używać jako argumentu z obszaru poradnictwa politycznego, dopóki jej nie zdetonujemy. Moim zdaniem siła Tuska bierze się głównie z tego, że go tutaj nie ma. Można wtedy straszyć Tuskiem, że jest bardzo silnym zasobem, wzbudzać obawy PiS i to wszystko działa, ale myślę sobie, że jest on zbyt wytrawnym politykiem, aby podejmował pochopne decyzje. Tusk nabył nowych zdolności po tych paru latach w Unii. Jeśli porównamy Tuska z początku lat 90. czy nawet z 2007 r. z jego obecnymi wypowiedziami i działaniami, zobaczymy ogromne skoki rozwojowe tego polityka. Nie ma w naszej polityce człowieka, który byłby tak zdolny. On doskonale rozpoznaje obecną sytuację, zdaje sobie sprawę z tego, że w tej chwili jego siła nie wymaga większego wysiłku i dużych kosztów, bo jest tą bombą atomową, którą można straszyć.

Platforma nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego chce odebrać władzę PiS.

Polska ma strukturalnie duże szanse dołączyć do Europy pierwszej prędkości.

eprasa.pl 24736a12dd

Kiedyś bomba może eksplodować i co wtedy?

– Jeżeli zdecydowałby się na wejście do polskiej polityki, musi się liczyć z tym, że odbudowanie pewnej siły będzie wymagało innych działań, niż teraz podejmuje. Dzisiaj wystarczy, że raz przyjedzie i wysiądzie na dworcu. Myślę, że gdy Tusk mówi o tym, że nie chciałby wracać do polskiej polityki, jest to z jego strony uczciwe. Zapewne trudno mu sobie wyobrazić, że znów musi wchodzić w gry na takim poziomie, na jakim są dziś toczone w Polsce. Przywykł w ostatnich latach do innego poziomu polityki.

Stosując terminologię piłkarską, która Tuskowi jest bliska, byłby to spadek z Ekstraklasy do trzeciej ligi.

– Możliwe, że właśnie tak to widzi. Nieustanne wstawanie z kolan i pretensje do Europy, że też powinna wstać z kolan, mogą hamować jego chęć powrotu. Natomiast gdyby wszedł z powrotem do polskiej polityki, nasuwa się pytanie, w jakiej roli. Sądzę, że bardziej pasowałby do roli związanej ze strukturami państwa.

Czyli Tusk jako premier albo prezydent?

– Jest osobą, która ceni i umie sprawować realną władzę. Dlatego najbliższe kalkulacje Platformy w obszarze praktyki politycznej muszą brać pod uwagę obecność bądź nieobecność Tuska i rodzaj jego wpływu poprzez tę obecność i nieobecność.

Wyraźnie widzimy, że polska polityka jest zdominowana przez Kaczyńskiego i Tuska. Wkrótce po wyborach w 2015 r. pojawiły się opinie o wyczerpaniu się tego podziału. Przeczą temu jednak sondaże. Czy jesteśmy skazani na nieustanne odtwarzanie konfliktu między PiS a PO?

– Parę tygodni temu w jednym z sondaży pracowni IBRiS zapytano, kto wygra: PO, PiS czy jakaś trzecia siła. Trzecia siła była bardzo mocno reprezentowana w odpowiedziach, więc na poziomie preferencji wyborczych można wysunąć hipotezę o zapotrzebowaniu na trzecią siłę. Nie wiem, czy ono jest naturalne. Odmienności między PO a PiS bywały różnie interpretowane. Były takie okresy, sam też skłaniałem się przez jakiś czas do tej interpretacji, że to spór o charakterze kulturowym, a nie strukturalnym. Teraz widać coraz lepiej, że to jest podział o charakterze może nie klasowym, ale bardzo silnie strukturalnym.

Podczas ostatniej konwencji Nowoczesnej jej lider Ryszard Petru przeciwstawił Polskę ludzi samodzielnych i pracowitych Polsce wyciągających rękę do państwa po pomoc. Czy tak wykreowany podział ma szansę stać się punktem odniesienia w najbliższych latach?

– Myślę, że obecny podział w dużym stopniu odzwierciedla to, co powiedział lider Nowoczesnej, że jest Polska, która uważa, że trzeba się nią zaopiekować, i Polska, która sama jest skłonna opiekować się sobą. Zbudowanie opozycji między Polską nieaktywną a Polską kreatywną i przedstawienie siebie jako rzecznika Polski aktywnej jest trochę wejściem w buty pierwszej Platformy.

Po tylu latach może się okazać skuteczne?

– Wydaje mi się, że może zadziałać. Pamiętajmy, że hasło „uwolnić energię" dało zwycięstwo PO. Myślę, że ten podział będzie się utrzymywał, bo to podział zakotwiczony w głębszej strukturze społecznej Polski. Jest oczywiste – co jest pewnym paradoksem politycznym – że im skuteczniej Polska będzie się modernizować, im szerszy będzie dostęp do owoców transformacji, tym bardziej elektorat takiej partii jak PO będzie rósł, a elektorat PiS malał.

U Kaczyńskiego wizja polityki jest zakotwiczona w przełomie XIX i XX w.

Wtedy w interesie PiS byłoby utrzymanie dużej grupy niezadowolonych.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że w interesie PiS jest zatrzymanie procesu modernizacji i utrzymanie w ten sposób swojego biednego elektoratu, co pozwoliłoby budować bazę społeczną. Pojawia się jednak pytanie, czy PiS mające centralizacyjne pomysły będzie w stanie spełnić obietnice budowania nowoczesnej, innowacyjnej gospodarki. Biorąc za dobrą monetę zdanie, że twarz PiS to twarz Morawieckiego, można się zastanawiać, czy PiS będzie w stanie nadążać i przejmować ten nowy elektorat, czy pozostanie ze swoimi starymi wyborcami. Bardzo interesujący proces polityczny przed nami.

Kacper Leśniewicz

Siła Tuska bierze się głównie z tego, że go tutaj nie ma. Można wtedy nim straszyć.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

eprasa.pl 24736a12dd

W DUCHU SREBRNEJ GOSPODARKI

Wielkopolscy seniorzy spotkali się w Wągrowcu

W stojącym nad jeziorem hotelu Pietrak w dniach 19-20 maja miało miejsce wyjątkowe wydarzenie. Z całej Wielkopolski zjechali się przedstawiciele organizacji, stowarzyszeń i grup senioralnych, aby uczestniczyć w I Europejskiej Konferencji Seniorów Województwa Wielkopolskiego SENIORIADA, której pomysłodawczynią i organizatorką była posłanka do Parlamentu Europejskiego Krystyna Łybacka. Jak zaznacza eurodeputowana, ideą spotkania było stworzenie forum wymiany doświadczeń pomiędzy seniorami, na którym to sami zainteresowani dzielą się wiedzą i pomysłami.

Młodość jest przyszłością narodu, ale starość jest przyszłością wszystkich

– Młodość jest przyszłością narodu, ale starość jest przyszłością wszystkich – od tego zdania Krystyna Łybacka rozpoczęła inauguracyjne wystąpienie, nawiązując tym samym do znaczenia Srebrnej Gospodarki – jednego z pięciu priorytetów rozwojowych Unii Europejskiej. Srebrna Gospodarka to cały katalog działań rynkowych, rozumianych jako produkty i usługi kierowane do seniorów, a także szczególnie ważne inicjatywy o charakterze nie-

komercyjnym. Również w Polsce wzrasta zapotrzebowanie na projekty adresowane do tej właśnie grupy osób. Rozwija się sektor usług opiekuńczych i medycznych, pojawiają się oferty turystyczne dla osób starszych, a także propozycje o charakterze edukacyjnym i szkoleniowym.

Uczestnicy wągrowieckiej Senioriady mieli okazję zapoznać się z ofertą Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu, która uruchomiła nowy kierunek studiów – „Animacja osób 50 plus" dla osób zainteresowanych pracą z seniorami i na rzecz seniorów. O pomyśle poznańskiej uczelni opowiadała dziekan Wydziału Turystyki i Rekreacji AWF w Poznaniu prof. dr hab. Beata Pluta.

Jeżeli człowiek jest aktywny, ma mniej czasu na starzenie się

– Pomysł zorganizowania Senioriady pojawił się pod koniec ubiegłego roku, podczas dorocznego podsumowania pracy moich biur poselskich. Wraz ze współpracownikami zauważyliśmy, że dzięki skierowanym do seniorów inicjatywom, realizowanym na terenie całej Wielkopolski – takim jak kursy komputerowe i językowe, zajęcia ruchowe oraz szkolenia z zakresu bezpieczeństwa – nawiązaliśmy kontakt z organizacjami senioralnymi z całego regionu. Każda prowadzi fantastyczną działalność na rzecz osób starszych. Ci wspaniali ludzie są skarbnicą znakomitych pomysłów, którymi mogliby się podzielić z innymi. Od dawna przecież wiadomo, że jeżeli człowiek jest aktywny, ma mniej czasu na starzenie się. Postanowiłam, że zorganizujemy spotkanie, na którym seniorzy będą mogli wymieniać doświadczenia i zainspirować innych do podejmowania nowych wyzwań – opowiada europosłanka Krystyna Łybacka.

Podczas konferencji w Wągrowcu wielkopolscy seniorzy mieli również okazję wysłuchać przeznaczonych specjalnie dla nich wykładów. Poza wspomnianą już prof. Beatą Plutą z poznańskiej AWF prelekcje wygłosiły dyrektor Regionalnego Ośrodka Polityki Społecznej w Poznaniu Aleksandra Kowalska, która opowiadała o wybranych aspektach polityki senioralnej samorządu województwa wielkopolskiego, i Bogumiła Frąckowiak, kierownik Punktu Informacyjnego Europe – Direct, z wystąpieniem „Unia Europejska wobec wyzwań przyszłości. Plan inwestycyjny dla Europy".

Emerytura jest świetna, pod warunkiem że nie przeszkadza w pracy

– Dzisiejsi seniorzy to osoby niezwykle aktywne i jednocześnie bardzo świadome swoich oczekiwań. Coraz częściej także słowo starość ustępuje określeniu dojrzała młodość. Gdy pytam przedstawicieli grup senioralnych w poszczególnych powiatach, jakiego rodzaju zajęcia chcieliby wspólnie z nami realizować, zawsze słyszę kilka propozycji. Co ciekawe, oczekiwania bywają zróżnicowane zależnie od regionu Wielkopolski. Niezależnie jednak, czy potrzebny będzie kurs językowy, komputerowy, czy zajęcie hobbystyczne, zawsze jestem otwarta na współpracę. Po Senioriadzie wspólnie z uczestnikami stwierdziliśmy, że motto naszego spotkania powinno brzmieć „Emerytura jest świetna, pod warunkiem że nie przeszkadza w pracy" – dodaje z uśmiechem Krystyna Łybacka.

– Szczególnie ważne jest dla mnie, że I Europejską Konferencję Seniorów Województwa Wielkopolskiego przygotowywali głównie ludzie młodzi. Właśnie oni na co dzień kontaktują się z seniorami i realizują wspólne inicjatywy. Senioriada, która była swoistym zwieńczeniem przeszło dwuipółletniej pracy, pokazała, że dwie odległe grupy pokoleniowe – młodzież i seniorzy – potrafią doskonale współpracować i znajdować wspólny język. Młodzi ludzie

dzielą się umiejętnościami związanymi np. z wykorzystaniem mediów elektronicznych, seniorzy natomiast mogą zaoferować swoje bogate doświadczenie, pomagając niekiedy w odnajdywaniu małych, lecz jakże ważnych radości dnia codziennego – podkreśla eurodeputowana.

Wszystkie osoby i organizacje senioralne zainteresowane nawiązaniem współpracy z posłanką do Parlamentu Europejskiego Krystyną Łybacką mogą się kontaktować z biurami poselskimi mieszczącymi się w Poznaniu, Pile, Koninie, Lesznie, Ostrowie Wielkopolskim i Gnieźnie. Można również kontaktować się telefonicznie pod nr. 61 852 48 21, a także poprzez pocztę elektroniczną: biuro@lybacka.pl. Informacje o działaniach poszczególnych biur umieszczane są na stronie internetowej www.lybacka.pl, a także na profilu facebookowym posłanki Krystyny Łybackiej. *RZ*

S&D Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 24736a12dd

CO BY TU JESZCZE WYRWAĆ?

Najlepszym sposobem rozwiązania problemu reprywatyzacji jest jej zatrzymanie

Krzysztof Pilawski

Reprywatyzacja nie przywraca sprawiedliwości, lecz powiększa niesprawiedliwość, nie naprawia krzywd, lecz wyrządza je w wielokrotnie większej skali. Na reprywatyzacji korzystają ustosunkowani cwaniacy, jej ofiarami padają ci, których nie stać na prawników albo nie mają koneksji wśród urzędników. Do tej pory władze państwowe i samorządowe oraz wymiar sprawiedliwości zazwyczaj stawały po stronie zgłaszających roszczenia reprywatyzacyjne. Komisja weryfikacyjna do spraw reprywatyzacji w Warszawie może to zmienić. I choć w zamyśle PiS komisja ma podtopić PO przed wyborami samorządowymi, upublicznienie kulis bezczelnych machinacji w stolicy powinno się przyczynić do skompromitowania idei reprywatyzacji w całej Polsce.

SPALONA ŻYWCEM

1 marca na warszawskim Dolnym Mokotowie pojawiły się niebieskie tabliczki „Skwer Jolanty Brzeskiej" oraz dwutonowy granitowy głaz z wypisanymi żądaniami ruchu lokatorskiego: „Aby uniknąć kolejnych krzywd, przywrócić regulacje czynszów w prywatnych mieszkaniach, zatrzymać reprywatyzację i wywłaszczyć czyścicieli kamienic (…)". To pierwsze symboliczne upamiętnienie w przestrzeni publicznej – zgodę na nie wyraziła Rada Warszawy – ofiary przemian ustrojowych po 1989 r.

Sześć lat wcześniej, 1 marca 2011 r., tlące się szczątki Jolanty Brzeskiej znaleziono w Lesie Kabackim. Spłonęła żywcem. Początkowo przyjęto hipotezę, że popełniła samobójstwo, później dopuszczono zabójstwo na tle konfliktu w sprawie reprywatyzacji kamienicy przy ul. Nabielaka 9, którą odbudowywał po wojnie ojciec Brzeskiej i w której dostał przydział na mieszkanie kwaterunkowe. Jolanta Brzeska przegrała walkę z nabywcą roszczeń do kamienicy – Markiem Mossakowskim, który wsławił się m.in. nabyciem od 85-letniej kobiety za 50 zł prawa do kamienicy przy ul. Hożej, a następnie domaganiem się w sądzie od władz miasta… odszkodowania w wysokości 5 mln zł za bezumowne korzystanie z jego nieruchomości. Brzeska otrzymała nakaz eksmisji za niepłacenie czynszu, a w lutym 2011 r. komornik zajął jej emeryturę. Do dziś ani nie wyjaśniono okoliczności zbrodni, ani nie wykryto sprawców.

Rodzina Brzeskich nie zalegała z opłatami za mieszkanie, dopóki miało ono status lokalu komunalnego. Jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby nie tzw. reprywatyzacja dokonywana rzekomo w imię zwrotu prawowitym właścicielom i ich potomkom majątków zagrabionych przez „komunę", a w rzeczywistości w celu szybkiego wypchania sobie portfeli (w 2014 r. mieszkanie Brzeskiej wystawiono do sprzedaży za 960 tys. zł). Ilu zreprywatyzowanych nieruchomości szybko wyzbyły się osoby, które, ubiegając się o nie, powoływały się na pielęgnowanie dziedzictwa przodków? Rodzina ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła nie zamieszkała w pałacu w Jadwisinie, lecz spieniężyła go wkrótce po odebraniu kluczy od skarbu państwa.

> Nie da się przywrócić przedwojennych stosunków własnościowych.

Podobnie jak nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, nie da się przywrócić przedwojennych stosunków własnościowych. Nie tylko dlatego, że dawni właściciele nie żyją, a ich majątki zazwyczaj wyglądają dziś zupełnie inaczej – np. w miejscu ciasno zabudowanych czynszowymi kamienicami ulic w Warszawie stoi Pałac Kultury i Nauki. Budowa przedwojennej kamienicy czynszowej przy Nabielaka została na początku lat 30. sfinansowana z kredytu – do kogo więc należała? Ile kamienic, o których zwrot ubiegają się osoby uznające się za spadkobierców, miało obciążoną hipotekę? Podobna sytuacja dotyczyła dużej części zadłużonych majątków ziemskich i rezydencji, które po okupacji przejęto w ramach reformy rolnej. Spadkobiercy Adama Branickiego, „ostatniego pana na Wilanowie", domagają się zwrotu pałacu przejętego na mocy dekretu o reformie rolnej i udostępnionego w 1962 r. zwiedzającym. Pracownicy muzeum wilanowskiego, broniąc się przed reprywatyzacją, dowodzą, że przed wojną Wilanów tonął w długach.

Jak można zwracać obiekty, które – jak pałac w Jabłonnie, obiekt roszczeń Lubomirskich – państwo odbudowało ze zniszczeń wojennych? Kto zwróci państwu nakłady poniesione przez dziesięciolecia na utrzymanie przejętych po wojnie obiektów, które służyły ważnym celom społecznym, jak np. zreprywatyzowany w 2015 r. dwór w Oborach, do niedawna dom pracy twórczej literatów?

Niemal jedną trzecią mieszkańców przedwojennej Warszawy stanowili Żydzi, wśród właścicieli nieruchomości było ich jeszcze więcej. Żydzi doznali największych krzywd w okresie okupacji hitlerowskiej. Gdyby kierować się tą prawdą, należałoby im przekazać znaczną część nierucho-

eprasa.pl 24736a12dd

Pałac w Jabłonnie, obiekt roszczeń Lubomirskich, państwo odbudowało ze zniszczeń wojennych.

mości warszawskich w centralnych dzielnicach miasta, a także całe połacie setek miast i miasteczek (sztetli), które zajmowali przed wojną, a które w czasie okupacji przejęli Polacy. Wyobraźmy sobie, że Żydzi nie tylko obejmują nieruchomości, ale także, wzorem Marka Mossakowskiego, żądają odszkodowań za nielegalne dysponowanie nimi.

POWRÓT ZIEMIAN

O ile stosunek do Żydów w Polsce wciąż jest niejednoznaczny, o tyle po 1989 r. wynosi się pod niebiosa ziemian i pomstuje na „komunę", która poprzez reformę rolną zlikwidowała rzekomo najbardziej patriotyczną warstwę narodu. To jednak na szlachcie spoczywa główna odpowiedzialność za upadek I Rzeczypospolitej. Wraz z rozwojem folwarków rugowała chłopów z uprawianej przez nich ziemi, przekształcała ich w zwierzęta robocze zmuszane do darmowej pracy w ramach pańszczyzny. Polska szlachta, w przeciwieństwie do pruskiej czy austriackiej, nie rozumiała, że system wyniszczającej eksploatacji chłopów hamuje rozwój rynku, miast, prowadzi do ruiny gospodarczej.

Słabość Rzeczypospolitej w XVII w. obnażyli Szwedzi, łupiąc kraj niemal doszczętnie, ale to niczego nie zmieniło w podejściu szlachty do folwarków. Prof. Norman Davies w „Bożym igrzysku" napisał: „Handel zbożowy nie pociągał za sobą rozwoju innych umiejętności, technik, form organizacyjnych". Zboże płynęło do Gdańska, a zyski z jego sprzedaży – jak podkreślił prof. Davies – „natychmiast wydawano na przedmioty zbytku obcego pochodzenia". Szlachta łupiła chłopów, za to sama chętnie dawała się łupić zagranicznym kupcom, płacąc tyle, ile zażądali, za wino, kawę, przyprawy, sukno, jedwab, bez których nie wyobrażano sobie życia. Gdyby szlachta wydawała na unowocześnienie folwarków tyle co na wino, w Polsce w połowie XVIII w. pewnie nie żyłoby się biedniej niż 200 lat wcześniej, a plony nie byłyby mniejsze.

ORDER TAK, ZWROT MAJĄTKU – NIEKONIECZNIE

W obronie swoich przywilejów szlachta wystąpiła przeciwko Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, znalazła schronienie pod opiekuńczymi skrzydłami Katarzyny II. Już po pierwszym rozbiorze caryca wezwała szlachtę do złożenia w ciągu miesiąca przysięgi na wierność, grożąc odebraniem nieruchomości. Tylko jednostki nie zastosowały się do ukazu Katarzyny, skonfiskowano majątki Radziwiłłów i Czartoryskich. Konfiskaty i sekwestry władze carskie stosowały po powstaniach: kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym.

Przy tym część odebranych patriotycznej szlachcie dóbr otrzymali Polacy wierni carom. Po powstaniu styczniowym konfiskatę majątku zastosowano wobec przeszło 6 tys. osób. Na progu niepodległości nienaruszony lub pomnożony został stan posiadania ziemian „gorszego sortu" – lojalnych wobec zaborców.

Utrata majątków była represją za działalność niepodległościową, dlatego ten problem w II RP nabrał szczególnego znaczenia. Rozgorzała wielka dyskusja, w której ścierały się rozmaite stanowiska. Sprawa stawała na Sejmie Ustawodawczym. Ten w 1920 r. uznał konfiskaty za akt gwałtu i bezprawia i wezwał rząd do przedstawienia projektu ustawy o wyrównaniu krzywd. Rozważano zwrot w naturze osobom pokrzywdzonym

Reprywatyzacja nie przywraca sprawiedliwości, lecz powiększa niesprawiedliwość.

eprasa.pl 24736a12dd

i ich potomkom do czwartego pokolenia, jednak szybko dostrzeżono trudności bardzo podobne do tych, z jakimi zmagają się od 1989 r. pomysłodawcy napisania wielkiej ustawy reprywatyzacyjnej: zmiany właścicieli i struktury majątków, kwestię odszkodowania za utracone zyski z korzystania z majątku, obawy o uszczuplenie majątku państwa itd. W efekcie potomkowie powstańców sami dochodzili swoich roszczeń wobec skarbu państwa w sądach – te procesy budziły nie mniejsze emocje w prasie niż dzisiejsze reprywatyzacje.

Prezes Prokuratorii Generalnej Stanisław Bukowiecki, broniąc w 1930 r. interesów skarbu państwa przed Sądem Najwyższym w tzw. sprawie Uszyckiej, tłumaczył: „Kapitalną obiekcją prawną występującą przeciwko uznaniu zwrotu majątków skonfiskowanych jest przedawnienie. (…) Gdyby instytutu tego nie było, gdyby można było w każdym czasie wszystko rewindykować, to nikt nie byłby pewny swojej własności". Odwołał się także do kwestii niezwiązanych bezpośrednio z prawem: „Obecnie nie żyje już ani jedna ofiara rosyjskich konfiskat powstańczych, przynajmniej ani jedno powództwo o zwrot skonfiskowanego majątku nie zostało wytoczone przez osobę bezpośrednio dotkniętą ani także przez jej małżonka. Nader nieliczne są procesy wytoczone przez dzieci osób konfiskatą dotkniętych. (...) Godzi się zapytać, czy istnieje jakiekolwiek moralne, niezależne od względów formalno-prawnych, uzasadnienie dla roszczeń powodów, niebędących dziećmi, a już co najwyżej wnukami w prostej linii ofiar konfiskat? Czy jest rzeczą słuszną, aby ludzie ci, tak już dalecy od osoby powstańca skrzywdzonego i od jego majątku, którzy z pewnością nie myśleli nigdy o majątku tego odzyskaniu, obecnie wykorzystywali fakt powstania Państwa Polskiego, dlatego aby od skarbu jego wyprocesować własność rzeczonych majątków?" (cytaty przytoczone za Bartłomiejem Starcem z artykułu „Problem rewindykacji w II Rzeczypospolitej dóbr objętych konfiskatą po powstaniu styczniowym przez rządy carskie", „Zeszyty Prawnicze" 2009, nr 9/2).

Ustawa o dobrach skonfiskowanych przez byłe rządy zaborcze uczestnikom walk o niepodległość pojawiła się dopiero w 1932 r. Prof. Tomasz Nałęcz w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" w 1998 r., oceniając postępowanie władz przedwojennych, podkreślał, że nie szczędziły one „bojownikom niepodległości hołdów i honorów, ale bardzo ściśle reglamentowały przywracanie im majątków".

Z CZWORAKÓW DO PAŁACU

Reforma rolna dokonana na mocy dekretu PKWN była zapowiadana także przez siły polityczne związane z obozem londyńskim. Wynikała z głodu ziemi, konieczności poprawy tragicznego położenia gnębionej od stuleci wiejskiej większości społeczeństwa. Prof. Andrzej Mencwel w marcu powiedział „Gazecie Wyborczej", że reforma rolna była wyczekiwana przez wiele pokoleń chłopów: „Te wielkie dobra ziemskie i związane z nimi majątki, które podlegały reformie, zostały wypracowane przez wyjątkowo długo panujące w Polsce pańszczyznę i poddaństwo chłopów. To oznaczało wielowiekowy przymus darmowej pracy, niekiedy zajmującej siedem dni w tygodniu. To był rabunek. Każdy z dziedziców tego ziemiaństwa, dochodząc swoich roszczeń, powinien się nad tym zastanowić". To jednak wołanie na puszczy – kto dziś chciałby pójść śladami rodziny Toeplitzów, która w 1950 r. ofiarowała pałacyk w Otrębusach na cele społeczne… Do dziś służy on mieszkańcom gminy Brwinów, znajdują się w nim m.in. biblioteka i ośrodek zdrowia.

W efekcie reformy rolnej zlikwidowano nie tylko warstwę ziemiańską, ale także – o czym nikt dziś nie wspomina – bezrolnych robotników folwarcznych. Otrzymali oni największe nadziały ziemi, pozwalające na opuszczenie czworaków i prowadzenie samodzielnego gospodarstwa. W wielu dawnych dworach – m.in. w majątku, w którym urodził się Wojciech Jaruzelski – urządzono szkoły powszechne dla wiejskich dzieci. Do podworskiej szkoły chodził Lech Wałęsa, który jako prezydent przygotował projekt ustawy reprywatyzacyjnej. Olga Tokarczuk wychowała się w otoczonym wielkim parkiem pałacu myśliwskim wybudowanym dla Radziwiłłów, po wojnie mieścił się w nim m.in. uniwersytet ludowy, w którym pracowali i mieszkali jej rodzice. „Brali udział w pięknym projekcie społecznym kształcenia młodzieży wiejskiej", powiedziała pisarka o ich działalności w jednym z wywiadów.

Na reformie rolnej straciły tysiące, zyskały miliony – ci, którzy wzięli „pańską" ziemię, korzystali z urządzonych w zabudowaniach dworskich szkół, domów kultury, bibliotek, ośrodków wczasowych i szkoleniowych, domów pracy twórczej, muzeów, ośrodków zdrowia, sanatoriów.

Reprywatyzacja pokazuje, że próby naprawienia dawnych krzywd rodzą nowe krzywdy i mnożą nowych pokrzywdzonych. Za „odzyskaniem" jednej kamienicy kryje się dramat życiowy kilkudziesięciu osób. Gdy w ubiegłym

Jak można zwracać obiekty, które państwo odbudowało ze zniszczeń wojennych?

Za „odzyskaniem" jednej kamienicy kryje się dramat życiowy kilkudziesięciu osób.

eprasa.pl 24736a12dd

Zamordowana Jolanta Brzeska mieszkała w tej kamienicy przy ul. Nabielaka 9.

roku wojewódzki sąd administracyjny uznał roszczenie rodziny Grocholskich do 136 ha w podwarszawskiej gminie Michałowice, połowie mieszkańców gminy ziemia zaczęła się palić pod nogami, bo na tych gruntach stoją domy jednorodzinne z przeszło 1,7 tys. osób.

Majątki otrzymują w najlepszym razie potomkowie dawnych właścicieli, którzy ich cierpienia znają jedynie z opowiadań. Tymczasem w Polsce żyją miliony osób dotkniętych zmianami własnościowymi po 1989 r.: skazani na bezrobocie po prywatyzacji przedsiębiorstw, sprzedani razem z mieszkaniami zakładowymi, odcięci od wypoczynku po prywatyzacji zakładowych domów wczasowych i pracowniczych ogrodów działkowych. Kto dziś korzysta ze zreprywatyzowanego uzdrowiska w Szczawnicy, które w czasach PRL specjalizowało się w leczeniu chorób zawodowych pracowników w wybudowanych wówczas sanatoriach Hutnik, Górnik, Papiernik, Budowlani i innych?

Choć polska prawica spod znaku PO i PiS powołuje się na ciągłość z II RP, nurt opozycji, który określił kształt ustrojowy Polski, rozpoczynał działalność nie od haseł „Fabryki – kapitalistom, ziemia – obszarnikom, kamienice – kamienicznikom", lecz od żądania uspołecznienia własności państwowej. Temu był poświęcony „List otwarty do partii…" Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, za którego rozpowszechnianie obaj trafili do więzienia. Żaden z 21 postulatów sierpniowych nie traktował o prywatyzacji i reprywatyzacji.

Solidarność – nazwę związku wymyślił Modzelewski – opracowała program uspołecznienia przedsiębiorstw państwowych poprzez zwiększenie roli samorządu pracowniczego w zarządzaniu nimi. Strona opozycyjna upierała się przy tym kierunku jeszcze w czasie rozmów przy Okrągłym Stole. Dopiero po przejęciu władzy Solidarność, kierując się nienawiścią do wszystkiego, co stworzono w Polsce Ludowej, dokonała barbarzyńskiego skoku na własność państwową, a w 2001 r. opanowany przez postsolidarnościowe partie Sejm przyjął ustawę reprywatyzacyjną zakładającą zwrot w naturze, a tam, gdzie byłoby to niemożliwe, zwrot połowy wartości utraconego majątku. Dokument, o którym Karol Modzelewski mówił, że godzi w zasadę obrony słabszych, został zawetowany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

„Poparcie dla przeprowadzenia w Polsce reprywatyzacji jest jednym z najwyższych, odkąd prowadzimy na ten temat badania – obecnie do zwolenników reprywatyzacji zalicza się 50% Polaków" – tak CBOS komentuje majowe badanie „Wokół reprywatyzacji". Niektóre odpowiedzi respondentów budzą zdziwienie i uśmiech. 14% odparło twierdząco na pytanie: „Czy Panu(i) lub Pana(i) najbliższej rodzinie – rodzicom, dziadkom, pradziadkom – zabrano po wojnie jakiś majątek?", natomiast zaledwie 3% odpowiedziało „tak" na pytanie: „Czy Pan(i) lub Pana(i) współmałżonek posiada obecnie lub użytkuje jakieś mienie – np. mieszkanie, ziemię, warsztat – które przed wojną było w posiadaniu kogoś innego? Chodzi o te dobra, które nie zostały kupione, ale otrzymane od państwa, np. w wyniku reformy rolnej, uspołecznienia mienia porzuconego, przydziału?". Można by sądzić, że ci, którzy przejęli mienie pożydowskie i poniemieckie, ziemię z reformy rolnej itd., byli pięć razy mniej liczni niż wydziedziczeni z majątków! Jak to pogodzić choćby z faktem, że w czasie reformy rolnej przejęto 9707 majątków, a ziemię otrzymało 387 tys. rodzin chłopskich?

Zaszczepiana przez prawicowe rządy polityka historyczna najwyraźniej przyjęła się w wielu rodzinach, które swój ród wywodzą z pałacu magnackiego, białego dworku szlacheckiego lub bogatej mieszczańskiej kamienicy, a nie jednoizbowych chałup z glinianą podłogą, czworaków, szop, suteren, oficyn, baraków dla bezdomnych i bezrobotnych. Gdy jednak do ich drzwi zapuka właściciel roszczeń do domu lub ziemi, rodowe mity założycielskie prysną jak bańka mydlana.

Komisja do spraw nieruchomości warszawskich ma cofać decyzje reprywatyzacyjne, a zatem dokonywać dereprywatyzacji (to określenie pojawiło się w tytule artykułu w „Rzeczpospolitej" z 6 czerwca). Czy warto się trudzić? Najskuteczniejszym środkiem zapobiegającym dereprywatyzacji byłoby zastopowanie reprywatyzacji.

Krzysztof Pilawski

Władze II RP nie szczędziły bojownikom niepodległości honorów, ale bardzo ściśle reglamentowały przywracanie im majątków.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 24736a12dd

SZÓSTY RAZ W NOWYM JORKU

Polska w Radzie Bezpieczeństwa ONZ

Robert Walenciak

To nie żaden nadzwyczajny sukces, ale też nie kompletne nic. Reakcje mediów i polityków na wybór Polski na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ były po prostu niesmaczne. Głupotą jest sprowadzanie wszystkiego do wojny PiS-PO, Kaczyński-Tusk.

CHAOS, CZYLI WOJNA PROPAGANDOWA

Czytałem te komentarze, było śmiesznie. Premier wołała, żeby ją przepraszać i że to wspaniały wynik 190:0. Tak naprawdę 190:2 (i ciekawe, kto się wstrzymał), ale skupmy się przez chwilę na stanie ducha pani Szydło – te okrzyki świadczą przecież z jednej strony o jej ignorancji, jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, a z drugiej o przemożnej chęci zmazania upokorzenia 27:1.

„Aktywny" był również minister Waszczykowski. Od razu się pochwalił, że na konsultacje – na poziomie wiceministrów – zaprosiła Polskę Rosja (no to już wiemy, na czyich pochwałach mu zależy), i dodał, że dzięki temu wiele spraw może iść do przodu, być może wyjaśniona też zostanie sprawa Smoleńska. O! Jak on to sobie wyobraża?

Poza tym nie wiem, czy minister Waszczykowski zdaje sobie z tego sprawę, ale popełnił wielkie *faux-pas*. Dla pisowców, panie ministrze, sprawa jest przecież jasna, w samolocie wybuchła bomba termobaryczna, o tym powiedział Jarosław Kaczyński. Czyżby miał pan inne zdanie? Co pan jeszcze chce wyjaśniać, skoro już zostało ogłoszone?

Również Platforma ruszyła na wojnę propagandową, zapewniając, że wszystko dawno było załatwione, jeszcze przez poprzednią ekipę, a Waszczykowski tylko spija śmietankę, korzysta z owoców ciężkiej pracy Sikorskiego i Schetyny. A tak w ogóle miejsce w Radzie Bezpieczeństwa to byle co, więc nie ma czym się chwalić. I bądź tu mądry, obywatelu…

POLSKA LUDOWA TAK SIĘ NIE CHWALIŁA

Może warto zatem przypomnieć parę faktów. Radę Bezpieczeństwa tworzy pięciu stałych członków (USA, Rosja, Chiny, Wielka Brytania i Francja) i dziesięciu niestałych. Niestali są wybierani na dwa lata jako reprezentanci swoich grup regionalnych. Klucz – dwukrotnie modyfikowany – jest taki, że nasz region, Europa Wschodnia, ma jednego reprezentanta, Europa Zachodnia dwóch, Afryka i Azja pięciu, Ameryka – także dwóch.

Z tej prostej wyliczanki wynika, że co kilkanaście lat Polska powinna być w Radzie Bezpieczeństwa. I rzeczywiście: najpierw była w latach 1946-1947, potem w roku 1961, również w latach 70. (1970-1971) i 80. (1982-1983, w czasie stanu wojennego), a ostatni raz w 90. (1996-1997). Czyli trafiła do Rady Bezpieczeństwa po raz szósty.

Dodajmy jeszcze jedno – w ciągu tych lat nasz region się zmienił; po roku 1989, po rozpadzie ZSRR, Jugosławii i Czechosłowacji, znacząco się powiększył.

To nie znaczy, że w czasach Polski Ludowej nie mieliśmy twardych batalii o miejsce w Radzie. Do historii przeszło głosowanie w roku 1960. Kraje NATO niespodziewanie zgłosiły wtedy kandydaturę Turcji, zaliczając ją za sprawą europejskiego fragmentu do Europy Środkowo-Wschodniej. Ta rywalizacja nijak nie mogła się zakończyć. Odbyło się ponad sto (!) głosowań, wszystkie bezowocne. Żeby zostać wybranym do Rady Bezpieczeństwa, trzeba otrzymać dwie trzecie głosów. Ani my, ani Turcja nie mogliśmy tej bariery przekroczyć. Ostatecznie wzięliśmy sprawy w swoje ręce i dogadaliśmy się z Turcją, że kadencja zostanie podzielona – oni wezmą rok i my rok.

ALBANIA, BOŚNIA…

Ostatnie nasze członkostwo, w latach 1996-1997, również nie przyszło nam łatwo. Rywalizowaliśmy wówczas z Albanią. Okazała się trudnym przeciwnikiem, gdyż popierały ją państwa islamskie. Tworzą one w ONZ wpływowy blok, bardzo trudno przegłosować coś przeciw nim. Ostatecznie Polska wygrała, choć nie pamiętam, by premier i prezydent organizowali z tego powodu specjalne konferencje prasowe.

Dziwna sytuacja zdarzyła się w roku 2009, w walce o kadencję 2010-2011. Byliśmy faworytem do zajęcia miejsca w Radzie Bezpieczeństwa, ale się wycofaliśmy, zostawiając pole Bośni i Hercegowinie.

Ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski tłumaczył ten walkower tym, że MSZ musi zebrać siły (fakt, że wątłe) na rok 2011, na czas półrocznego przywództwa w Unii. Drugim argumentem było wzmocnienie państwowości Bośni i Hercegowiny. Po cichu dopowiadano, że Bośnia cieszy się mocnym poparciem państw islamskich, więc walka z nią byłaby długa, ciężka, wymagałaby różnych koncesji, a i tak jej wynik mógłby być różny.

Tego wycofania się z rywalizacji nie oceniano dobrze. Obecność w Radzie Bezpieczeństwa nie wzmocniła Bośni. Ta jak się chwiała, tak chwieje, to nadal bardziej protektorat niż sprawny organizm państwowy, a Polska straciła przydatny instrument prowadzenia polityki zagranicznej. Na własne życzenie.

Nawiasem mówiąc, decyzja Sikorskiego była konsekwencją

W roku 2009 byliśmy faworytem, ale zrezygnowaliśmy ze starań o miejsce w Radzie Bezpieczeństwa, zostawiając pole Bośni i Hercegowinie.

eprasa.pl 24736a12dd

Na inauguracyjnej sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ 17 stycznia 1946 r. Polskę reprezentował minister spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski (nz. pierwszy z lewej).

ówczesnego stosunku Polski do ONZ. Za rządów PO wycofaliśmy się także z uczestnictwa w pokojowych misjach wojskowych, choć w okresie PRL byliśmy w tej dziedzinie światowym liderem, budowało to Polsce markę. Innymi słowy, w czasach Platformy odpuszczono sobie ONZ, uznano, że to ciało nieprzydatne, nieefektywne, że nie ma sensu angażować się w gry międzynarodowe. W ten sposób Sikorski wpisywał się w poglądy skrajnej amerykańskiej prawicy, postulującej rozwiązanie organizacji, a przynajmniej wykwaterowanie jej z terytorium USA.

...I BUŁGARIA

Tak doszliśmy do obecnej rozgrywki. Tym razem rywalizowaliśmy z Bułgarią, która jednak dość szybko się wycofała. Oficjalnie w grudniu 2016 r., a tak naprawdę jeszcze wcześniej. Zostaliśmy więc na placu boju sami i wynik był przesądzony.

Bułgarzy nie skapitulowali ot, tak sobie. Po pierwsze, wiedzieli, obserwując zabiegi Polski, że Warszawa nie odpuści. Po drugie, zdawali sobie sprawę, że będą mieli kłopoty, że będą ich blokować państwa islamskie, które na Sofię patrzą jeszcze gorzej niż na Warszawę. Po trzecie, zawarli z Polską *deal*. Dotyczył on naszego poparcia dla bułgarskiej kandydatki na stanowisko sekretarza generalnego ONZ.

31 grudnia 2016 r. kończyła się kadencja dotychczasowego sekretarza generalnego Ban Ki-moona, więc już pod koniec 2015 r. rozpoczął się wyścig do zwalniającego się fotela. Z dość ograniczoną grupą zawodników – wiadomo było, że kandydat powinien pochodzić z Europy. W ten wyścig bardzo mocno zaangażowała się Irina Bokowa, dyrektor generalna UNESCO, wcześniej wiceminister spraw zagranicznych Bułgarii, związana z lewicą, jej ojciec był bliskim współpracownikiem Todora Żiwkowa. To była zręczna kandydatura – Bokowa kierowała UNESCO drugą kadencję, miała więc doświadczenie w przewodniczeniu instytucjom międzynarodowym, poza tym wpisywała się w sugestie mediów, że czas, by sekretarzem generalnym ONZ została kobieta, najlepiej z regionu, który nigdy nie miał tej funkcji, czyli z Europy Środkowo-Wschodniej.

Bułgaria, z którą rywalizowaliśmy teraz, dość szybko się wycofała. Wynik był więc przesądzony.

Bokową popierała też Rosja. Ale dość powściągliwie wobec tej kandy-

eprasa.pl 24736a12dd

Wystąpienie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego podczas posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego ONZ 24 września 1996 r.

datury zachowywał się bułgarski rząd centroprawicowego premiera Bojka Borisowa. Premier proponował inną kobietę, unijną komisarz Kristalinę Georgiewę.

Ostatecznie, po miesiącach przepychanek, górą była Bokowa, ale Bułgarom już bardzo trudno było odzyskać stracony czasu. Zdążyli pozyskać m.in. poparcie Polski (w zamian za odpuszczenie miejsca w Radzie Bezpieczeństwa), ale to było za mało. Sekretarzem generalnym ONZ 13 października 2016 r. został, wybrany przez aklamację, António Guterres, były premier Portugalii, przez 10 lat szef tamtejszej Partii Socjalistycznej.

DUCH ŁAWROWA I MADELEINE ALBRIGHT

Słychać głosy, że dzięki temu członkostwu będziemy mieli wielki wpływ na światową politykę, zwłaszcza na sprawę Ukrainy. Gruba przesada – właśnie zajmujemy w Radzie Bezpieczeństwa miejsce Ukrainy, trudno więc przypuszczać, że będziemy w jej sprawie skuteczniejsi niż ona.

Członkostwo w Radzie traktujmy raczej jako powrót do światowej polityki. A dokładnie – jako próbę powrotu, bo żeby nam się powiodło, musielibyśmy mieć sprawną, zaprawioną w bojach dyplomację. A tej minister Waszczykowski zbudować nie potrafi. I nawet jeśli sam pojedzie na stanowisko ambasadora przy ONZ, bez sprawnego zespołu niewiele zdziała. Czy pojedzie? Takie informacje krążą po Warszawie, to miałaby być jego honorowa dymisja, zwłaszcza że kończy się kadencja obecnego ambasadora przy ONZ Bogusława Winida.

Warto przypomnieć, jak działała Polska w Radzie Bezpieczeństwa w latach 1996-1997, wtedy łatwiej będzie nam zrozumieć specyfikę tego miejsca. Rada jest bowiem, z jednej strony, forum, na którym szuka się rozwiązań rozładowujących regionalne konflikty, z drugiej zaś – miejscem gry dyplomatycznej i politycznej, czyli prezentacji swoich poglądów, budowania pozycji państwa na arenie międzynarodowej.

Za rządów PO wycofaliśmy się z uczestnictwa w pokojowych misjach wojskowych.

W latach 1996-1997 działaliśmy tak, że jedna grupa pracowała w Nowym Jorku, a druga w centrali, w Warszawie. Ci w Nowym Jorku trzymali rękę na pulsie („CNN podała jakąś informację, a my następnego dnia musieliśmy już mieć opracowane stanowisko. W ciągu tych dwóch lat nie wyspałem się ani razu" – to wspomnienie jednego z dyplomatów), a sztab w Warszawie był miejscem refleksji politycznej i koordynowania działań. Ekipa z Nowego Jorku informowała o danej sprawie i wstępnym stanowisku zainteresowanych stron, a Warszawa opracowywała nasze stanowisko, zbierając przy tym potrzebne informacje, także z innych ambasad.

Wszystko musiało być na poważnie. W tamtym czasie ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ była Madeleine Albright, a jej rosyjskim rywalem – Siergiej Ławrow. Dyplomatyczna szermierka odbywała się więc na najwyższym poziomie.

Świadczą też o tym losy ludzi z dalszych szeregów ówczesnych ekip. Są wiceministrami spraw zagranicznych, dwóch doszło do stanowisk zastępcy sekretarza generalnego ONZ. Tymczasem z polskiej ekipy z tamtego okresu nic nie zostało.

CO BĘDĄ ROBIĆ?

A co zostanie z ekipy, która zainstaluje się w Nowym Jorku jesienią? Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, jakie czekają ją wyzwania. Konflikty na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie przecież nagle się nie skończą. Ten drugi będzie generował kolejne fale uchodźców. Jeśli Polska chce być poważnie traktowana, nie może się ograniczać do apeli: „Europo, wstań z kolan", tylko będzie musiała coś przytomnego proponować.

Zasada jest taka, że aby być skutecznym w Radzie Bezpieczeństwa – tłumaczył mi niedawno doświadczony dyplomata – trzeba mieć trzy atuty: pieniądze, siły militarne i dyplomację z dobrymi pomysłami. Ba! Ale skąd to wszystko wziąć?

Przez lata Polska miała swoją specjalizację – operacje pokojowe. Tu byliśmy cenieni jako państwo nie tylko dostarczające żołnierzy, ale i mające doświadczenie logistyczne, finansowe i prawne w organizowaniu takich misji. Pewnie trzeba to będzie odbudować.

Miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ można też znakomicie skapitalizować. Jej członkowie to pożądani goście na różnych forach. Przed Polską otwierają się więc drzwi dotychczas zamknięte. Otwiera się świat.

Banałem byłoby pytać, czy jesteśmy gotowi na spotkanie z nim. Ale przecież trzeba to pytanie postawić.

Robert Walenciak

FOT. UN PHOTO

eprasa.pl 24736a12dd

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

POLSCY MIGRANCI

Dla większej klarowności dyskusji trzeba mieć w pamięci podział krajów na te, do których migranci wszelkimi sposobami, z narażeniem życia starają się dostać i w nich osiedlić, oraz na te, z których ludzie starają się wyjechać, w miarę możliwości na stałe. W namiętnej dyskusji na temat, czy Polska powinna przyjmować migrantów, czy raczej przed nimi się bronić, użyteczne będzie cały czas pamiętać, że Polska należy do tej kategorii krajów, z których ludzie emigrują. Wielu Polaków nie chce mieszkać w Polsce, mówi się o dwóch czy trzech milionach emigrantów zarobkowych lub kulturowych, bo pewna część z nich wyjechała ze względu na złą atmosferę moralną i brak obiecujących perspektyw na przyszłość, nie z obawy o życie, lecz z poczucia beznadziejności. Oczywiście istnieje duża różnica między uchodźcami przed terrorem czy wojną a uchodźcami przed beznadziejną przyszłością, a właśnie tak uzasadnia swoją emigrację lub jej chęć wielu Polaków. Państwo polskie, przystępując do Unii Europejskiej, zapewniło swoim obywatelom wygodne, wprost luksusowe warunki emigracji. Wymaganie od polskiego rządu, żeby prowadził taką politykę jak zachodnie państwa, miałoby sens, gdyby Polskę przenieść z kategorii krajów, z których ludzie wyjeżdżają, do kategorii krajów będących docelowym miejscem migrantów. Przy obecnym stanie rzeczy wspólna polityka europejska w sprawie migracji, w tym uchodźctwa, jest niemożliwa i nie ma sensu. Rząd pisowski, nawet jeśli czasem ma rację, to egzekwuje ją często w sposób ściągający na Polskę pogardę zagranicy. Odmawia przyjęcia 12 tys. migrantów (czy uchodźców), do czego zobowiązał się rząd poprzedni. Taka jest teologia polityczna kaczystów, że podobnie jak ich poprzednicy, a obecnie oponenci, tylko wtedy uznają zobowiązania państwa, gdy sami nim rządzą.

Dziennikarze opozycyjni, chcąc obrazić panią premier Beatę Szydło, przezwali ją polską Marine Le Pen. W istocie jest to niezasłużony komplement, bo Marine Le Pen może przynieść szkodę Francji, ale jest jedną z wybitniejszych kobiet w polityce, może nie formatu Goldy Meir, ale porównanie z Margaret Thatcher byłoby uzasadnione. Jest na innym etapie kariery, ale mówimy o potencjale, a nie o uwieńczonej urzędem premiera karierze.

Ludność wschodnich krajów Unii jest wroga, a przynajmniej niechętna imigracji nie tylko u siebie, ale także w Europie Zachodniej, i nie jest jasne dlaczego, bo przecież jej to nie dotyczy. Najwidoczniejsza przyczyna jest ta, że społeczeństwa krajów zachodnich były przez kilkadziesiąt lat poddawane wychowaniu w duchu miłowania obcych. Kto się temu wychowaniu nie poddawał, był uznawany za rasistę, a rasizm jest karalny. Warstwy dłużej kształcone i zajmujące wyższe stanowiska są lepiej pod tym względem wychowane, natomiast biedni i krótko kształceni myślą w sprawie imigracji jak my tu, w Europie mniejszej prędkości. Nie trzeba zapominać o mało widocznej, ale ważnej, choć nielicznej grupie przeciwników imigracji, jaką stanowią nonkonformistyczni, elitarni intelektualiści. Nimi powoduje żal, że wraz ze zmianą składu etnicznego Europy zmieni się kultura i nie będzie to wzlot, lecz degrengolada i upadek. Cały dorobek Europy – jej sztuka, filozofia, prawo, muzyka – przejdą do domeny muzealnej w najlepszym razie, ale niewykluczone, że po pewnym czasie Beethoven, Mozart, Goethe, Pascal, Kant czy Proust zostaną wyrzuceni na śmietnik. To już się zaczęło. Politycznie skutki napływu mas cywilizowanych inaczej będą takie jak skutki „buntu mas" po I wojnie światowej, tzn. demokracja się zachwieje, a tu i ówdzie całkiem upadnie. Nonkonformistyczni intelektualiści nigdy nie będą mieli tyle pieniędzy, ile trzeba, żeby wygrywać demokratyczne wybory, więc ich głos byłby wołaniem na puszczy.

Bardzo lubię tych lewicowych polityków i dziennikarzy, którzy sami wprawdzie są niewierzący, ale w bardzo namolny sposób apelują do chrześcijan, ich sumienia, miłosierdzia i innych cnót ewangelicznych. Przemilczają tylko drobiazg, że chrześcijanie ze wszystkimi swoimi cnotami przez tysiąc lat bronili Europy przed islamem. Co tu jest ważniejsze: nawarstwienia historyczne czy morałowe zaklęcia i frazesy? Powiedzcie Polakom i Węgrom, że ich „przedmurze chrześcijaństwa" było błędem politycznym, a Sobieski pod Wiedniem dopuścił się rasizmu na mahometanach i jeszcze ich obrabował. A oni tylko chcieli zamieszkać w Wiedniu. Tego rodzaju analogie historyczne nie są mniej przekonujące niżeli apelowanie liberalnej lewicy ateistycznej do chrześcijańskich sumień.

Temat imigracji pojawiał się w moich publikacjach w ciągu ponad 20 lat jako jeden z częściej wzmiankowanych. To nie brak tolerancji dla muzułmanów jest przeszkodą dla ich asymilacji w Europie – pisałem w 1998 r. – „tolerancja, otwartość, wielokulturowość i laickość są także przeszkodami w tym sensie, że muzułmanie tych zasad nie uznają. Moż-

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 24736a12dd

na tolerować islam, ale co zrobić, aby być przez islam tolerowanym? Pierre Joxe [autor książki „Edykt nantejski. Historia na dziś", wówczas minister spraw wewnętrznych Francji] obserwuje u muzułmanów francuskich wzrost tolerancji dla innych religii i sądzi, że Koran jest coraz liberalniej interpretowany. Liczy na »sfrancuzienie« islamu, a następnie na wpływ tej liberalnej i zlaicyzowanej odmiany na obszar islamu śródziemnomorskiego. Są to, naturalnie, nadzieje, które pozostają politykom po niepowodzeniach ich integracjonistycznej polityki.

Sięganie po analogię edyktu nantejskiego, zrównującego prawa katolików i hugonotów, świadczy, jak daleko sprawy zaszły (...). I jednocześnie zdradza gotowość polityków do ucieczki w pozorne rozwiązania" (cyt. z książki „Łagodny protest obywatelski"). Od tamtego czasu w rzeczywistości wiele się zmieniło (na bardzo gorsze), ale „paradygmat" klasy politycznej Zachodu zasadniczo pozostał ten sam.

•

Wspomniałem w wypowiedzi internetowej, że PRL odnosiła sukcesy w polityce międzynarodowej, co jest oczywiste. Jeden z internautów napisał, że z taką samą słusznością można powiedzieć, że „kraj priwislanski był imperium rozciągającym się od Kalisza do Władywostoku". Spodobał mi się ten żart. Pokazuje on, jak wybiórczo, selektywnie patrzy się na rzeczywistość. Silną pozycję, jaką Polska uzyskała w Europie Środkowej (oby ją utrzymała w przyszłości!), uznaje się za stan naturalny, który sam z siebie zaistniał. Nie widzi się nawet takich ważnych, znaczących faktów jak stosunki PRL ze Stanami Zjednoczonymi, o których parę miesięcy temu była sekretarz stanu Condoleezza Rice powiedziała, że były one uprzywilejowane nawet podczas zimnej wojny. Pomoc, jakiej USA – bywało – udzielały Polsce, budziła podejrzliwość Moskwy. Dlaczego aż sekretarze stanu USA są potrzebni, żeby Polakom uprzytomnić ważne dla nich fakty? Z żadnym innym krajem obozu radzieckiego Ameryka takich stosunków nie utrzymywała. Polscy dyplomaci chyba pamiętają, że byli wyróżniani przez dyplomatów amerykańskich na długo przed panowaniem Solidarności.

Bronisław Łagowski

CIĘŻKI CZERWIEC

Wybory w Wielkiej Brytanii przyniosły zawieszony parlament

Tomasz Borejza

Dzień przed wyborami brytyjskie gazety głosiły: ostatnie sondaże pokazują, że torysi wygrają z największą przewagą od czasów Margaret Thatcher. Internet odpowiedział, żeby w to nie wierzyć i iść głosować. „Chodzi o to, żebyście pomyśleli, że Corbyn nie ma szans", napisali admini popularnej strony Evolve Politics. Trochę później ludzie zaczęli wykupywać nakłady tabloidów wspierających torysów, wrzucać je do koszy na śmieci i podpalać. Zdjęcia tych ognisk wpuszczali do sieci, a jeden z nich napisał: „W ten sposób na nowo rozpalam brytyjskiego ducha". Zaraz potem serwisy doniosły, że zdecydowana większość Brytyjczyków, którzy w dniu wyborów zajrzeli do bukmachera, postawiła na Jeremy'ego Corbyna. To naturalne, że po takiej wizycie poszli na niego zagłosować.

Nie wszyscy, to jasne. Jednak zdecydowanie więcej, niż przewidywano na początku kampanii. Wystarczająco dużo, by ogłosić sukces Labour Party, i prawdopodobnie wystarczająco dużo, by w przewidywalnej perspektywie pozbawić Theresę May stanowiska. Taki jest skutek wyborów, które zostały rozpisane tylko po to, by wzmocnić mandat rządzącej partii. Warto przypomnieć, że kiedy decyzja została podjęta, pytano głównie, o ile zwiększy się konserwatywna większość w parlamencie. Jeszcze 20 maja Theresa May tweetowała: „Jeżeli stracę choćby sześć miejsc, to przegram wybory i Jeremy Corbyn będzie negocjował z Europą".

Tymczasem Partia Pracy zdobyła 40% głosów i w systemie proporcjonalnym formowałaby właśnie koalicyjny rząd. W większościowym systemie Wielkiej Brytanii wszystko wygląda nieco inaczej, ale i tak zyskała 29 mandatów (gdy to piszę, podano wyniki z 649 na 650 okręgów – TB), a jej najwięksi rywale stracili 12 posłów oraz samodzielną większość w parlamencie. – Ten nietypowy wynik pozostawia każdą możliwość otwartą – komentował rezultat wyborów na gorąco Tom Peck, zajmujący się polityką krajową w dzienniku „The Independent". – To będzie bardzo, bardzo długa noc. I bardzo zła dla pani premier.

Z KIM TORYSOM JEST PO DRODZE?

Torysom zabraknie ośmiu mandatów do samodzielnej większości (do tej potrzeba 326 mandatów, ponieważ posłowie irlandzkiej partii Sinn Féin tradycyjnie zdobywają kilka mandatów w Belfaście, ale nie obejmują miejsc w Westminsterze). Brytyjski parlament będzie więc tzw. parlamentem zawieszonym, w którym żadna partia nie ma samodzielnej większości. Będzie to trzeci taki wypadek od II wojny światowej. Za pierwszym razem, w 1974 r., po ledwie kilku miesiącach rozpisano wybory. Za drugim, siedem lat temu, David Cameron utworzył rząd z Liberalnymi Demokratami, co tym razem raczej się nie powtórzy. Wielu wyborców liberałów odebrało to wówczas jako zdradę, co niemal pogrzebało partię – głosowano bowiem na nich przede wszystkim po to, by laburzystów zostawić przy władzy, ale jednocześnie ich nie poprzeć. Liberałowie o tym pamiętają, do tego dochodzi zdecydowane poparcie Liberalnych Demokratów dla Unii Europejskiej i domaganie się drugiego referendum brexitowego.

To ustępstwo, na które Partia Konserwatywna nie może się zdecydować. Co zatem może się stać? Może powstać mniejszościowy rząd torysów, wsparty przez 10 ulsterskich unionistów. To do nich pierwsze kroki skierowała Theresa May, która jako liderka partii z największą liczbą posłów otrzymała od królowej Elżbiety II misję utworzenia rządu. Demokratyczna Partia Unionistyczna to jedyne

eprasa.pl 24736a12dd

PANI MAY

Jeremy Corbyn jest gotów stanąć na czele rządu, ale ma małe szanse na zdobycie wystarczającego poparcia.

mniejszościowe ugrupowanie, z którym torysom jest po drodze. Wszyscy inni na skali politycznych poglądów i interesów sytuują się daleko od nich.

Na przykład liderka Zielonych, którzy zdobyli jeden mandat, od razu po ogłoszeniu *exit polls* zadeklarowała, że wynik bardzo jej się podoba i jeżeli będzie miała okazję, poprze Partię Pracy. – Wynik jest znakomity. Jeżeli się potwierdzi, konserwatyści będą musieli zapłacić cenę za lekkomyślną zagrywkę z wyborami. Każdy zielony poseł, który zostanie dziś wybrany, zrobi wszystko, by utrzymać torysów jak najdalej od numeru 10 (tak zwyczajowo określa się siedzibę brytyjskiego premiera – TB), i poprze laburzystowski rząd w kolejnych głosowaniach – mówiła Caroline Lucas. Podobne deklaracje od dawna składa też szefowa szkockich nacjonalistów Nicole Sturgeon.

Jednak nawet jeżeli Theresa May sformuje rząd i zdobędzie dla niego poparcie, wynik wyborów uznano za jej porażkę. Do jej dymisji – ze stanowiska zarówno premiera, jak i liderki partii – wzywają nie tylko rywale. Głowy Theresy May domagają się także partyjni koledzy, którzy liczą na zajęcie jej stanowiska. Wśród tych, którzy mogą ją zastąpić i poprowadzić torysów do kolejnych wyborów, na pierwszym miejscu wymienia się byłego burmistrza Londynu, obecnego ministra spraw zagranicznych i głównego autora Brexitu, Borisa Johnsona. Ten już zaczął zabiegać o poparcie dla partyjnego przewrotu i swojej kandydatury na lidera. W takim wypadku torysi najprawdopodobniej parliby do przedterminowych wyborów, które mogłyby się odbyć jesienią lub w pierwszej połowie przyszłego roku. Johnson świetnie wyczuwa nastroje społeczne i byłby dla laburzystów trudniejszym rywalem niż snobistyczna i wyalienowana Theresa May, której kolejne posunięcia sprawiły, że o konserwatystach znowu zaczęto mówić *Nasty Party* (Paskudna Partia – TB), podkreślając w ten sposób jej arogancję oraz niechęć do tzw. zwykłych ludzi.

Partia Pracy zdobyła 40% głosów i w systemie proporcjonalnym formowałaby koalicyjny rząd.

W realizacji takiego planu przeszkadza jedynie to, że za kilkanaście dni mają się rozpocząć negocjacje między Londynem a Brukselą dotyczące Brexitu. Johnson nie jest człowiekiem znanym z tego, że interes kraju przedkłada ponad własny. Uważa się, że jest dokładnie na odwrót, i jako przykład wskazuje referendum w sprawie wyjścia z Unii. Były burmistrz Londynu ewidentnie zagrał tu na siebie; aktywnie angażując się w kampanię za wyjściem, wbił nóż w plecy partyjnemu koledze Davidowi Cameronowi i przeważył szalę na korzyść Brexitu. Nikt nie byłby zaskoczony, gdyby zagroził negocjacjom z Brukselą, by zamieszkać pod numerem 10. Tym bardziej że argumenty będzie miał doskonałe, ponieważ

Wyniki wyborów (po przeliczeniu 349 mandatów)

Partia Konserwatywna	– 318 mandatów (-12 w stosunku do poprzednich wyborów)
Partia Pracy	– 261 mandatów (+31)
Szkocka Partia Narodowa	– 35 mandatów (-19)
Liberalni Demokraci	– 12 mandatów (+3)
Inne	– 23 mandaty (-3)

W Izbie Gmin jest 650 deputowanych, większość – 326.

FOT. REX/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 24736a12dd

obecna sytuacja będzie bardzo niewygodna dla negocjatorów. – Jeżeli premier zdecyduje się rządzić, bazując na mniejszości, znajdzie się w sytuacji, której trudności niemal nie da się opisać. Będzie potrzebować głosów innych partii, które jasno odrzuciły jej podejście do Brexitu, by przez dwie izby parlamentu przeprowadzić najbardziej złożone i dzielące programy legislacyjne w historii. A nie będzie miała większości w żadnej z nich – komentował Joe Watts z „The Independent".

Wielka Brytania będzie zatem potrzebować kogoś, kto ją z kłopotów wyciągnie.

TĘCZOWA KOALICJA

Technicznie rzecz wygląda tak, że May powinna teraz podjąć próbę sformowania rządu i uzyskania dla niego poparcia – można więc się spodziewać kilku dni negocjacji i szukania sojuszników, a także tarć wewnątrz Partii Konserwatywnej. Przy czym poparcie nie musi oznaczać koalicji. Wystarczy, że mniejsza partia zapewni jej wotum zaufania. Do jego zdobycia wystarczą głosy wszystkich torysów oraz unionistów. Dopiero jeżeli to się nie uda lub torysi zrezygnują, bo nie będą widzieć szans na stabilny rząd, Elżbieta II zwróci się do lidera drugiej największej partii w Izbie Gmin, czyli Jeremy'ego Corbyna, by to on spróbował sformować gabinet. Corbyn już zadeklarował, że jest gotów stanąć na czele takiego rządu i realizować laburzystowski manifest.

Miałby jednak małe szanse na zdobycie wystarczającego poparcia. Matematyka także jest tutaj nieubłagana i koalicji, nazywanej tęczową, postępową lub chaosu, która miałaby się składać z Partii Pracy, szkockich nacjonalistów, Zielonych oraz Liberalnych Demokratów i którą – jak wynika z sondaży – chce widzieć u władzy 58% Brytyjczyków, zabrakłoby głosów. Sam Corbyn odcina się też od jakichkolwiek planów koalicji. Przeszkodą dla laburzystów – oprócz kalkulacji politycznej, bo Partia Pracy chce odzyskać północ Wyspy – jest dążenie Szkotów do rozbicia Wielkiej Brytanii. Jeżeli jednak ci zgodziliby się poświęcić to żądanie na rzecz większej autonomii, drzwi do sojuszu mogłyby się otworzyć. Tym bardziej że ideowo jest tym partiom do siebie bardzo blisko. Jest to jednak rozmowa, która tym razem chyba się nie odbędzie.

PO WYBORACH, PRZED WYBORAMI?

Taka koalicja nie ma bowiem większości i ewentualny rząd mniejszościowy miałby za małe poparcie, by efektywnie rządzić. Zdecydowanie się na ten wariant wymagałoby dużej odwagi i choć Corbyn dał się już poznać jako człowiek, który nie boi się wyzwań, tutaj potrzebowałby rezygnacji torysów z planów sformowania rządu. To jest możliwe, ale wydaje się mało prawdopodobne. Zwłaszcza że taka decyzja przyniosłaby kilka dużych korzyści laburzystom.

Po pierwsze, potwierdziłaby wyborczy sukces Corbyna i to, że laburzyści stają na nogi. A także dała możliwość zgłaszania konkretnych projektów nowych ustaw, którym torysi musieliby się sprzeciwiać. Patrząc na laburzystowski program, byłaby to szansa na zdobycie nowych wyborców – a kiedy mówi się o tym, że wynik z czwartku jest sukcesem, wypada pamiętać, że Partia Pracy zdobyła 261 mandatów. Gdy Tony Blair zostawał premierem w 1997 r., wspierało go 418 posłów.

Po drugie, byłby to znacznie lepszy punkt wyjścia do wcześniejszych wyborów, o których mówi się bardzo często, kiedy rysuje się scenariusze na najbliższe dni i miesiące. Jeżeli Partia Pracy miałaby startować do wyborów z tego samego poziomu co teraz, to o drugą równie skuteczną kampanię byłoby jej bardzo trudno. Niełatwo będzie powtórzyć taką mobilizację, jaką można było obserwować przez ostatnie tygodnie, a rywal będzie lepiej przygotowany i na pewno trudniejszy. Szczególnie jeżeli rzeczywiście będzie nim Boris Johnson.

Torysi świetnie o tym wiedzą i wątpliwe, by powtórzyli błąd Gordona Browna, który w 2010 r. mógł stworzyć koalicyjny rząd z Liberalnymi Demokratami, ale zrezygnował z tego i na kilka lat zepchnął swoją partię na margines. Przy czym wcześniejsze wybory można rozpisać w dwóch wypadkach. Gdy rząd dwukrotnie przegra głosowanie nad wotum zaufania lub gdy dwie trzecie posłów zdecyduje się poprzeć wniosek o przyśpieszone wybory. Ten drugi scenariusz jest w tej chwili prawdopodobny – obu największym partiom dawałby szansę na wyjście ze stanu zawieszenia.

NIE MÓW MI, CO MAM ROBIĆ

Niezależnie od tego, na jakie rozwiązanie zdecydują się Brytyjczycy, trzeba powiedzieć jedno. Kampania Partii Pracy była niezwykle skuteczna (omawialiśmy ją w poprzednim numerze). Wybory rozpisane po to, by pogrzebać laburzystów, okazały się politycznym pogrzebem rozpisującej je, a laburzystom dały nadzieję na lepszą przyszłość. Już dziś rywale partyjni Corbyna mówią, że teraz trzeba się zjednoczyć wokół wizji, która trafia do ludzi. W dużej mierze są to deklaracje wygłaszane pod publiczkę, ale ci sami ludzie jeszcze kilka miesięcy temu deklarowali, że trzeba zrobić wszystko, by Corbyna usunąć.

Być może najciekawsze jest to, że kampania poskutkowała na przekór zdecydowanej większości mediów. Przedstawiały one Corbyna jako niewybieralnego oszołoma i zgodnie pouczały wyborców, by nie pozwolili mu „zniszczyć Wielkiej Brytanii".

Dzień przed wyborami gazety zapowiedziały, że torysi wygrają z największą przewagą od czasów Margaret Thatcher.

Starsi dali się przekonać, młodsi postanowili pokazać medialnym autorytetom środkowy palec, oświadczając: nie mówcie nam, co mamy robić. Widać, że nadszedł zmierzch epoki, gdy ludzi można było pouczać, co mogą lub powinni myśleć. Jeszcze 20 lat temu opinie kształtowały się na podstawie komunikatów płynących w jedną stronę – przez media do odbiorców. Dziś są formowane w ciągłej rozmowie. Efekt był taki, że najwięcej rozmawiano nie o tym, że lider laburzystów jest socjalistą, ale o tym, jak odebrać władzę Theresie May. Torysi nie zauważyli tej zmiany. Laburzyści ją wykorzystali. Teraz trzeba poczekać, co z tego wyniknie. Nie jest to bowiem koniec politycznych wstrząsów w Wielkiej Brytanii.

Tomasz Borejza

eprasa.pl 24736a12dd

Inne możliwe

Roman Kurkiewicz

POLICJO, CÓŻEŚ TY ZA PANI?

Polska policja ewidentnie się pogubiła i nie bardzo wie, czy jest służbą publiczną czy też zbrojnym ramieniem rządzącej partii, a może obrończynią systemu politycznego, który każe bronić bogatych przed biednymi.

Policja zachłysnęła się swoim dobrym wizerunkiem wynikającym z badań opinii publicznej, uznanym miejscem w państwie, odbudowaną po latach renomą. I nie zauważyła, jak w tym samym czasie koroduje od dołu, rdzewieje z boku, chwieje się od góry i słania się tam, gdzie chcą akurat rządzący. Jest w potężnym kryzysie, którego nie jest świadoma, i do którego nie za bardzo chce się przyznać (a któraż to potężna korporacja lubi się przyznawać, że toczy ją choroba, patologia, niemoc?). Choć ustawowo ma wiele form i możliwości przyjęcia krytyki i dokonania samonaprawy, woli się oglądać na – werbalizowane lub nie – oczekiwania każdoczesnej władzy zwierzchniej. Trzeba więc przypomnieć, że to my, społeczeństwo, jesteśmy zwierzchnością policji, której oddajemy w skrajnym wypadku prawo do użycia przemocy wobec tych z nas, którzy obowiązujące prawo naruszają, zagrażają innym, stosują przemoc – fizyczną i werbalną.

W ostatnich miesiącach bez pośredników oglądamy ten spektakl: jedna scena to bestialskie torturowanie i zamordowanie Igora Stachowiaka na wrocławskim komisariacie (a potem spektakl tuszowania sprawy, ukrywania, mataczenia przez przełożonych aż do szczebla ministerialnego), kolejne to pokazy brutalności wobec niektórych manifestantów na niektórych manifestacjach – i jakoś tak się składa, że np. policja poznańska bez chwili namysłu brutalnie zatrzymuje kobiety na manifestacji (pretekstem jest wejście na drabinkę nieoznaczonego furgonu policyjnego) i oskarża je o naruszenie nietykalności policjantów, a nie wykazuje w ogóle takiej determinacji, kiedy faszyzujący manifestanci pod warszawskim Teatrem Powszechnym przewracają policjantów. Przestaje zaskakiwać to, że – jak widzimy – są manifestacje równe i równiejsze. Kiedy policjanci „interweniują" w Warszawie w sprawie pobitego lokatora, którego właściciel chce wyrzucić z mieszkania, radzą pobitemu, żeby się opanował i dogadał z tym, który go pobił, czyli jednoznacznie stają po stronie sprawcy, a nie ofiary. Tak się działo zresztą od lat w interwencjach związanych z dramatami lokatorów z reprywatyzowanych (bezprawnie) mieszkań.

Jeśli się nie ma radykalnego poglądu, że policja jest po prostu całkowicie zbędna (jak anarchiści), to próbuje się jej działania ustawowo unormować i uregulować. Problemem staje się jednak egzekucja naruszeń prawa przez policję. Tylko nieznaczna część skarg jest rozpatrywana, policjanci mogą w zasadzie czuć się bezkarni, niestety zarówno wtedy, kiedy po prostu nie chce im się przyjąć zgłoszenia, jak i wtedy, kiedy nadużywają przemocy, wspierają bezprawne działania innych (np. dzikie eksmisje bez decyzji sądu), aż do nadużywania przemocy czy – w najbardziej skrajnej formie – mordu na komisariacie.

Myślę, że w wizji przebudowanego państwa (i nie chodzi tu tylko o pisowską demolkę, ale też o wcześniejsze dokonania) konieczne będzie jasne określenie policyjnej mocy i jej ograniczeń. Zależność od władzy wykonawczej (rządu – trzeba to przypominać, bo wyrosło już całe pokolenie, które nie wie, że rząd to władza wykonawcza jeno, a inne pokolenie postanowiło to bez odpowiedniego mandatu zakwestionować) jest oczywista, podobnie jak forma hierarchii służbowej. Muszą jednak istnieć systemowe bezpieczniki gwarantujące policji możliwość działania zgodnie z prawem i konstytucyjnym ładem, kiedy władzy przychodzi przekierowywać ją na tory służby partii, a nie społeczeństwu – co możemy coraz częściej oglądać.

Do tego służy poważne potraktowanie praw człowieka, broni się ich niezależnie od tego, kto usiłuje je łamać. Z tym policja ewidentnie ma dzisiaj kłopot, ponieważ obecna władza (a i poprzednie mają sporo za uszami) praw człowieka nie szanuje, gardzi nimi i nie uznaje zobowiązań, które jej samej dotyczą.

Kiedy każdy posterunkowy uważa się za szeryfa, któremu wszystko wolno, robi się groźnie.

Często myślę, że jednym z błędów formacyjnych policji po roku 1989 mogło być wzorowanie się na sposobie działania policji amerykańskiej, *toutes proportions gardées*, a nie brytyjskiej czy skandynawskiej chociażby. Bo choć nie ma chyba na świecie policyjnej formacji, która nie miałaby problemu z nadużywaniem przemocy, z drogą na skróty (bicie, tortury, sprzyjanie skrajnej prawicy), różnice są widoczne gołym okiem. Kiedy każdy posterunkowy uważa się za szeryfa, któremu wszystko wolno, robi się groźnie. Jeśli jeszcze wie, że może liczyć na akceptację władzy, bo za chwilę władza będzie go potrzebowała na swoją obronę – robi się skrajnie niebezpiecznie.

Nie wiem, czy policja obroni się sama, a przyjdzie jej za swoje zaniechania i naruszenia odpowiedzieć. Jeśli już akceptujemy istnienie państwa jako organizmu regulującego nasze pokojowe współistnienie, to trzeba pamiętać, że państwo stoi ponad partią, że każdy rząd i jego najgorszy minister spraw wewnętrznych odejdzie w niepamięć i niebyt.

Ogarnij się, policjo.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

epresa.pl 24736a12dd

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

WYJŚCIE TRUMPA

Wycofanie się USA z porozumienia klimatycznego jest największą od końca II wojny próbą sił w stosunkach z Europą

Zostałem wybrany po to, aby reprezentować mieszkańców Pittsburgha, a nie Paryża – zagrzmiał Donald Trump w ogrodzie przed Gabinetem Owalnym, po tym jak dzień wcześniej podczas szczytu G7 na Sycylii oświadczył innym przywódcom, że Stany Zjednoczone wycofują się z zawartego w 2015 r. porozumienia klimatycznego. Na spotkaniu w Taorminie Angela Merkel do końca próbowała odwieść prezydenta USA od tej decyzji i wyjaśnić mu zalety ustaleń paryskich. Mówiła, że energia odnawialna to niespotykana szansa, a jeśli największa gospodarka na świecie wycofa się z tej epokowej umowy, powstanie luka, którą będą mogły wypełnić tylko Chiny.

W sukurs szefowej niemieckiego rządu pośpieszył Emmanuel Macron, który chciałby, żeby podpisana nad Sekwaną umowa została za wszelką cenę podtrzymana. – Zmiana klimatu jest rzeczywista i dotyczy najbiedniejszych krajów. Nawet Arabia Saudyjska myśli już o przyszłości bez ropy naftowej – zapewniał prezydent Francji. Zdumienia nie krył także premier Kanady, dla którego południowy sąsiad zawsze stanowił ostoję rozsądku. W rozmowie z Trumpem Justin Trudeau przywołał wspólne wysiłki w walce z dziurą ozonową. To jednak nic nie dało. Według prezydenta USA zapisane w porozumieniu paryskim zobowiązania szkodzą gospodarce jego kraju.

Demonstracja aktywistów Oxfamu, międzynarodowej organizacji zajmującej się walką z głodem na świecie, w czasie szczytu G7. Od lewej postacie: premiera Włoch Paola Gentiloniego, Donalda Trumpa i Angeli Merkel.

ZŁE NIEMCY, BARDZO ZŁE!

Stany Zjednoczone są po Chinach drugim największym producentem gazów cieplarnianych. Trump przeciwstawił się niemal całemu światu, z wyjątkiem Nikaragui i Syrii, które jako jedyne nie podpisały historycznego porozumienia. – Zerwanie tej międzynarodowej umowy jest największą próbą w stosunkach między Europą i USA od końca II wojny światowej – uważa Andreas Rüesch z „Neue Zürcher Zeitung".

Trump przed wyborami kilkakrotnie zapowiadał rezygnację z ustaleń klimatycznych, jego majowa decyzja nie powinna być zatem zaskoczeniem. Łudzono się jednak, że powaga urzędu zweryfikuje przedwyborcze zapowiedzi. Szczególnie dla Merkel, byłej obywatelki NRD, silny sojusz transatlantycki zawsze miał wartość nadrzędną. Szefowa niemieckiego rządu nigdy nie posunęła się do ostrzejszych słów pod adresem Waszyngtonu, utrzymywała dobre kontakty choćby z administracją George'a W. Busha. Dotychczas jednak żaden prezydent USA nie odważył się wejść na jej terytorium, jakim jest walka ze zmianą klimatu. Toteż dawna minister środowiska była oburzona. – Czasy, kiedy mogliśmy bezwarunkowo polegać na pomocy innych, niestety już minęły. Teraz Europa musi sama zadbać o swoje losy – stwierdziła na początku czerwca w bawarskim Truderingu. Tym samym dała do zrozumienia innym państwom, że Stany znalazły się w izolacji, co może być punktem wyjścia do stworzenia szerokiego frontu oporu przed lipcowym szczytem G20 w Hamburgu. Ale również Trump upatrzył sobie Niemcy na jednego z antagonistów. Pod względem ostrości jego wypowiedzi kierowane w stronę Berlina nie odbiegają zbytnio od oświadczeń pod adresem Teheranu i Pjongjangu. Prezydent USA celuje głównie w niemiecką nadwyżkę handlową – Niemcy, zalewając inne rynki swoimi towarami, działają niesprawiedliwie. „To się zmieni", pisał na Twitterze, co konkretnie oznaczałoby wprowadzenie wyższych ceł na niemieckie produkty. Ponadto prezydent utrzymuje, że Niemcy w ramach NATO wydają za mało na zbrojenia. – *Germany is bad, very bad* – obruszał się przed osłupiałą niemiecką delegacją w Brukseli.

EPIDEMIE I ŚMIERĆ

W odróżnieniu od amerykańskich natarć w polityce handlowej i obron-

eprasa.pl 24736a12dd

nej wycofanie się z umowy paryskiej może mieć opłakane skutki dla całego świata. Prezydent USA zdaje się nie pojmować, co tak naprawdę kryje się za migoczącymi na ekranach grafikami i analizami termicznymi, co zmiana klimatu oznacza dla ludzkości. Nie rozumie, że globalne ocieplenie wpływa na podnoszenie się poziomu wody w morzach i oceanach, zalewanie wysp i brzegów. Że upały powodują epidemie i śmierć. Nie przyjmuje do wiadomości, że na naszych oczach umierają ludzie w regionach, gdzie przez cały rok nie spada ani jedna kropla deszczu, co potęguje też problem migracji i uchodźstwa.

Przed ujemnymi skutkami wycofania się z umowy paryskiej ostrzegali Trumpa m.in. sekretarz energii Rick Perry oraz prezesi wiodących amerykańskich koncernów, wreszcie jego córka Ivanka. Firmy takie jak Amazon, Google i Apple koncentrują się coraz bardziej na energii odnawialnej, prawie nikt z roztropnych inwestorów w USA nie rozważa powrotu do nieodnawialnych źródeł energii. W Kalifornii polityka klimatyczna Trumpa budzi stanowczy sprzeciw, choć wśród republikanów nie brakuje takich, którzy po szczycie G7 w Taorminie świętują. Przychylne Trumpowi media próbują z kolei udowodnić, że porozumienie klimatyczne jest szkodliwe, bo niedotrzymanie zawartych w nim zobowiązań grozi skutkami prawnymi – *ergo* drakońskimi karami. Tyle że według najnowszych doniesień ustalenia paryskie podobnych sankcji nie przewidują. Wszystkie państwa mają jedynie co pięć lat dosyłać raport świadczący o postępach w zmniejszaniu emisji gazów cieplarnianych.

Natomiast Trump nie tylko nie chce tych wymagań spełnić, ale wręcz zamierza zniweczyć dokonania swojego poprzednika. Ekologiczny testament Baracka Obamy, *Clean Power Plan*, przewiduje m.in. likwidację kopalń i kres produkcji silników spalinowych. Bez tych zaleceń Stany nie zredukują do 2025 r. emisji dwutlenku węgla o pożądane 28% (w porównaniu z 2005 r.). Trump nie chce jednak się kojarzyć z rzucaniem słów na wiatr. Prezydent jest przekonany, że aby uniezależnić się od zagranicznych surowców, USA muszą powrócić do węgla brunatnego, mimo że pożegnały się z nim właściwie już przed zawarciem umowy klimatycznej, stawiając na gaz ziemny.

Tymczasem Angela Merkel zauważa, że ceny energii odnawialnej stopniowo spadają, i sądzi, że kierunek wytyczony w Paryżu jest nieodwracalny. Chiny, Indie i Arabia Saudyjska, czyli kraje, których nie sposób zaliczyć do zagorzałych zwolenników dekarbonizacji czy alternatywnych źródeł energii, umowę podpisały. W tym świetle trudno patrzeć na wycofanie się USA w kategoriach innych niż kabaretowe.

Dokładnie w tym czasie, kiedy wiadomość o decyzji Trumpa obiegła cały świat, przybył z wizytą do Berlina premier Chin Li Keqiang, który w blasku fleszy podkreślił, że pragnie dostosować się do zaleceń porozumienia klimatycznego. Wyrwała mu się nawet wzmianka o „zielonej przyszłości" jego kraju, który zrezygnował z planu budowy stu nowych kopalni węgla. Wyobraźnię dziennikarzy pobudziły również Indie, które zobowiązały się przed szczytem klimatycznym w Paryżu, że do 2030 r. zwiększą do 40% udział źródeł odnawialnych w produkcji energii elektrycznej, a najnowsze prognozy pokazują, że mogą przekroczyć ten pułap osiem lat wcześniej. Obie potęgi inwestują coraz więcej w instalacje solarne, elektrownie wodne i farmy wiatrowe. Energia odnawialna często jest tam już tańsza niż wytwarzana z nośników kopalnych.

Kiedy Trump wycofał się z porozumienia klimatycznego, premier Chin zadeklarował, że jego kraj dostosuje się do tych zaleceń.

OFENSYWA MERKEL

Zbyt rzadko jednak podkreśla się, że wszystkie te zabiegi nie wystarczą, aby ograniczyć globalne ocieplenie do poziomu nieprzekraczającego 2 st. C. Już teraz wiadomo, że np. niemiecki prymus nie zmniejszy do 2020 r. emisji gazów o wyznaczone 40% (w porównaniu z 1990 r.). Główne źródło szkodliwych emisji w Niemczech stanowią nadal silniki spalinowe samochodów. Dlatego minister środowiska Barbara Hendricks zastanawia się nad skuteczniejszymi, ostrzejszymi metodami przyśpieszenia produkcji pojazdów elektrycznych i wprowadzania ich na niemieckie ulice.

Co ciekawe, decyzja Trumpa pokrywa się z naciskiem konserwatystów z CDU na Merkel, aby przestała szantażować inne kraje i wykazała się w polityce klimatycznej większą elastycznością. – Topniejący lód i wzrost poziomu morza mogą też napędzić gospodarkę, jak choćby w przypadku rybołówstwa. Skoncentrujmy się na pozytywnych efektach globalnego ocieplenia – żąda Arnold Vaatz, członek klubu parlamentarnego CDU/CSU.

Jak wiadomo, Merkel nie mizdrzy się do mediów ani nie komentuje wrogich pomruków we własnej partii. Sen z powiek spędza jej raczej Trump, który ponownie rozhuśtał światową łódeczkę. W mediach co rusz pojawiają się pogłoski, że gospodyni lipcowego szczytu G20 chce doprowadzić do izolacji prezydenta USA. Ten obrót spraw w relacjach z tak ważnym sojusznikiem to sensacja zachęcająca do spekulacji na temat przyszłości.

Merkel wiele wycierpiała, aby utrzymać pragmatyczne stosunki z Waszyngtonem. Popierała wojnę w Iraku i zachowała zimną krew nawet wtedy, gdy okazało się, że amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (NSA) inwigilowała jej otoczenie. Milczała, kiedy Trump nazwał ją wariatką. Teraz przechodzi do ofensywy także dlatego, że przed wyborami do Bundestagu musi się postarać o kilka mocnych akcentów w polityce zagranicznej. Kanclerka zdaje sobie sprawę, że dyplomacja i rozgrywanie stosunków z USA są atutem socjaldemokratów. Willy Brandt skutecznie przeciwdziałał zachodnim doktrynom w okresie zimnej wojny, a Gerhard Schröder wygrał wybory, odmawiając Bushowi pomocy w Iraku. – Kto się nie oprze izolacjonizmowi Trumpa, działa w komitywie z nim – stwierdził Sigmar Gabriel, minister spraw zagranicznych z SPD. W Truderingu Merkel była ofensywna, choć mówiła jedynie o „chwilowym ochłodzeniu", tak jakby nie chciała zupełnie zamykać drzwi przed Trumpem. Problem polega na tym, że amerykański prezydent nie myśli w kategoriach budowania długotrwałych więzi. Jako bezwzględny biznesmen szuka bezpośredniej korzyści, eliminując przeszkody zagrażające jego interesom. Dwa tygodnie temu w dzienniku „The Wall Street Journal" pojawił się tekst jego doradcy Herberta McMastera, w którym

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 24736a12dd

autor opisuje sposób myślenia gospodarza Białego Domu: „Dzisiejszy świat nie jest już międzynarodową wspólnotą, ale grupą współpracujących, choć konkurujących ze sobą państw z własnymi interesami".

SZANSA DLA EUROPY

Nieobecność Trumpa w Europie może też jednak stanowić dla niej szansę, nawet jeśli rezygnacja USA z porozumienia klimatycznego potrwa jeszcze kilka lat. – Tłumaczyłem prezydentowi USA w krótkich, prostych zdaniach, że proces wycofania się z umowy zajmie trzy lata, ale on chyba nie zrozumiał – dziwił się Jean-Claude Juncker po szczycie na Sycylii. – Znaleźliśmy się w miejscu, które pozwala nam zewrzeć szeregi, szczególnie w organizacjach, które prezydent USA uważa za przeżytek – tłumaczy europoseł i polityk CSU Manfred Weber.

W istocie, po klimatycznym skandalu już nikt w Brukseli nie wątpi, że Trumpa stać na więcej. Wobec tego w Komisji Europejskiej coraz częściej mówi się o wzmocnieniu współpracy państw członkowskich w sferze polityki obronnej, o wspólnych ćwiczeniach i ujednoliconym centrum dowodzenia. Po Brexicie i wyborze Macrona na prezydenta Francji jest niemal pewne, że to Berlin i Paryż staną się motorem europejskiej integracji. Jeśli CDU wygra jesienią wybory, 39-letni gospodarz Pałacu Elizejskiego będzie dla Merkel przewidywalnym partnerem. Na majowym spotkaniu NATO Macron zignorował Trumpa, żeby najpierw przywitać się z kanclerką. To nie był przypadek. Bodaj nigdy w historii nie było we francuskim rządzie tylu germanofilów, ilu w gabinecie Édouarda Philippe'a. Ministrem obrony została Sylvie Goulard, która doskonale włada niemieckim. Jednak niemiecko-francuska lokomotywa dopiero się rozpędza, a niektóre pomysły Macrona budzą w RFN raczej niechęć niż poklask. Według jego założeń Unia powinna w przyszłości wystawić jednego ministra finansów, w strefie euro ma z kolei powstać jednolity budżet inwestycyjny. W kampanii Macron występował wprawdzie w obronie europejskich wartości, ale wskazywał, że UE nie rozwija się w sposób zrównoważony, i krytykował – o ironio! – niemiecką nadwyżkę eksportową. Plany Macrona przewidują poza tym wspólną odpowiedzialność państw członkowskich za długi, na co niemieccy ekonomiści reagują z rosnącą irytacją. Ale w obecnej sytuacji Merkel już nie będzie mogła ignorować pomysłów Macrona. Jeśli zaś niemiecko-francuski fajerwerk nie odpali, kanclerz ma jeszcze sprzymierzeńca w Watykanie. Jak wiadomo, papież Franciszek nie ubóstwia Trumpa, jest za to niestrudzonym bojownikiem w walce ze zmianą klimatu. 17 czerwca w kanclerskim kalendarzu jest wpisane spotkanie w Stolicy Apostolskiej.

Wojciech Osiński

Prezydent jest przekonany, że aby uniezależnić się od zagranicznych surowców, USA muszą powrócić do węgla brunatnego.

STODOLA BILETY: WWW.LIVENATION.PL, WWW.STODOLA.PL LIVE NATION

eprasa.pl 24736a12dd

Australijskie fantazje marszałka Senatu

Restrykcyjna polityka władz w Canberze wobec imigrantów jest w Polsce niemożliwa do zastosowania

Tadeusz Iwiński

Alle Gleichnisse hinken, wszelkie porównania zawodzą – mawiają Niemcy. Jeszcze gorzej jest, gdy porównania nie odpowiadają rzeczywistości, przeczą faktom bądź tworzą iluzje. Taki jest właśnie przypadek marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, skądinąd niezłego mówcy i lekarza (to ostatnie ma znaczenie, gdyż problem uchodźców dotyczy również kwestii humanitarnych).

Pan marszałek odwiedził jakiś czas temu Australię i powiedział w telewizji: „Europa nie może być miejscem, do którego nagle zjadą się ci, którzy chcą. Musimy tak postawić sprawę, jak postawiła Australia. Powiedziała »nie, nie możemy przyjmować imigrantów«. (…) To dla Polski dobry wzór, z którego należy czerpać". Miał na myśli rozwiązanie wprowadzone przez rząd w Canberze w latach 2001-2007 i ponownie od 2012 r. (tzw. *Pacific Solution*), polegające na tym, że uchodźcy przybywający na łodziach (tzw. *boat people*) są na oceanie blokowani przez marynarkę i straż przybrzeżną, zatrzymywani, a potem odsyłani do zamkniętych i rygorystycznych ośrodków poza terytorium Australii.

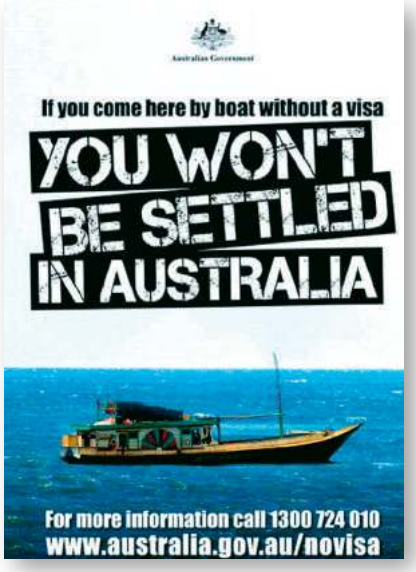

Rządowy plakat informuje, że osoby trafiające do Australii bez wizy nie dostaną azylu.

Ci nielegalni przybysze, głównie z 260-milionowej Indonezji oraz Sri Lanki, trafiają na wyspę Manus w Papui-Nowej Gwinei, na Wyspę Bożego Narodzenia (australijskie terytorium zależne) lub do 10-tysięcznego Nauru. Tam skrupulatnie rozpatruje się ich wnioski o azyl i zazwyczaj zawraca do kraju, z którego wyruszyli, bądź proponuje przesiedlenie, ale nie do Australii, lecz np. do Kambodży. Ostra polityka odstraszania ukróciła biznes przemytniczy i radykalnie zmniejszyła napływ imigrantów, świadomych tego, że niezwykle trudno liczyć na uzyskanie statusu uchodźcy.

Z drugiej strony metody te są bardzo kontrowersyjne, a przy tym ograniczona jest możliwość ich zastosowania. Australia to przecież wyspa i łatwiej tam niż w Europie kontrolować strumień uchodźców. Ponadto drastyczne odsyłanie imigrantów do Indonezji nie oznaczało zagrożenia ich życia. Natomiast jeśli chodzi o przybyszów do Europy, takie ryzyko istnieje. Jakiekolwiek porównanie z Polską jest w ogóle chybione, ponieważ jesteśmy krajem tranzytowym, a nie docelowym!

Osobną sprawę stanowi sposób traktowania migrantów przez władze Australii. Wiele organizacji, zwłaszcza wchodzących w skład systemu ONZ i pozarządowych, uważa go za pogwałcenie praw człowieka. W niektórych raportach używane jest nawet słowo okrucieństwo. Chodzi np. o warunki w ośrodkach zamkniętych (choć od końca 2015 r. ośrodek w Nauru jest otwarty), a przede wszystkim o naruszanie zasady *non-refoulement* (niezawracania), będącej kamieniem węgielnym konwencji genewskiej o statusie uchodźców z 1951 r. i potwierdzonej w protokole nowojorskim z 1967 r.

Australia może być natomiast rzeczywiście wzorem dla Polski i całej Europy w zupełnie innym obszarze, niż postrzega to marszałek Karczewski. Chodzi o tak bezrefleksyjnie wyśmiewaną przez rząd PiS wielokulturowość. Z tego punktu widzenia Australia jest bodaj najbardziej różnorodnym państwem świata. Ta wielokulturowość powstała jako potrzeba polityczna i od kadencji rządu Gougha Whitlama (1972-1975) niezmiennie uznaje się ją za rzecz bezdyskusyjną.

Władze w Canberze rocznie przyjmują ok. 200 tys. imigrantów, spełniających określone warunki (wieku, wykształcenia itd.), a ponadto kilkanaście tysięcy uchodźców, co w sumie stawia je w czołówce światowej. Nie pozostają też obojętne na dramatyczną sytuację w Syrii i Iraku. Od lipca 2015 r. do stycznia 2017 r. Australia przyjęła prawie 19 tys. uchodźców z tych krajów. Wśród nich przeważali chrześcijanie (choć byli też muzułmanie), co wywołało nawet otwartą dyskusję. Tony Zappia, deputowany Partii Pracy, powiedział niedawno w tamtejszym parlamencie, że „chrześcijanie wydają się najbardziej prześladowanymi ludźmi na Ziemi".

Australia ma długą historię imigracji, w tym przyjmowania uchodźców. Zaczęło się od wysyłania skazanych z Europy w 1788 r.; łącznie przywieziono ich ok. 160 tys. Potem w połowie XIX w. wybuchła gorączka złota. Na dużą skalę polityka imigracyjna rozwinęła się po II wojnie światowej, m.in. jako odpowiedź na kryzys humanitarny w zniszczonej Europie. W tym czasie kraj liczył tylko 7 mln mieszkańców, obecnie – ok. 24 mln. Prawie 30% obywateli urodziło się za granicą, w tym ponad 45 tys. nad Wisłą.

Seweryn Ozdowski, przewodniczący australijskiej Rady ds. Wielokulturowości i były rzecznik praw obywatelskich, na pytanie, dlaczego w Polsce trudno o taką życzliwość wobec przybyszów, jaka panuje w Australii, odpowiada: „Ja tego dobrze nie rozumiem, bo uważam, że delikatne zdywersyfikowanie kultury polskiej tylko by jej pomogło, spowodowało większą kreatywność, dostarczyło kontaktów międzynarodowych. W swoim czasie Polacy też byli uchodźcami, również w Australii".

Z prawdziwą przykrością stwierdzam, że wnioski na temat kryzysu uchodźczo-migracyjnego w Polsce, które marszałek Senatu, osoba znana mi osobiście i kulturalna, wyciąga na podstawie doświadczeń australijskich, mieszczą się w kategoriach fantazji. Do nas wszystkich odnosi się przy tym celna uwaga wybitnego pisarza amerykańskiego Erskine'a Caldwella, autora „Poletka Pana Boga", że „duża wiedza czyni skromnym, mała – zarozumiałym".

Autor jest profesorem, przez wiele lat był członkiem oraz przewodniczącym Komisji Migracji i Uchodźców Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy w Strasburgu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 24736a12dd

UKRAIŃSKIE SĄDOWNICTWO BEZ SĘDZIÓW

W ostatnich trzech latach ponad połowa sędziów przestała piastować urząd

Aleksandra Łagowska

Jednym z głównych postulatów rewolucji na kijowskim Majdanie była reforma wymiaru sprawiedliwości. Prezydent Petro Poroszenko w przemówieniu inauguracyjnym nazwał ją „reformą wszystkich reform". Sytuacja sądownictwa na Ukrainie jest skomplikowana – wiele spraw administracyjnych i kryminalnych pozostaje zawieszonych z powodu braku kadry sędziowskiej. W ostatnich trzech latach ponad połowa sędziów przestała piastować urząd, tylko w 2016 r. odeszło ze stanu sędziowskiego ponad 1,6 tys. osób, w zasadzie przy braku jakichkolwiek uzupełnień. Według przewodniczącego Wyższej Komisji Kwalifikacyjnej Sędziów Ukrainy Sergija Kozjakowa powodami tego są presja psychiczna i nieustające oskarżenia pod adresem sędziów. Kozjakow dodaje, że wielu sędziów nie jest w stanie potwierdzić kwalifikacji zawodowych ani upublicznić swojego stanu majątkowego.

Sami sędziowie uzasadniają odejścia naciskami władz, zmierzających do podporządkowania sobie środowiska sędziowskiego, a także obawami o bezpieczeństwo swoje i rodzin w związku z groźbami ze strony świata przestępczego. Częstym zjawiskiem na rozprawach stała się obecność weteranów tzw. operacji antyterrorystycznej (ATO) oraz innych „aktywistów" ugrupowań patriotycznych, którzy kierują pod adresem sędziów obelgi i pogróżki, a nawet rzucają w nich butelkami.

BUTELKĄ W WYSOKI SĄD

Szczególnie agresywnie wobec sądu, świadków i pokrzywdzonych zachowują się członkowie ochotniczego batalionu „Tornado", oskarżeni z 15 paragrafów, w tym o tortury, zbiorowe gwałty, porwania dla okupu i zmuszanie do pracy niewolniczej. Tornadowcy obrzucali skład sędziowski i uczestników rozprawy fekaliami, grozili odwetem: „Ile ci zapłacili, ty sędzio w todze? Ździro i prostytutko! Będę j… twojego trupa! Będziesz cierpieć, suko! Będziesz palić się w piekle, ścierwo!". W sierpniu zeszłego roku pod siedzibą sądu rejonowego w kijowskiej dzielnicy Obołoń, gdzie odbywało się posiedzenie w sprawie członka „Tornada" Mikołaja Cukura, doszło do zamieszek i starć weteranów ATO z policją. Demonstranci żądali, aby posiedzenia sądu odbywały się jawnie. Rozprawy prowadzone były za zamkniętymi drzwiami ze względu na dobro pokrzywdzonych, bo zarzuty dotyczyły m.in. ciężkich przestępstw o charakterze seksualnym, a także tortur. Utajnienie rozpraw zostało uzasadnione koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa świadkom oraz agresywnym zachowaniem oskarżonych.

Batalion „Tornado" utworzono na rozkaz MSW w Kijowie i na Ługańszczyźnie w październiku 2014 r. z członków batalionu „Szachtarsk", który został rozwiązany ze względu na niesubordynację żołnierzy i dopuszczanie się przez nich przestępstw (m.in. rozbojów i kradzieży). Dowódcą został Rusłan Oniszczenko (poprzednie nazwisko Abalmaz), były zastępca szefa „Szachtarska", w przeszłości pięciokrotnie karany np. za wymuszanie haraczy, podobnie jak inni członkowie oddziału. Wielu nie miało statusu żołnierzy, byli wśród nich też obcokrajowcy, m.in. trzech Białorusinów.

Rusłanowi Oniszczence (z prawej) wymierzono karę 11 lat pozbawienia wolności.

„Tornado" znajdowało się w strefie ATO przez niecałe pół roku, przy czym bezpośrednio nie uczestniczyło w działaniach wojennych. Krótko przed aresztowaniem tornadowców potwierdził to ówczesny przewodniczący Ługańskiej Obwodowej Administracji Cywilno-Wojskowej, później przeniesiony na stanowisko gubernatora Zakarpacia Giennadij Moskal: „»Tornado« nie chce walczyć, nie bie-

Powodami odejść są presja psychiczna i oskarżenia pod adresem sędziów.

eprasa.pl 24736a12dd

rze i nigdy nie brało udziału w operacjach wojskowych, tylko (…) utworzyło bandę, która dokonuje porwań, morderstw, gwałtów, napadów, grabieży i kradzieży".

Sprawa „Tornada" zaczęła się od porwania 16 i 17 stycznia 2015 r. dwóch emerytów milicyjnych Sergija Razenkowa i Wołodymyra Bespałowa. Przed emeryturą pracowali w ługańskim powiatowym wydziale do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Bespałow zaginął bez śladu, natomiast zwłoki Razenkowa znaleziono latem 2015 r. owinięte prześcieradłem z pieczątką ambulatorium, w którym stacjonowało „Tornado". Stan ciała uniemożliwił określenie dokładnej przyczyny śmierci, nie można więc było postawić nikomu zarzutu zabójstwa.

wyjaśniony sposób zniknęły podczas rozprawy sądowej, a nadzorujący sprawę prokurator Rusłan Krawczenko odmawia wszelkich komentarzy na ten temat.

Sąd z kolei nie zareagował na ustne i pisemne zgłoszenia jednego z pokrzywdzonych o niedwuznacznej roli policji miasta Krasnoarmiejska (obecnie Pokrowsk), która według zeznań mężczyzny w grudniu 2014 r. zatrzymała go jako „dezertera", pobiła i przekazała członkowi „Tornada" Mykycie Swyrydowskiemu, na którym ciąży teraz zarzut bezprawnego pozbawienia wolności.

Obrońcy usiłowali dyskredytować pokrzywdzonych i świadków, nazywając ich separatystami i alkoholikami, podkreślając, że niektórzy byli wcześniej karani, co miałoby podważać ważność ich zeznań. Niezależnie od tego adwokaci zarzucali oskarżeniu brak dowodów rzeczowych, np. paralizatora i telefonu polowego wykorzystywanych jako narzędzia tortur.

Wielu pokrzywdzonych w ogóle nie zgłosiło się do sądu – nie tylko z obawy przed zemstą, lecz przede wszystkim dlatego, że nie mają żadnego zaufania do ukraińskich organów ścigania, które nie potrafią należycie przeprowadzić śledztwa, zapewnić bezpieczeństwa pokrzywdzonym i doprowadzić do skazania winnych. Historie wybranych ofiar zostały przedstawione w dokumentalnym serialu „Przeżyć Tornado" wyemitowanym przez ukraińską telewizję jesienią 2016 r.

WOJNA USPRAWIEDLIWIA BEZPRAWIE?

„Tornado" rozwiązano w czerwcu 2015 r. na rozkaz szefa MSW Ukrainy Arsena Awakowa, który skomentował to w sposób następujący: „Ponoszę odpowiedzialność za tych ludzi – mam także obowiązek dzielić z nimi ciężar tych trudnych czasów. Bronić ich przed pomówieniami, wynagrodzić zasługi, pomóc im odnaleźć się w dalszym życiu". Tornadowcy odmówili złożenia broni, tłumacząc to politycznym charakterem sfabrykowanych zarzutów. Twierdzą, że prawdziwym powodem aresztowania ich kolegów jest zatrzymanie przez członków batalionu transportu z węglem, który jechał z opanowanego przez rebeliantów Ałczewska na terytorium kontrolowane przez ukraińskie władze w miejscowości Switłanowo 16 czerwca 2015 r. Jednak chronologia przestępstw „Tornada" zaprzecza temu, aby powodem ścigania była ich nieprzekupność w handlu z separatystami – tornadowcy kilkakrotnie byli oskarżeni w innych postępowaniach. Po rozwiązaniu batalionu ok. 15 żołnierzy, którzy, jak ustalono, nie popełnili żadnych przestępstw, wcielono do pododdziału MSW „Myrotworec", a 12 nadal jest poszukiwanych listami gończymi.

Rozprawa sądowa „Tornada" trwała prawie półtora roku. Z 12 oskarżonych ośmiu zostało skazanych na karę od ośmiu do 11 lat więzienia. Dowódcy Rusłanowi Oniszczence wymierzono karę 11 lat pozbawienia wolności, a jego zastępcy Mikołajowi Cukurowi – dziewięć i pół roku, Białorusin Daniił Liaszuk, zwany „Mudżachedinem" dostał 10 lat, czterech tornadowców – wyrok w zawieszeniu. Od początku konfliktu zbrojnego na wschodzie Ukrainy był to pierwszy proces grupy wojskowych z jednego pododdziału oskarżonych o bardzo ciężkie przestępstwa podczas operacji antyterrorystycznej, który zakończył się wydaniem wyroku.

Popełnienie zbrodni tornadowcy tłumaczą okolicznościami wojny, które ich zdaniem automatycznie unieważniają prawo pokoju i wszelkie ograniczenia. Według nich warunki operacji antyterrorystycznej zezwalają na użycie metod i środków niemieszczących się w żadnym porządku prawnym,

„Tornado" nie brało udziału w operacjach wojskowych, tylko utworzyło bandę, która dokonuje porwań, morderstw, gwałtów, napadów i kradzieży.

Rozprawa sądowa „Tornada" trwała prawie półtora roku.

Natychmiast po aresztowaniu tornadowców naczelny prokurator wojskowy Ukrainy Anatolij Matios polecił sprawdzić telefony komórkowe członków oddziału w celu potwierdzenia podejrzeń dotyczących zbrodni, jakich mieli się dopuszczać: znęcania się, torturowania i homoseksualnych zgwałceń. W uzasadnieniu decyzji Matios wskazał, że dodatkowo ciąży na nich zarzut zabójstwa jednej z ofiar, wobec której uprzednio stosowali tortury. W toku śledztwa zgromadzono materiał dowodowy niezbicie wskazujący winę oskarżonych. Szczególnie drastyczne w tym kontekście było filmowanie przez nich czynów, jakich się dopuszczali. Nagrania te w nie-

FOT. YOUTUBE.COM

eprasa.pl 24736a12dd

których jedynym kryterium jest skuteczność. O obowiązującym podczas działań wojennych międzynarodowym prawie humanitarnym bojownicy, sądząc po ich zachowaniu i wypowiedziach, nic nie wiedzą.

DWA I PÓŁ ROKU ZA CYTATY Z LENINA

Przypadek „Tornada" nie jest wyjątkiem na wschodzie Ukrainy. Pod koniec maja pod zarzutem morderstwa zatrzymano dwóch członków pułku gwardii narodowej „Azow". Naczelny prokurator wojskowy Matios tłumaczył ich zachowanie stresem w warunkach wojny, podkreślając jednocześnie, że zasługi jednostki dla obrony Mariupola są niepodważalne, a dopuszczanie się przez jej żołnierzy przestępstw nie może zatrzeć niezaprzeczalnego bohaterstwa całej formacji.

Znaczna część społeczeństwa, jak również ukraińskich władz, nie tylko toleruje sposób funkcjonowania formacji w rodzaju „Tornada", lecz nawet skrycie je pochwala. Uważa się, że ze względu na doznane krzywdy Ukraińcy nie muszą się czuć skrępowani żadnymi zasadami prawa czy normami moralnymi w egzekwowaniu swoich roszczeń od każdego, kogo uznają za wroga niepodległej Ukrainy. Wpisuje się to w smutną tradycję ukraińskich organizacji państwowych, poczynając od czasów kozackich, dla której charakterystyczna była niezdolność do kompromisu w obliczu przeważających sił nieprzyjaciela czy w ogóle do jakichś ustępstw.

Warto w tym miejscu zauważyć, że konsekwentnie, bez ustępstw i kompromisów, realizowana jest na Ukrainie ustawa o dekomunizacji. W maju student trzeciego roku Lwowskiego Uniwersytetu im. Iwana Franki został skazany na dwa i pół roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok za to, że „z premedytacją, w celach rozpowszechnienia w szerokim gronie odbiorców ideologii komunistycznej (…) dokonywał publikacji, w tym również na portalach społecznościowych, które (…) zawierają propagandę elementów ideologii komunistycznej". Jako dowody w sprawie służyły m.in. „Kapitał" Karola Marksa, pięć flag z symbolami ZSRR oraz kilka cytatów z Lenina na profilu studenta na Facebooku.

Kolejnym przykładem jest sprawa 94-letniego Borysa Steklara, byłego pracownika służby bezpieczeństwa ZSRR, oskarżonego o zabójstwo malarza OUN i UPA Niła Chasewicza. Śledztwo zostało wszczęte z inicjatywy Narodowego Centrum Obrony Prawa – organizacji aktywistów z doświadczeniem w zakresie prawa. Jej przewodniczący oznajmił: „Jest to wyjątkowa sprawa. (…). Czyn Steklara, oficera KGB, nie ulega przedawnieniu. Zbrodnia po upływie lat pozostaje zbrodnią. Zabójstwo Chasewicza, walczącego o niepodległość, musi być zbadane i każdy, kto w nim uczestniczył, dostanie wyrok". W 1952 r. Steklar kierował operacją, której celem było wytropienie i zlikwidowanie Chasewicza; sam rzucił granat do bunkra, gdzie wraz z innymi członkami OUN ukrywał się Chasewicz. Walczący o niepodległość Ukrainy malarz był autorem materiałów agitacyjnych: plakatów, kartek, ilustracji i karykatur, propagujących ideologię UPA. Według źródeł w okresie okupacji niemieckiej pełnił także funkcję sędziego pokoju, a w roku 1944 uczestniczył w egzekucjach Polaków i ocalałych Żydów. Za dokonane 65 lat temu zabójstwo kolaborującego z Niemcami malarza propagandzisty 94-letniemu weteranowi grozi dożywocie.

> Wielu sędziów nie jest w stanie potwierdzić kwalifikacji zawodowych ani upublicznić swojego stanu majątkowego.

Tymczasem uważający się za pokrzywdzonych przez prawo ochotnicy ATO ogłaszają: „Skoro system niszczący państwo nie boi się narodu, ludzie, którzy przeszli przez piekło wojny, pokażą im, czym jest strach". Zaznaczają, że wielu z nich wróciło z ATO, żeby walczyć z wrogiem wewnętrznym, o wiele niebezpieczniejszym od zewnętrznego.

Za wroga wewnętrznego uznano ukraińskiego dziennikarza Rusłana Kotsabę. Kotsaba był uczestnikiem rewolucji na Majdanie, aresztowano go w lutym 2015 r. pod zarzutem zdrady stanu, za publiczne wygłaszanie opinii o sytuacji na wschodzie Ukrainy. Twierdził on, że jako korespondent wojenny miał okazję się przekonać, jak w Donbasie rozgrywa się bratobójcza wojna domowa. W maju 2016 r. Kotsabę skazano na trzy i pół roku więzienia oraz konfiskatę majątku za „przeszkadzanie w działaniach wojennych Siłom Zbrojnym Ukrainy w wyjątkowej sytuacji". W lipcu po złożeniu apelacji przez jego adwokatkę Tatianę Montian uznano go za niewinnego i uwolniono. Według słów Kotsaby było to ściśle związane z naciskiem ze strony przedstawicieli Europy – jeszcze w lutym 2016 r. Amnesty International wzywała władze Ukrainy do natychmiastowego uwolnienia dziennikarza. W maju Sąd Najwyższy Ukrainy uchylił uniewinnienie Kotsaby, a w jego sprawie na żądanie prokuratury ponownie wszczęto śledztwo.

Aleksandra Łagowska

eprasa.pl 24736a12dd

Z Galicji

Jan Widacki

NAPRAWIAĆ WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Wymiar sprawiedliwości we współczesnym, cywilizowanym państwie jest niezależny od innych władz, a orzekający sędziowie są niezawiśli. W Polsce jesteśmy świadkami tego, jak władza polityczna konsekwentnie zmierza do podporządkowania sobie wymiaru sprawiedliwości. Rozwalono Trybunał Konstytucyjny, czyniąc z niego żałosną atrapę. Szykuje się zamach na Krajową Radę Sądownictwa. Minister sprawiedliwości, a zarazem prokurator generalny, a więc szef wszystkich prokuratorów, konsekwentnie, kawałek po kawałku zawłaszcza nadzór nad sądownictwem. Teraz, zdaje się, przychodzi kolej na Sąd Najwyższy. Wszystko to niszczy fundamenty państwa prawa, zagraża podstawowym wolnościom obywateli.

Bez niezależnego sądownictwa prosty człowiek pozostanie sam na sam z państwem i samowolą jego urzędników. Niezależne sądy i niezawiśli sędziowie potrzebni są przede wszystkim zwykłym ludziom. Nie korporacjom, jak to próbuje przedstawiać rządowa propaganda. Zarówno sędzia niezawisły, jak i podległy dyrektywom urzędników pobierać będzie taką samą pensję. Mało tego, ograniczająca niezawisłość sędziowską autorytarna władza zwykle daje podwyżki sędziom, prokuratorom, policjantom. Adwokat broniący przed uzależnionym od partii sądem też weźmie za obronę honorarium. Może nawet łatwiej mu będzie działać, jeśli znajdzie gdzieś poza sądem polityczne poparcie. Jeżeli zatem prawnicy dziś protestują, to nie we własnym interesie, ale w interesie tego szarego człowieka, który ogłupiony przez propagandę powtarza bezmyślnie hasła o „mafii w togach".

To, że niszczenie podstaw państwa prawa i niezależnego sądownictwa nie tylko nie budzi społecznego sprzeciwu, ale niestety dokonuje się w dużej mierze przy aprobacie społecznej, ma swoje przyczyny. Spróbujmy je przeanalizować.

Przyczyna pierwsza jest natury obiektywnej. Wynika niejako z samej istoty wymiaru sprawiedliwości. Przez ostatnie lata sądy wydawały rocznie prawie milion wyroków w sprawach karnych i co najmniej drugie tyle w cywilnych i gospodarczych. Z wyroków karnych niezadowoleni są z zasady wszyscy skazani. Jedni uważają, że zostali ukarani niesłusznie, drudzy, że za surowo. Z kolei pokrzywdzeni z reguły twierdzą, że sprawcy ich nieszczęść zostali ukarani zbyt łagodnie. W sprawach cywilnych i gospodarczych połowa procesujących się musi przegrać. Każdego roku wymiar sprawiedliwości, nawet idealnie funkcjonujący, produkuje ogromne rzesze niezadowolonych. PiS tym niezadowoleniem umiejętnie administruje.

Przyczyna druga to niska kultura prawna społeczeństwa i bardzo małe społeczne zaufanie w ogóle, a do instytucji państwowych w szczególności. Jeśli przegrałem proces, to nie dlatego, że widocznie nie miałem racji, ale dlatego, że przeciwnik na pewno przekupił sąd, a jego adwokat wszystko załatwił za pieniądze. Niska kultura prawna powoduje niezrozumienie istoty wymiaru sprawiedliwości, niezrozumienie, na czym polega instytucja państwa prawa i jaki to ma związek z losami szarego obywatela. Dlatego spory o Trybunał, o abstrakcyjne przecież pojęcie niezawisłości, wydają się czymś odległym, niezrozumiałym, oderwanym od losów jednostki, niemającym dla niej żadnego praktycznego znaczenia.

Na wysoką kulturę prawną i wysoki poziom zaufania społecznego pracuje się latami. Ale czy na pewno w ostatnim ćwierćwieczu niczego tu nie zaniedbaliśmy? Czy nie mają tu sobie nic do zarzucenia elity: demokratycznie nastawieni politycy, naukowcy, literaci, dziennikarze? Czy w tym zakresie sprawdziła się szkoła? Albo mający wpływ na szerokie rzesze społeczeństwa Kościół? Przecież skądś się to wzięło! Wszystkie zjawiska społeczne mają swoją przyczynę. Te też mają.

Bez niezależnego sądownictwa prosty człowiek pozostanie sam na sam z państwem i samowolą jego urzędników.

Jest i przyczyna trzecia. To działalność wymiaru sprawiedliwości. Nie tylko sądów. Także prokuratury. Wszyscy narzekają na przewlekłość toczących się spraw. Sprawy wloką się nie tylko przed sądami. Przede wszystkim wloką się miesiącami, a nieraz latami w prokuraturze. Wlokącemu się śledztwu towarzyszą czasem barbarzyńskie „areszty wydobywcze". Ale nawet los niearesztowanego podejrzanego, któremu

Poprzednie felietony na www.przeglad-tygodnik.pl

eprasa.pl 24736a12dd

przysługuje domniemanie niewinności, sam fakt bycia podejrzanym w śledztwie, rujnuje nieraz karierę, niszczy firmę, nie mówiąc już o nerwach i zdrowiu. A potem zaczyna się gehenna przed sądem.

Od przewlekłych postępowań dotkliwszy jest jednak niski poziom wymierzanej sprawiedliwości. Pomyłek sądowych, a one przecież się zdarzają nawet najlepiej funkcjonującym sądom, nikt u nas nie monitoruje, nie mówiąc już o tym, by je analizował i wyciągał z nich wnioski.

Wpływ na błędne wyroki mają też wątpliwej jakości biegli, powoływani nie na podstawie wiedzy i umiejętności, ale ze względu na deklarowaną szybkość ekspertyz wykonywanych byle jak i najtaniej. Sądy nie widzą niczego złego w opiniach z badań DNA robionych gdzieś w garażach, powoływaniu do opiniowania niesprawdzonych prywatnych instytucji trudniących się przygotowywaniem ekspertyz za pośrednictwem podwykonawców, czyli faktycznie wyręczających sąd w powoływaniu biegłych i pobierających za to wynagrodzenie.

Niedouczeni sędziowie są bezradni wobec opinii biegłych o wątpliwych kwalifikacjach. Bezradność nadrabiają często arogancją wobec stron. W ogóle lekceważący stosunek do stron, do świadków, manifestujący się niepunktualnością, chronicznymi opóźnieniami rozpraw, a szczególnie sposobem zwracania się do uczestników rozprawy, zwiększa tylko i pogłębia niechęć ludzi do sądu. Broniąc swojej niezawisłości, sędziowie powinni przy okazji zadać sobie pytanie, czy naprawdę nie przyczynili się do tego, że w czasie gdy władza demoluje wymiar sprawiedliwości, społeczeństwo nie tylko ich nie broni, ale jeszcze przygląda się temu z satysfakcją.

Wymiar sprawiedliwości wymaga naprawy. Tyle że to, co robi z nim rządząca większość, nie dotyczy żadnej ze wskazanych wad. Do wszystkich dotychczasowych wad dojdą jeszcze nowe, po stokroć poważniejsze.

Broniąc niezależności sądów i niezawisłości sędziowskiej przed zakusami władzy wykonawczej, próbujmy równocześnie naprawiać wymiar sprawiedliwości, lecząc go, a nie gilotynując.

Jan Widacki

PLAMY NA TODZE

Podejrzany o przestępstwa mecenas Krzysztof K. z Olsztyna zostaje w areszcie, ale to niejedyna rysa na wizerunku adwokatury

Marek Książek

Nasz artykuł „Czarna owca palestry" (PRZEGLĄD nr 21/2017) wywołał duże zainteresowanie w środowisku prawniczym nie tylko Olsztyna. Przypomnijmy: prokuratura postawiła 37-letniemu adwokatowi Krzysztofowi K. aż 12 zarzutów. W tym dotyczący celowego wprowadzenia w błąd klientki, która przeniosła prawa własności atrakcyjnych działek o wartości 1 mln zł na rodzinę mecenasa i jego kolegę. Z kolei z pewnym starszym małżeństwem K. zawarł umowę na udzielenie 30 tys. zł pożyczki, uzyskując prawo własności mieszkania za 120 tys. zł. A gdy nieświadomi konsekwencji ludzie nie zwrócili w terminie pieniędzy, kazał im opuścić lokal, do czego nie doszło tylko dlatego, że poprosili o pomoc innego prawnika. Prowadzenie usług pożyczkowych jest sprzeczne z etyką adwokacką, ale Krzysztof K. dodatkowo próbował naciągnąć klientów na fikcyjne kwoty. Od emerytowanego lekarza wojskowego Zbigniewa Z. żądał zwrotu 67 tys. zł, choć realnie pożyczył mu zaledwie 11 tys. Podobne sposoby zastosował wobec kilku innych osób.

REKORD DYSCYPLINARNY

Kiedy te przypadki trafiły do prokuratury, a poszkodowani połączyli siły, wszczęto śledztwo, które za pierwszym podejściem zakończyło się umorzeniem. Dopiero gdy sąd przychylił się do odwołania złożonego przez mecenasa Lecha Obarę, pełnomocnika Zbigniewa Z., prokurator Anna Grygo-Janusz postawiła podejrzanemu 12 zarzutów. Krzysztof K. bronił się, jak przystało na sprawnego prawnika. Zasłaniał się niepamięcią albo dziwił pretensjom pokrzywdzonych, którzy powinni wiedzieć, co podpisują. Tyle że podpisywali oni w dobrej wierze, pod wpływem osoby zaufania publicznego, jaką jest adwokat. Tak uznały zarówno prokuratura, jak i sąd, nakładając na niego trzymiesięczny areszt. Obecnie śledztwo zostało przedłużone, podobnie jak areszt – do 12 września br., choć postanowienie o tymczasowym aresztowaniu jest jeszcze nieprawomocne.

Sprawa karna będzie zapewne trwała długo, a do tego czasu olsztyńska adwokatura musi się postarać o odzyskanie wiarygodności. Co prawda – jak podkreślają w przesłanych do redakcji oświadczeniach Okręgowa i Naczelna Rada Adwokacka – Krzysztof K. już 16 grudnia 2015 r. został tymczasowo zawieszony w czynnościach zawodowych, ale niezrozumiała jest inercja samorządu wobec działalności tego człowieka. Z tak małym stażem dorobił się aż 30 postępowań dyscyplinarnych! Dotyczyły one niepłacenia składek, aroganckich i zniesławiających starszych kolegów wypowiedzi, jak również rozliczeń finansowych z klientami, fałszowania dokumentów czy prowadzenia sprawy, w czasie gdy był już zawieszony.

– Może się zdarzyć raz czy dwa w karierze adwokackiej, że człowiek popełni jakieś przekroczenie, ale aż tyle? – dziwi się doświadczony prawnik. Inny adwokat już w lipcu 2015 r. złożył do rzecznika dyscyplinarnego Izby Adwokackiej w Olsztynie wniosek o zawieszenie Krzysztofa K. w czynnościach zawodowych, ostrzegając, że niewyciągnięcie konsekwencji może prowadzić do dalszego naruszania przez niego dyscypliny. Gdyby samorząd od razu przeciął ten wrzód, nie byłoby pozostałych

eprasa.pl 24736a12dd

przypadków. Ani plam na wizerunku całej adwokatury.

KTO KRYŁ ADWOKATA?

Zapytany o to rzecznik dyscyplinarny Andrzej Kempa potwierdza, że taki wniosek wpłynął, i to od członka organu samorządu adwokackiego w Olsztynie, już wcześniej mającego zatarg z Krzysztofem K. – Obaj panowie zarzucali sobie zachowania niezgodne z etyką. W tej sprawie, jak i kolejnej, która była skutkiem tego dochodzenia, nie było żadnych podstaw do uwzględnienia wniosku o tymczasowe zawieszenie adwokata Krzysztofa K. w czynnościach zawodowych, dlatego nie składałem takiego wniosku do sądu dyscyplinarnego – wyjaśnia mecenas Kempa. Jak dodaje, taką podstawę dawała dopiero działalność pożyczkowa, opisana w PRZEGLĄDZIE. Pierwsze podejście rzecznik wykonał w maju 2015 r., lecz sąd dyscyplinarny nie uwzględnił jego wniosku. Zrobił to dopiero po ponownym rozpoznaniu sprawy – po interwencji wyższego sądu dyscyplinarnego.

Takie przepychanki wywołały w środowisku prawniczym Olsztyna komentarze, że ktoś ważny w palestrze krył młodego adwokata. Jedna z teorii spiskowych głosi, jakoby stał za tym jego ojciec Romuald K. – były oficer więziennictwa (notabene to na niego syn przepisał jedną ze wspomnianych działek). Niektórzy nawet byli przekonani, że po przejściu na emeryturę został on wójtem pobliskiej gminy, choć w rzeczywistości był tylko sołtysem we wsi. Tak czy inaczej, Krzysztof K. wydawał się bezkarny. Do czasu.

SPRAWA JÓZEFA L.

Ze swoim dyscyplinarnym *dossier* Krzysztof K. powinien zostać wydalony z adwokatury, ale nadal jest tylko zawieszony w czynnościach. Podobnie było z innym olsztyńskim adwokatem Józefem L., legendą Solidarności, internowanym w stanie wojennym, później syndykiem kurii biskupiej, posłem OKP, pełnomocnikiem likwidatora RSW w Olsztynie, wiceprezesem Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, a nawet niedoszłym kandydatem na ministra sprawiedliwości. Wstąpił on do Porozumienia Centrum i jako zaufany Jarosława Kaczyńskiego został prezesem Fundacji Prasowej Solidarność, a pod koniec lat 90. pomagał mu w sprawie inwigilowania prawicy.

W ostatnich latach był wziętym adwokatem, a że jego sława sięgała stolicy, zaangażowała go parafia ewangelicko-augsburska Świętej Trójcy w Warszawie. Józef L. i jego wspólnik z kancelarii mieli ją reprezentować przy sprzedaży tzw. serka wolskiego – dwóch działek w kształcie trójkąta, położonych w pobliżu centrum biznesowego. Ewangelicy dostali ten teren jako rekompensatę za grunty zabrane im dekretem Bieruta. Okazało się, że olsztyńscy adwokaci sprzedali grunty warte ok. 80 mln zł za 9 mln euro, czyli ok. 42,5 mln zł, ale co ważniejsze – za plecami parafii! Motywem tego przestępstwa, jak argumentowali księża z parafii Świętej Trójcy, była chęć uzyskania 25-procentowej prowizji.

Proboszcz parafii złożył zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez adwokatów, znaną olsztyńską notariuszkę i jeszcze jedną osobę. Wyrok w pierwszej instancji zapadł dopiero w styczniu 2015 r., kiedy już nie żył wspólnik Józefa L. Mecenas L. został skazany na dwa lata więzienia w zawieszeniu na trzy lata, 250 tys. zł grzywny i zakaz wykonywania zawodu adwokata przez 10 lat. Zarówno skazany, jak i prokuratura złożyli odwołanie, ale w kwietniu zeszłego roku Sąd Apelacyjny w Warszawie podtrzymał wyrok, także wobec pani notariusz (wymierzył jej grzywnę 60 tys. zł), obniżając karę trzeciej oskarżonej.

Aż do kwietnia 2016 r. Józef L. bywał w sądzie nie tylko jako oskarżony, ale również jako pełnomocnik innych klientów. Samorząd adwokacki nie zawiesił go w czynnościach i dopiero po prawomocnym wyroku skreślił z listy adwokackiej.

DŁUGOTRWAŁE PROCESY

Natomiast w kwietniu tego roku w olsztyńskim sądzie rejonowym zapadł wyrok wobec czterech osób z Elbląga, w tym dwóch czynnych adwokatów. Oskarżono ich o powoływanie się na wpływy w wydziale penitencjarnym elbląskiego sądu i załatwianie – za duże pieniądze – warunkowego zwolnienia lub przerw w odbywaniu kary pozbawienia wolności. Jednym z „klientów" był niejaki „Troll", gangster z Olsztyna, skazany na 25 lat więzienia za udział w porwaniach i zabójstwach. Elbląskiemu adwokatowi nie udało się jednak załatwić mu przerwy na operację kręgosłupa, m.in. na skutek ostrego sprzeciwu Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia na rzecz Bezpieczeństwa. Dopiero po siedmioletnim procesie mecenas Stanisław B. został skazany na cztery lata bezwzględnego więzienia, a Ryszard B. na trzy i pół roku odsiadki. Obaj mają zakaz wykonywania zawodu przez 10 lat. Pomorski samorząd adwokacki jeszcze nie podjął decyzji dyscyplinarnych, ale zapewne po prawomocnym wyroku wydali ich z zawodu. ■

Kara całe swoje krótkie życie grzecznie pracowała ciągnąc furmankę razem z kolegą. **Nie było** w ich życiu miłości ludzkiej, ale było ciepło, jedzenie, dom. Do czasu. **„Panu" znudził się kolor klaczy i wałacha.** Postanowił, że lepiej sprzedadzą usługi konie innej maści. Handlarz odrazu przyjechał po „stare" zwierzęta. Kara i jej przyjaciel wyjechali w swoją ostatnią drogę.

On był od początku masywniejszy, **nie ma go już wśród nas.** Kara jest klaczą, więc poza podtuczeniem można jeszcze inaczej **zwiększyć jej** „wartość". **Zaźrebić.** Klacze w ciąży nie powinny być ubite **ale liczą się jedynie kilogramy.**

„Mała" waży obecnie ponad **900 kg (!).** Handlarz poklepując przerażone zwierzę po grzbiecie powiedział: „jest już gotowa"! **Gotowa na śmierć.** Chcemy odmienić jej los, podarować szczęśliwe życie. Czeka na nią prawdziwy DOM!

Prawa rynku są nieubłagane.

8 800 złotych - tyle jest warte życie **Karusi.**

Prosimy o pomoc! Zbiórka aktualna, w poprzednim ogłoszeniu nastąpił błąd w przedruku numeru konta!

Konto: **45 1140 2017 0000 4602 1304 2652**

Fundacja Pegasus
tel. 600 966 180
ul. Rosoła 36/2
02-796 Warszawa

organizacja pożytku publicznego OPP

eprasa.pl 24736a12dd

Nie delegalizować ONR!

Postulat delegalizacji Obozu Narodowo-Radykalnego wraca jak bumerang. Czy jednak można zdelegalizować nacjonalizm?

Przemysław Prekiel

Od czasu dojścia PiS do władzy obserwujemy nasiloną działalność brunatnej siły, która jeszcze kilka lat temu była politycznym planktonem. Choć jest nim i dziś, systematycznie nabiera mocy i wypływa na powierzchnię. Nie da się ukryć, że korzysta z biernej postawy władzy, dla której młodzież mająca patriotyzm na ustach jest wzorem i rzecznikiem młodego pokolenia. Problem ONR pojawia się nie tylko na politycznych salonach, ale również w instytucjach wymiaru sprawiedliwości, gdzie można się dowiedzieć, że swastyka to symbol szczęścia, a nie ideologii nazizmu. Nacjonalistyczna narracja wynika z polityki historycznej prawicy i jej przewagi w mediach. Lewica nie potrafiła wypracować przeciwwagi dla marginesu, jakim nadal jest skrajny nacjonalizm.

Zwolennicy delegalizacji przypominają, że już jej kiedyś dokonano. W 1934 r., jeszcze za życia Józefa Piłsudskiego, sanacja zdelegalizowała ONR i był on, obok KPP, organizacją nielegalną. Nie jest to najlepszy przykład.

83. rocznicę powstania ONR narodowcy uczcili 29 kwietnia przemarszem przez Warszawę.

Nie tylko uwielbiany przez PiS Piłsudski miał awersję do ONR, ale również Lech Kaczyński.

Po pierwsze, dlatego że po delegalizacji działalność ONR wcale nie ustała, nadal dochodziło do antysemickich ekscesów, burd na uczelniach, pogromów. Po drugie, po śmierci Piłsudskiego sanacja bardzo zbliżyła się do ideologii ONR, przejmując część jego haseł. Członkom Prawa i Sprawiedliwości warto przypomnieć, że nie tylko uwielbiany przez nich Piłsudski miał awersję do ONR, ale również Lech Kaczyński, który w obozie PiS jest już postacią pomnikową niczym sam marszałek. Mało kto pamięta, że w 2007 r. ówczesny prezydent RP stwierdził: „Mam głęboką niechęć do endecji. Nie wynika ona z tego, że nie doceniam jej wielkich zasług w krzewieniu polskiej świadomości narodowej, np. wśród chłopów. Ale postawienie na antysemityzm jako element konsolidacji narodowej było zasadniczym błędem". PiS do dziś pozostaje główną zaporą dla nacjonalistycznej prawicy. Najlepszą bowiem ochroną przed skrajną prawicą jest prawica centrowa. Mimo że w PiS jest wiele nurtów, partia ta nie ma nic wspólnego z ONR czy Młodzieżą Wszechpolską. To partia raczej piłsudczykowska. Co wcale nie znaczy, że mniej groźna.

Delegalizacja ONR może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. Głoszonej przez niego ideologii nie da się zdelegalizować, ale można ją wypierać ze społecznej świadomości. Edukacją. Niestety, nie tylko w szkołach promowane są postawy, które sprzyjają krzewieniu ideologii prawicowej. Jeśli spojrzymy na wyniki badań społecznych, to polska młodzież jest dziś nieomal wyłącznie prawicowa. Obserwuje się zjawisko darwinizmu społecznego, skrajnego indywidualizmu, gloryfikowania „żołnierzy wyklętych", wrogości do jakiejkolwiek postawy lewicowej, otwartej i tolerancyjnej. Lewica przez lata patrzyła w przyszłość, jakby zapominając, że ten, kto kontroluje przeszłość, ma władzę w przyszłości.

I dlatego, ku przestrodze i dla wiedzy, należy przypominać haniebną działalność ONR, wypowiedzi jej liderów. Jak chociażby Przemysława Holochera, który stwierdził: „Antysemityzm ONR wygląda tak, jak wyglądał przed wojną". A więc przypomnijmy, co było dziedzictwem przedwojennego ONR. To m.in. getta ławkowe, przeznaczone dla żydowskich stu-

FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 24736a12dd

dentów, którzy nie mogli siedzieć razem z polskimi kolegami i koleżankami na jednych wykładach.

Antysemityzm był, jest i będzie głównym elementem ideologii ONR. Nie chcą tego dostrzec dziennikarze, którzy w imię swoiście rozumianej wolności słowa zapraszają do swoich programów ludzi o jawnie nacjonalistycznych i ksenofobicznych poglądach. Mając w pamięci jeden z tzw. Marszów Niepodległości, nie

PiS jest główną zaporą dla nacjonalistycznej prawicy.

sposób nie przypomnieć tego, co ujawniła witryna WikiLeaks. Otóż wspomniany już Holocher w prywatnej korespondencji naradzał się co do sposobów walki, jaką ma prowadzić ONR na ulicach Warszawy. Twierdził, że na początku atakowane powinny być squaty. Plany te, jak pamiętamy, wprowadzono w czyn. Ciekawe, czy równie ochoczo oenerowcy przystąpiliby do realizacji innego z jego planów: „żeby w przebraniu policjantów porywać i mordować działaczy lewicy”.

Polska młodzież jest dziś nieomal wyłącznie prawicowa.

Zapomnijmy zatem o delegalizacji ONR, która w obecnych warunkach politycznych nie ma szans. Zacznijmy w końcu promować wśród młodych ludzi postawy i formy działalności, które zbliżą ich do idei otwartości i tolerancji. Przed wojną taką przeciwwagą była PPS z potężnie rozwiniętą siecią organizacji młodzieżowych, harcerskich i sportowych. Dopóki lewica nie wykształci w sobie takiego przekonania, dopóty ONR będzie rósł w siłę, a ewentualna delegalizacja, nawet jeśli zostanie kiedyś przeprowadzona, nie osłabi wśród młodych nacjonalistycznych i ksenofobicznych zachowań. A państwo? Ma mechanizmy, aby bronić obywateli przed brunatną siłą, ale powinno przede wszystkim promować zupełnie inne postawy.

Autor jest publicystą, napisał wywiad rzekę z prof. Krzysztofem Dunin-Wąsowiczem oraz książkę „Jaka Polska?”

DOBRE I ZŁE ADRESY

Po 1989 r. zaczęto uprawiać propagandę mieszkania własnościowego jako podstawowej formy mieszkalnictwa w Polsce. Lokum wynajmowane za czynsz uważano za postkomunistyczną formę użytkowania mieszkań. Nic bardziej mylnego. Przez całe stulecia podstawową formą zapewnienia sobie dachu nad głową było wynajmowanie mieszkania, bo ludzie byli za biedni na kupno lub kredyt. Historyk z Instytutu Historii PAN pokazuje, jak w dawnej Europie chłopi otrzymywali od pana pomoc w budowie prymitywnego domu, a w miastach czeladnicy, uczniowie i służące mieszkali kątem u majstra. W kamienicach mieszkania wynajmowali lekarze, profesorowie, prawnicy, oficerowie… W ciasnych izbach czynszówek gnieździli się robotnicy. Próby poprawy sytuacji mas w końcu XIX w. zaowocowały przyfabrycznymi osiedlami domów zakładowych, spółdzielniami mieszkaniowymi, domami komunalnymi i dotowanymi przez państwo.

Efektami pozytywnej rewolucji są postponowane po 1989 r. bloki mieszkalne i osiedla, które były pomysłem architekta wizjonera Le Corbusiera. Zaczęto je budować już w Republice Weimarskiej, a wielkie zmiany zaczęły się po 1945 r., nie tylko w Polsce, ale też w Niemczech, we Francji i w Wielkiej Brytanii. Czynszówki z ciemnymi studniami podwórek zostały zastąpione blokami z dwu-, trzy- i czteropokojowymi mieszkaniami z łazienką, gazem i ciepłą wodą dla zwykłych ludzi. Otaczano je parkami i zielenią, doprowadzano komunikację miejską, wyposażano w niezbędną infrastrukturę. Wiele z tych osiedli po 1989 r. wypiękniało, ale jednocześnie je zagęszczono, przez co przestały być strefami ciszy.

(PD)

Dariusz Łukasiewicz, *Dobre i złe adresy. Szkice z dziejów mieszkania i jego otoczenia w XVII-XXI w.*, Instytut Historii PAN, Wydawnictwo Naukowe Silva Rerum, Poznań 2017.

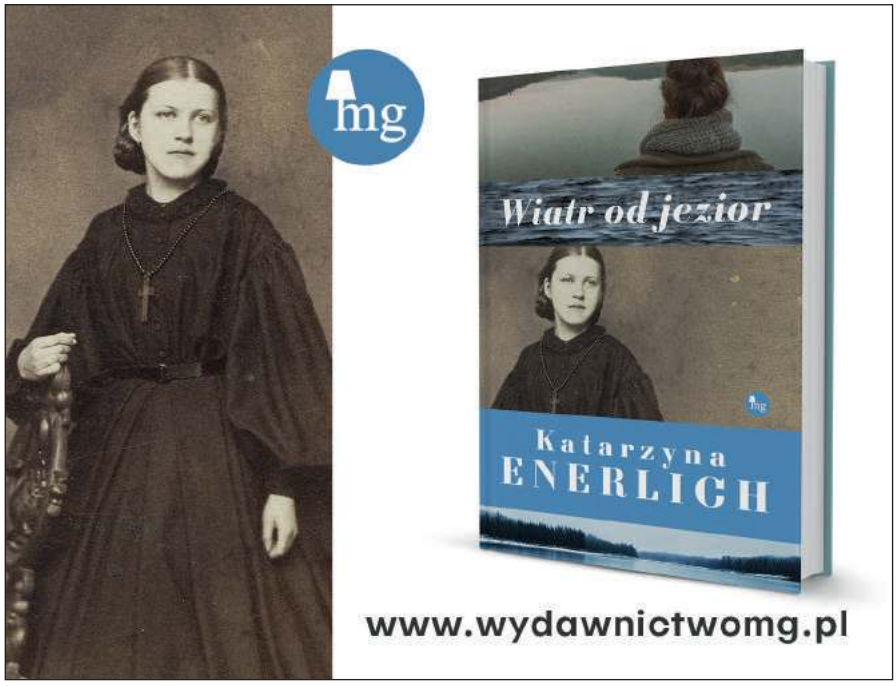

eprasa.pl 24736a12dd

ZNIESŁAWIĆ LEGENDARNEGO PILOTA

Gen. Stanisław Skalski już nie może się bronić przed niegodziwością

Katarzyna Ochabska

W czasie moich rozmów z gen. Stanisławem Skalskim przyglądałam się człowiekowi, którego całe życie nierozerwalnie związane było z wojskiem. Urodzony pilot, świetny dowódca i taktyk, dla którego Polska była dobrem najwyższym. Człowiek historia. Już za życia nasza duma narodowa, symbol, który nie dał się złamać przez najcięższy los. Jednak im więcej lat upływa od jego śmierci, tym śmielej pojawiają się pseudoznawcy jego życia i dokonań.

Jednym z nich jest Marcin Szymaniak, który w książce „Fighterzy" uznał, że można bezkarnie zniesławiać człowieka i kalać pamięć o nim. Począwszy od pierwszego zdania do ostatniej kartki, mamy w niej do czynienia z jednym wielkim kłamstwem. Brak elementarnej wiedzy nie tylko historycznej, ale i lotniczej, niechlujny język wykazują zarówno wysoki stopień niedouczenia publicysty, jak i kuriozalną nierzetelność oraz jawną niechęć zarówno do bohatera, jak też do sukcesów polskiego lotnictwa z czasów II wojny światowej.

Początkowy opis sceny więziennej przedstawia Skalskiego jako stłamszonego i przestraszonego człowieczka, który powie wszystko, byle tylko oprawcy przestali go bić. U osób, które choć na krótko zetknęły się z lotnikiem, nie mówiąc o tych, które go znały, od razu pojawia się wątpliwość – czy aby na pewno chodzi o Stanisława Skalskiego? Dalej jest już tylko gorzej.

NIEWIEDZA PRZEPLATANA FAŁSZEM

Publicysta podaje fałszywe informacje o ojcu Skalskiego (reszty rodziny i tak nie zna), miejscowości, w której przyszły pilot spędził lata młodzieńcze, wielkim uczuciu, latach nauki, zainteresowaniu lotnictwem. Na politechnice (w tekście Polibudzie) „miał długo nie wytrzymać". Nie mógł wytrzymać ani długo, ani krótko, bo nie tylko tam nie studiował, ale nawet nie przystąpił do egzaminów.

Szkołę Podchorążych Lotnictwa przedstawiono jako „wojskową szkołę orląt". Nie ma jednego słowa prawdy o dostaniu się do niej oraz pobycie w Dęblinie. Organizacja polskiego lotnictwa ogranicza się do dwóch terminów – „były jakieś eskadry liniowe i myśliwskie". W ogóle polscy lotnicy to zgraja nieudaczników, szybko umykających we wrześniu 1939 r. za granicę.

> Marcin Szymaniak w książce „Fighterzy" uznał, że można bezkarnie zniesławiać człowieka i kalać pamięć o nim.

Pierwszą walkę powietrzną stoczoną przez Skalskiego i jego niezwykłe zachowanie, niemające równych sobie w historii II wojny światowej, przedstawiono fałszywie i mętnie. Skalski nie tylko opatrzył rannych Niemców, ale też uratował im życie (groził im samosąd ze strony okolicznych Polaków), za co oni i ich rodziny byli mu wdzięczni do końca swoich dni. Kiedy został zaproszony do Niemiec, był tam honorowany jak bohater.

Na opisy walk powietrznych (nazywanych jakimiś misjami), podobnie jak na sceny więzienne, należy tylko spuścić zasłonę milczenia. Przedstawienie drogi do Francji i pobytu w Anglii jest równie żałosne jak cała treść. Wyjątkowo długie opowiadanie o zrzucie protezy dla Douglasa Badera to kolejny wymysł – Skalski nie brał w tym udziału.

Piramidalne bzdury dotyczą walk Skalskiego w Afryce. Autor nie zna nawet nazwy Polish Fighting Team (PFT) – Polski Zespół Myśliwski. Nie wie również, że w wojennych publikacjach nie można było podać nazwy „Cyrk Skalskiego" – tylko „Cyrk kapitana S.". Podanie całego nazwiska mogło być tragiczne dla rodziny pozostałej w okupowanej przez Niemców Polsce.

O naszych fantastycznych osiągnięciach bojowych ani słowa. Nie mogło ich być, bo „walczyliśmy z niedobitkami Luftwaffe". Znajomość tych oraz innych faktów najlepiej zobrazuje wytłumaczenie etymologii słowa cyrk: „Mistrzowska drużyna pilotów barona Manfreda von Richthofena używała wówczas maszyn w pstrokatych kolorach, a przemieszczając się na zapleczu (!) frontu, ustawiała obozowisko namiotowe podobne do cyrkowego". Śmiać się czy płakać nad taką głupotą? Cyrk oznaczał zespół wybitnych pilotów myśliwskich, doskonale zgranych w lotach, będących rzadko spotykanymi strzelcami powietrznymi!

Skalski według publicysty latał tylko w „jakichś eskadrach" i „został szefem dywizjonu". Brak informacji o dowodzeniu dywizjonami polskimi, o ich nazwach i numerach, o tym, na jakich samolotach latał – ich oznakowaniu i malowaniu. O udziale w operacji desantowej pod Dieppe. Nieprzypadkowo pominięto nie tylko jego życie, ale i sukcesy lotnicze. Nie ma ani słowa o powierzeniu Skalskiemu dowództwa słynnego 601. dywizjonu brytyjskiego „County of London" i jego walkach ani o objęciu drugiego skrzydła i lataniu na mustangach, choć umieszczono wyjątkowo często publikowane zdjęcie w tym samolocie. Przemilczano loty

eprasa.pl 24736a12dd

nad Niemcy, udział w operacji desantowej D-day, zwalczanie broni V-1, objęcie stanowiska szefa planowania operacyjnego 11. Grupy Myśliwskiej. O zaszczycie skierowania do Wyższej Szkoły Wojennej w USA autor też nie ma pojęcia (pisze: posłano na studium wojskowe).

WYRWANE Z KONTEKSTU

Brak wiedzy wychodzi w fundamentalnej sprawie – motywów i realiów powrotu Skalskiego do Polski. I w tym, co robił w ojczyźnie do ostatnich dni życia. Natomiast autor szeroko opisuje powtarzane głupio od lat dwa argumenty mające Skalskiego poniżyć – nadużywanie alkoholu i antysemityzm. Nie wiem, pod wpływem czego był publicysta „świetnie znający" przecież także życie prywatne Skalskiego, że nie mogąc zdyskredytować go inaczej, robi z niego stale pijanego.

Jak każdy człowiek Skalski miał prawo do własnego zdania. Także krytycznego. Ani po wyjściu z więzienia, ani po 1989 r. nikt nie wykorzystał jego wiedzy i talentów, również wojsko. Taka dziwna prawidłowość – im większe zasługi, tym większa zawiść maluczkich. Oczekiwano od niego ciągłego rozpamiętywania czasów wojny. Kiedy chciał się wypowiedzieć na tematy aktualne, jego krytyczne opinie, choć słuszne, nie wszystkim były w smak, szczególnie jeśli publicznie wymieniał czyjeś nazwiska. Z przeciwnikami wchodził wtedy w zwarcie z impetem jak w walce powietrznej.

Wyrwane z kontekstu zdania, powtarzane w celu zdyskredytowania Skalskiego, przybierały dla niektórych charakter obsesyjny. Obarczano winą za to psychikę, która miała zostać nadszarpnięta w więzieniu. Przypięta łatka antysemity ma się jak pięść do nosa. Jak się okazuje, strach przed posądzeniem o antysemityzm paraliżuje wielu, nawet najodważniejszych dziennikarzy. Jak więc nazwać kogoś, kto poniża Skalskiego, kłamie na jego temat, szydzi – ANTYPOLAK?

Gen. Skalski nie musiał sobie dorabiać sukcesów, jego osiągnięcia są doskonale znane. Jednak cenione są przede wszystkim za granicą. Uhonorowano go prawie 40 odznaczeniami. Anglicy trzykrotnie nadali mu Zaszczytny Krzyż Lotniczy (tylko dziewięciu pilotom przyznano go trzy razy, Skalskiemu i ośmiu Brytyjczykom). Jednak zawsze najwyżej cenił on sobie Virtuti Militari. Złotym Krzyżem Virtuti Militari został odznaczony jako jeden z siedmiu lotników. Amerykanie oferowali mu od ręki obywatelstwo i wszelkie profity, aby tylko został w ich wojsku. Dlaczego źle odnoszą się do niego tylko Polacy?

> W książce Szymaniaka polscy lotnicy to zgraja nieudaczników, szybko umykających we wrześniu 1939 r. za granicę.

Skalski ma swoje honorowe miejsce w historii, nie tylko Polski, i byle pismak nie odbierze mu ani zasług, ani szacunku. Niestety, pisanina Marcina Szymaniaka, ten z gruntu fałszywy obraz, wpadła już w ręce równie intelektualnie rozwiniętej publicystki internetowej. Do szerokiej rzeszy osób traktujących internet jako jedyne (i wiarygodne) źródło wiedzy trafiły brednie.

NOWE WZORCE

Na kłamstwa Szymaniaka już powołują się zwolnieni z czytania ze zrozumieniem. Utrwala się więc medialna dezinformacja. Komu zależy na poniżaniu prawdziwego bohatera? Publicysta współpracuje z „Focus Historia". Według Wikipedii to „polski

> Skalski ma swoje miejsce w historii i byle pismak nie odbierze mu ani zasług, ani szacunku.

miesięcznik popularnonaukowy wydawany przez polską filię niemieckiego wydawnictwa Grüner+Jahr". Kilka lat temu ukazał się tam artykuł szkalujący Jana Zumbacha, przy okazji przyłożono też Skalskiemu. Obaj już wówczas nie żyli.

Wypieranie ze świadomości społecznej ludzi mających autentyczne zasługi wojenne rodzi uzasadnioną obawę, że kiedy bohaterowie już odeszli i zabraknie nas, którzy się z nimi zetknęli, do głosu dojdą grabarze pamięci narodowej. Wymazywanie z pamięci, skazywanie na zapomnienie wielkich żołnierzy nie jest przypadkowe. Dzisiejsza wszechobecna propaganda zaczyna już narzucać nowe „świetlane wzorce".

Człowiek tak długo żyje, jak długo istnieje w ludzkiej pamięci. Z okazji stulecia urodzin Skalskiego przygotowałam uchwałę sejmową „W sprawie upamiętnienia lotników polskich walczących na frontach II wojny światowej". Podkreślam: na wszystkich, nie tylko w Wielkiej Brytanii. W uzasadnieniu napisałam na zakończenie: „Upamiętnienie polskich lotników czasów II wojny światowej to ocalenie od zapomnienia naszej przeszłości, a przez to danie wzorców godnego postępowania młodemu pokoleniu". Sejm jednogłośnie przyjął uchwałę 24 lipca 2015 r. Kto o tym słyszał?

Autorka jest historykiem, autorką biografii pt. „Stanisław Skalski"

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 24736a12dd

TAKIEGO PORWANIA NIGDY SIĘ NIE ZAPOMNI

Tylko w 1981 r. aż 10 razy uprowadzano polskie samoloty pasażerskie

Rozmawia Krzysztof Pyzia

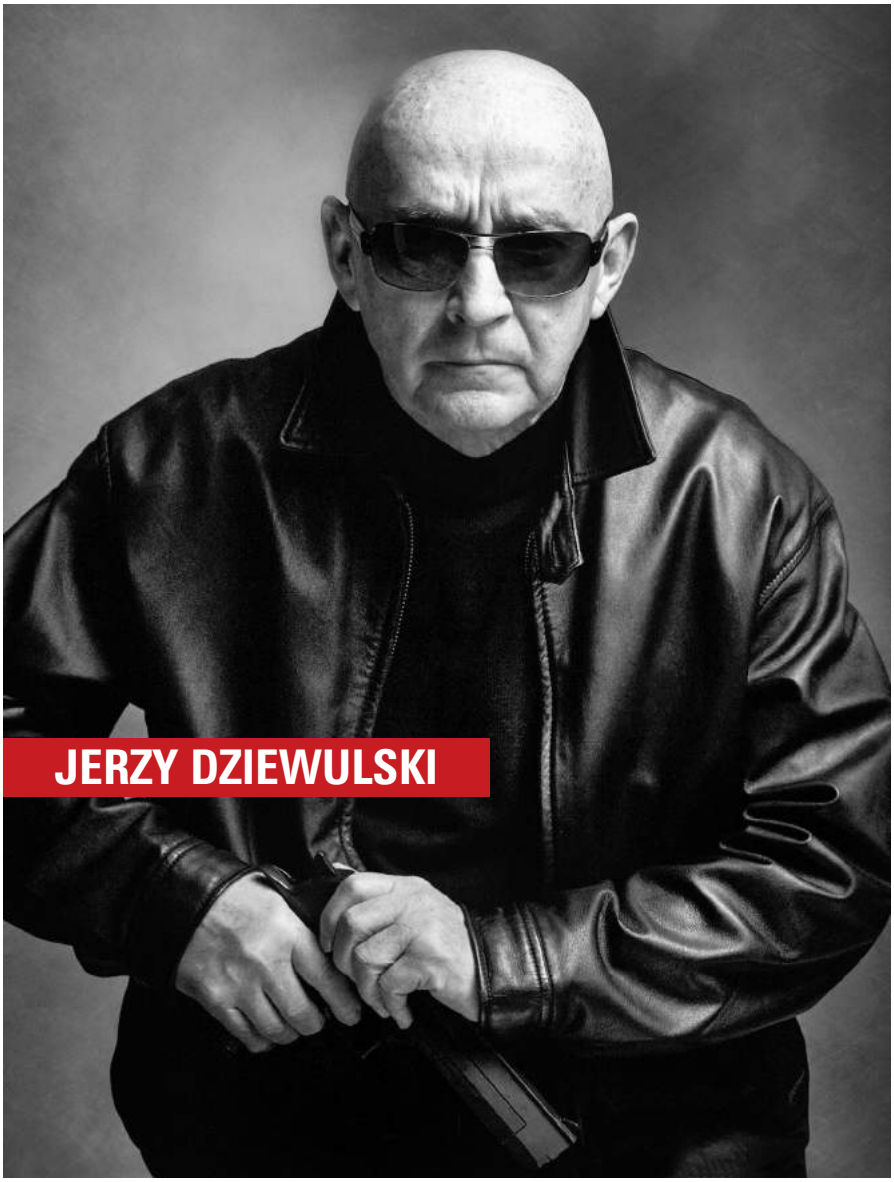

Lata 80. w Polsce to czas, gdy brutalne porwania samolotów były na porządku dziennym. (…) Zdarzało się, że porywacze podpalali pokład samolotu, wieszali pasażerów na skórzanych paskach, a nawet podcinali im gardła. W tamtym czasie ziemią obiecaną było lotnisko Tempelhof, położone niecałe 4 km od centrum Berlina. (…) Natężone uprowadzanie samolotów LOT-u przypada na okres w okolicy stanu wojennego. Tylko w 1981 r. aż 10 razy porywano polskie samoloty pasażerskie, co miało stanowić aż 27% wszystkich porwanych na świecie w tamtym roku!

Opowiedzmy o najsłynniejszym porwaniu, w którym brałeś udział. (…)

– Pamiętam jak dziś, że to był wtorek 22 września 1981 r. W pracy siedzę od ósmej rano. Do 14 ostro ćwiczymy z chłopakami odbijanie ludzi z rąk terrorystów. (…) Później przez dwie godziny siedzę nad papierami. Czas szybko zlatuje, a zegar w końcu pokazuje szesnastą. Pakuję swoje rzeczy, wychodzę z pracy, wsiadam do samochodu i wracam do domu. Zapowiada się spokojne popołudnie. (…)

Około 19 w chałupie zaczyna mi dzwonić telefon. (…) Z przyspieszonym biciem serca podnoszę słuchawkę i dyżurna z Okęcia informuje mnie o tym, że kontrola ruchu lotniczego zgłasza uprowadzenie samolotu. Myślę sobie: „Kontrola ruchu? Pewnie Katowice, Kraków albo Wrocław. Jak zwykle…". Dopytuję, czy już wie, o który konkretnie samolot chodzi. Jeszcze nie wiedziała. „Słuchaj, muszę mieć potwierdzenie – co to za samolot, skąd leci i jakie oczekiwania mają porywacze!". Nie rozłączam się. Z drugiego telefonu dyżurna dzwoni bezpośrednio do kontroli ruchu lotniczego. Rozmawia i słyszę, jak krzyczy: „O kurwa!". Nie jest dobrze. Słowo „kurwa" w ustach dziewczyny, która nigdy nie przeklina, jest złym znakiem.

Co ustala dyżurna?

– Kończy rozmowę z kontrolą lotów i mówi: „Szefie, kurwa, to nasz samolot!". „Jak to nasz?!" „No nasz! To jest ostatni samolot, który dzisiaj odlatywał z Warszawy do Słupska! On jest uprowadzony". „Skąd leci? Gadaj szybko!". I w tym momencie czuję się, jakby ktoś walnął mnie czymś ciężkim w głowę. Słyszę: „Szefie, on leci od pana z Warszawy! (…). Z niedowierzaniem odkładam słuchawkę. Poziom adrenaliny sięga zenitu. (…) Szybko się ubieram, wskakuję do swojego audi, wrzucam koguta na dach i ruszam na bombie przez miasto. (…) Przed samym lotniskiem zatrzymuję rozpędzony wóz. (…)

eprasa.pl 24736a12dd

Trzeba było się dowiedzieć po drodze, używając krótkofalówki.

– No coś ty, o krótkofalówce to ja mogłem wtedy tylko pomarzyć! Docieram na miejsce. Okazuje się, że zaraz po moim telefonie dyżurna Ala ogłosiła alarm. Dzięki temu na miejscu zastaję ludzi ubranych w kamizelki, uzbrojonych po zęby. „Jak sytuacja?" – pytam. „Szefie, melduję, że jesteśmy gotowi!". Biegnę do stanowiska dowodzenia. Chwytam za telefon i wykręcam numer Ali. Niestety, dyżurna nie odbiera. Chwytam za radiostację i krzyczę: „Ala, odbierz pilnie telefon!".

Nie szkoda było czasu? Od razu przez radiostację mogłeś jej wszystko powiedzieć.

– Bzdura. Gdybym mówił przez radiostację, ktoś niepowołany mógłby to usłyszeć! Dzwonię raz jeszcze do Ali. Jeden sygnał, drugi. Ala, odbierz w końcu! W tym momencie po drugiej stronie słyszę jej głos. Matko, jak dobrze! „Ala, jak wygląda sytuacja?!". „Szefie, kurwa, on leci do nas!". „Kto jest kapitanem?". Kiedy pada nazwisko kapitana, nieco się uspokajam. „Spokojnie, on wie, co robić. Posłuchaj mnie teraz, Ala, uważnie! Do ciebie należy jedna rzecz. Poinformuj o wszystkim dyżurnego miasta. Muszą nam dać pełne wsparcie – karetki pogotowia i wsparcie straży pożarnej. Uruchom cały system". (…) Błyskawicznie zbieram ludzi. Prowadzę odprawę. Na mój ryj – za przeproszeniem – spada cała odpowiedzialność za to, co się za chwilę wydarzy.

Docierają do ciebie jakieś sygnały z pokładu samolotu?

– Nie mam pojęcia, co tam się dzieje. Próbuję się dowiedzieć, na którym kierunku będzie lądował samolot. Okęcie ma dwa pasy startowe. Każdy z nich ma określony kierunek lądowania i startu. Nawiązuję kontakt z wieżą kontrolną, która podaje, na którym pasie go posadzą. Już nie pytam, którędy będzie kołował, choć zawsze się to robi. Mnie to nie interesuje. Muszę robotę zakończyć od razu po wylądowaniu. (…) Albo porywacze załatwią nas, albo my ich. Zaraz potem dostaję szczegółowe informacje o kapitanie samolotu. Doświadczony, bardzo spokojny pilot. Pułkownik z wojska. Jeden mały kamień spada mi z serca.

Próbujecie nawiązać z nim kontakt?

– Nadal nic nie wiemy poza jednym – kiedy samolot będzie się zbliżał do lotniska, pilot obiecał dać znać, dwukrotnie mrugając światłami.

Skąd to wiecie?

– W środku, w kabinie z pilotami, siedzi porywacz. Kiedy na chwilę z niej wychodzi, pilot błyskawicznie nawiązał kontakt z wieżą i przekazał informację o tych światłach. Dodatkowo mówił, że porywacz żąda lotu na Tempelhof. Dla mnie to było bardzo ważne. Skoro porywacz na chwilę wyszedł z kabiny, to znaczy, że prawdopodobnie nie jest profesjonalistą. (…) Wydaję dyspozycję: „Porywacze będą myśleć, że lądują na Tempelhof (…)". To oznacza, że musimy przyjąć go jak na Tempelhof.

To wszystko brzmi jak mocny film akcji.

– Kilka miesięcy wcześniej, po kolejnym porwaniu i żądaniu lotu na Tempelhof, wyszliśmy naprzeciw oczekiwaniom terrorystów. (…) Postanowiłem zrobić baner z napisem „Tempelhof". (…) Wiesz, jak to było robione? Pędzlem na płótnie. Facet bardzo dokładnie to zrobił – wyglądało, jak drukowane. W tamtej chwili ludzie z patrolówki ode mnie dostali polecenie rozwieszenia tego baneru na napisie „Warszawa Okęcie". Okazało się, że kiedy rozwiesili, to i tak nie było go widać. Z prostej przyczyny – na czas rozwieszania wyłączono światło, żeby nie było widać, co oni robią. A później w pośpiechu zapomniano ponownie zapalić światło. To był jedyny błąd, jaki popełniliśmy w trakcie tej operacji. Mniejsza o to. Zaraz potem pojawia się kolejny problem. „Chłopaki, jeżeli oni tu lądują i któryś z nich będzie siedział przy oknie i kontrolował miejsce lądowania, to zobaczy Pałac Kultury! Drugi taki jest tylko w Moskwie! Co robimy?" „Wyłączyć światło na PKiN-ie", mówi jeden z chłopaków.

Durny pomysł. Przecież te czerwone światła na Pałacu Kultury i Nauki świecą się specjalnie po to, by ostrzegać nadlatujące samoloty.

– Dlatego przepisy nie pozwalają na wyłączenie tych świateł. Ale my musimy balansować na granicy prawa – nie mamy innego wyboru. Chwytam za słuchawkę i dzwonię do dyżurnego miasta. „Jeżeli nie wyłączycie tych cholernych czerwonych świateł, to operacja bierze w łeb!", przekonuję go. Odpowiedź zwala mnie z nóg: „Słuchaj, nie mogę wydać takiej dyspozycji. Za chwilkę dam ci sygnał". „Człowieku, każda sekunda jest cenna, za moment wszyscy mogą zginąć, a ty każesz mi czekać na jakiś sygnał?!". „Przepraszam, ale takie mamy przepisy. Czekaj i bądź dobrej myśli!". Siadam sam w gabinecie i czekam. Słyszę ruchy wskazówek mojego zegara. Minutę później – która trwa wtedy tyle co wieczność – oddzwania dyżurny: „Stary, te światła są ostrzeżeniem dla innych samolotów. Nie możemy ich wyłączyć". „Noż kurwa twoja mać! Ale kontrola kraju zajęła cały obszar i nikt teraz nie ląduje ani nie lata nad Warszawą! (…)". „Aaaa! To zmienia postać rzeczy. Czekaj przy telefonie, oddzwonię!". Myślę, że zaraz zwariuję. To tylko pieprzone światełka, od których za chwilę będzie zależało życie 50 osób! Tym razem dyżurny oddzwania błyskawicznie: „Dobra, załatwione!". Chwilę później jeden z chłopaków przybiega do mnie i mówi: „Szefie, ale z tej odległości widać też Wilanów!". „Stary, nie przesadzaj z tym Wilanowem! To przecież nie są intelektualiści, którzy tam bywają i wiedzą, jak to wygląda!". „No ale wyłącz na wszelki wypadek!". Chwytam za słuchawkę i ponownie dzwonię do dyżurnego: „Musimy jeszcze zgasić cały Wilanów!". „Jurek, co ty kombinujesz?!". „Człowieku, albo operacja ma być na takim poziomie, jaki sobie wymyśliłem, albo ktoś mi ją spierdoli. Pomóż mi, proszę!". „Dobra". To jeszcze nie koniec. Dzwonię do niego po raz kolejny: „Słuchaj, trzeci obiekt jest do wyłączenia!". „Kurwa, który?!". „Dworzec Centralny". „Masz rację. Mogą go poznać. Zaraz to załatwię". Odkładam telefon i wydaję dyspozycję: „Panowie, kompletne uzbrojenie!". Chłopaki zakładają na siebie białe kamizelki.

Kapitan zachowuje zimną krew. Zanim otworzy drzwi porywaczowi, postanawia powiadomić kontrolę powietrzną kraju.

Kiedy porywacz na chwilę wychodzi z kabiny, pilot przekazuje informacje do wieży.

eprasa.pl 24736a12dd

Dlaczego białe?! Przecież ten kolor najbardziej rzuca się w oczy!

– (…) Kolor był nieprzypadkowy. (…) Terrorysta zamiast strzelać w głowę, celował w kamizelki. A te były kuloodporne, tytanowe. Mój zespół miał je jako pierwszy w Polsce. Ściągaliśmy je aż ze Szwajcarii. (…)

Wróćmy do porwania.

– Dopiero później dowiem się, co się działo na pokładzie. (…) Zaczęło się od tego, że do stewardesy podchodzi porywaczka. Przyciąga ją do siebie, przykłada jej do szyi skalpel chirurgiczny i mówi: „Słuchaj, kurwo! Przekaż natychmiast wiadomość, że kapitan ma w tej chwili otworzyć drzwi. Wejdzie do niego nasz człowiek. Samolot jest uprowadzony do Tempelhof". Stewardesa zgodnie z instrukcjami nie wyrywa się. Ma świadomość, jak ostry jest skalpel chirurgiczny. (…) Wystarczy go mocniej przycisnąć i już nacina skórę. W tej sytuacji stewardesa staje przy telefonie, łapie za słuchawkę i mówi: „Panie kapitanie, jestem w rękach kobiety, która mówi, że samolot jest uprowadzony. Żądają lotu do Tempelhof. Przyłożyła mi skalpel do szyi i żąda natychmiastowego otwarcia kabiny, ponieważ musi tam wejść jeden człowiek". Kapitan zachowuje zimną krew. Zanim otworzy drzwi porywaczowi, postanawia powiadomić o wszystkim kontrolę powietrzną kraju. Chwilę później kapitan raz jeszcze odbiera telefon od zrozpaczonej stewardesy z błagalną prośbą: „Panie kapitanie, ta kobieta grozi mi utratą życia, jeżeli pan nie wpuści tego człowieka! Mam całą zakrwawioną twarz. Ta kobieta pocięła mi ją! Proszę, kapitanie!". Kapitan odpowiada: „Dobrze, już go wpuszczam". Zaraz potem do kabiny wchodzi niewysoki, na oko mierzący 1,60 m mężczyzna. Ciemne włosy, młody – wygląda na ok. 30 lat. Mówi, że ma materiał wybuchowy i broń, choć żadnej z tych rzeczy nie pokazuje. Siada z boku i rzuca krótko: „Lecimy na Tempelhof!". Kapitan zaczyna rozmawiać z porywaczem. Próbuje z nim dojść do porozumienia, nawiązać jakiś kontakt. Wszystko po to, by ocenić ryzyko. Okazuje się, że porywacz odpowiada spokojnie, bez żadnych krzyków, bez uderzania pilota po głowie. Pilot doskonale wie, że takie zachowanie daje szansę na szczęśliwe zakończenie. Musi podjąć teraz decyzję – czy poleci do Dziewula na Okęcie, czy na Tempelhof. Jeżeli poleci do Dziewula, to wie, co ten może zrobić. Na Tempelhof tak bezpiecznie już być nie musi.

Ja bym na miejscu pilota poleciał na Tempelhof. (…)

– Chyba o czymś zapominasz. Mamy rok 1981. Lot do Tempelhof nie daje żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Przecież w drodze mogłyby się pojawić rosyjskie myśliwce, których pilot bał się jak piekła. (…) Zdradzę ci coś… W trakcie nieplanowanych przelotów Rosjanie podlatywali swoimi myśliwcami do naszych maszyn. Kazali im zawracać. Nie można było z nimi negocjować w takiej sytuacji, bo najnormalniej w świecie nie miało się z nimi żadnej łączności. (…)

Musimy jeszcze zgasić cały Wilanów!

Samolot pasażerski Antonow An-24W w barwach LOT-u.

W końcu pilot podejmuje decyzję o locie do Warszawy, choć porywacze wierzą, że lecą na niemieckie lotnisko Tempelhof.

– Właśnie tak. Porywacz siedzi w kabinie pilota. W pewnej chwili na pokładzie dochodzi do zamieszania. Coraz więcej pasażerów ma problemy z żołądkiem, chcą iść do toalety. Gerard F., szef porywaczy, każe stewardesie, by połączyła się z kapitanem i przekazała, żeby porywacz z kabiny dołączył do F., bo ten go potrzebuje na pokładzie. Stewardesa powiadamia o wszystkim kapitana, a ten porywacza w kabinie: „Wie pan, tam pana woła kolega". Porywacz niepewnie patrzy na pilota. Zaraz potem słyszy, jak pilot mówi przez radiostację, że zmieniają kierunek lotu i będą lecieć na lotnisko Tempelhof. To uspokaja porywacza. (…) Zaraz po jego wyjściu pilot błyskawicznie nawiązał kontakt z wieżą kontrolną: „Panowie. Widzę, że mam szansę. Powiadomcie Dziewula, że lecę do Warszawy. Nic więcej, nie mogę dłużej rozmawiać. Będę lądował według systemu, który znam. Wcześniej błysnę dwa razy światłami zbliżania".

Co w tym czasie dzieje się na pokładzie?

– Rozgrywają się niesamowicie brutalne sceny. Prezes spółdzielni mleczarskiej z Koszalina chce skorzystać z toalety. Porywacze mu nie pozwalają (…). W końcu facet nie wytrzymuje i idzie do kibla. Kiedy z niego wychodzi, porywaczka razem z szefem grupy, F., łapią go za łeb, wciskają w składany fotel stewardesy i zdenerwowani mówią podniesionym głosem: „Nigdzie, chuju, nie pójdziesz! Tutaj będziesz siedział!". Potem F. odwija bandaż elastyczny, który ma na całej ręce, (…) robi pętlę na szyi tego faceta i zawiesza bandaż u góry. Wystarczy jeden niewłaściwy ruch, by facet się powiesił. „Jak to zdejmiesz, to cię zastrzelę", mówi porywacz. Pasażerom zaczynają puszczać nerwy, (…) na pokładzie samolotu robi się jeden wielki burdel. (…) Porywaczka coraz bardziej się denerwuje, wściekła podchodzi do F., szarpie go za ramię i mówi: „Słuchaj, chuju jebany, przejmuję dowodzenie! (…) Wieszaj tego skurwysyna!". F. łapie za bandaż, podnosi faceta, ale widzi, że to nic nie daje, ponieważ gość zaczepił się nogami i nie da się go unieść. Czas udusić go inną metodą. F. kładzie rękę za głową mężczyzny i dusi go. Facet traci przytomność i osuwa się w fotelu. Kiedy odzyskuje przytomność, porywaczka rozkazuje F.: „Walnij go w pysk!". Za niecałe dwie minuty sytuacja się powtarza – facet odzyskuje przytomność, F. wali go w pysk i rzuca na podłogę. (…)

Porywaczka się uspokaja?

– Zdecydowanie tak. Na pokładzie panuje cisza, wszyscy patrzą na wieszanego faceta. Dyscyplina jak w wojsku. Cisza jak makiem zasiał. Do tego stewardesa potwierdza, że lecą na Tempelhof. Porywaczka zachowuje zimną krew. Wyciąga bu-

eprasa.pl 24736a12dd

Do historii porwania nawiązano w jednym z odcinków serialu „07 złoś się".

teleczkę z benzyną i każe ją rozlać wzdłuż dywanu na całym pokładzie. Sięga do kieszeni i wyciąga zapalniczkę. Odpala ją, by pasażerowie zrozumieli, że żarty się skończyły. (…) Jeden zły ruch, pojawi się płomień i wszystko się spali. (…)

Wróćmy na ziemię…

– (…) Plan wyglądał tak, że samolot jeszcze kołuje, a my w tym czasie przeskakujemy z uazów na samolot, wchodzimy do środka i atakujemy wszystkie możliwe wejścia. Gdyby był jeden porywacz – nie byłoby problemu. Jest trójka – jest problem. Bo trzeba się rozdzielić. (…) Wchodzimy wejściem głównym, bagażowym z przodu i bagażowym z tyłu. (…) Wyznaczyłem ludzi do określonych form ataku. Ja miałem wejść głównym wejściem razem z jednym z żołnierzy. Byliśmy przygotowani we trzech: ja, mój zastępca Heniek i jeden z milicjantów. (…) Stoimy na stanowisku. (…) Jesteśmy napięci do bólu. Jeżeli popełnimy drobny błąd, ktoś zginie. Jeżeli jeden samochód wyprzedzi drugi, będą trupy. Nie wśród pasażerów, tylko wśród nas (…). Samolot daje błyski. No to ja do radiostacji: „Panowie, za parędziesiąt sekund zaczynamy". Wszyscy siedzimy. Jeden samochód jest z lewej strony, z prawej – dwa uazy – dobre wozy w wersji Afganistan. Dyżurna daje nam sygnał, że do lotniska zbliża się samolot, który daje znaki światłami. Kiedy samolot jest na krótkiej prostej, około kilometra od pasa, rozpędzamy nasze uazy. Jedziemy z prędkością 90 km/godz. (…) Oni lądują, my jesteśmy pod nimi. Nie mogli nas zobaczyć, nie było siły. Samolot nas wyprzedza, bo on idzie 180 km/godz. Wyprzedza nas, widzę, że dość gwałtownie. Tak jak miał powiedziane: „Jak możesz, to nie ląduj długo, natychmiast przyziemiaj". Z prostej przyczyny – to skraca czas naszego dojazdu do samolotu. Maszyna gwałtownie przyziemia, my jesteśmy 150-200 m z tyłu. On jeszcze pędzi, ale widzę, że odwraca ciąg (…), a my jesteśmy po kilku sekundach z tyłu, na dupie. Dobiegamy, samolot jeszcze kołuje. Dochodzimy do drzwi, mocujemy się z nimi, nie możemy na razie otworzyć. Samolot staje i w tym momencie pach! Heniek, mój zastępca, otwiera drzwi. Zrobił dużą szczelinę i ponieważ był lekko odsunięty od tych drzwi, to nic nie słyszał. Ja widzę w środku faceta, który stoi naprzeciwko mnie, prosto w drzwiach. I w tym momencie słyszę taki kobiecy głos: „Kurwa, zabij go!". To my go łup! – od ręki. Ten, który stał, a więc F., od razu oberwał.

W głowę?

– Nie, strzeliliśmy mu w brzuch. Ale było takie uderzenie, że on, gdy padł strzał, wpadł do kibla. Wyłamał w kiblu drzwi. I rzuciłem hasło: „jeden" – a było ich troje. Zasada jest taka: każdy żołnierz, który swojego porywacza trafi lub opanuje, ma odliczyć. No to jedziemy dalej z frajerami! Krzyczymy: „Nie ruszać się! Wszyscy na ziemię!". W tym momencie każdy, kto wstanie, może stać się celem. Nagle podrywa się ktoś z fotela stewardesy i krzyczy: „No, nareszcie!". I oczywiście Heniek, bez żadnej litości, kolbą prosto mu przez łeb. Bo nie chciał strzelać. Facet pada. (…) Dopiero później okazuje się, że to ten prezes spółdzielni, którego wieszali. Nagle słyszę, jak jakaś kobieta krzyczy: „Kurwa, wydymali nas!". W tym momencie stewardesa wyrywa się z jej ramion i w długą! Porywaczka jest wściekła: „Zabiję cię, kurwo, jak ci obiecałam!". I biegnie za nią. Heniek rusza za porywaczką, ta zaś robi zamach i już ma uderzyć skalpelem uciekającą stewardesę, która jest już prawie przy drzwiach. W tej chwili Heniek – jeb! – złożył się, wycelował jej w łeb i strzelił. Dostała. Niestety – mówię niestety, bo nie lubię niecelnych strzałów – pocisk przeszedł rykoszetem. Otworzył jej czaszkę, ale przeżyła. Szczęśliwie nabój nie trafił w mózg, tylko kość została otwarta. Taki rodzaj trepanacji. No dobra, ale, kurwa, gdzie jest trzeci, ten, który rozmawiał z pilotem? Okazuje się, że z niego był taki bandzior jak ze mnie baletnica. Przed lądowaniem kapitan, z którym siedział w kabinie, powiedział mu, że za chwilę będą lądować i dobrze by było, gdyby zajął jakąś bezpieczną pozycję. Porywacz na to przystał i poszedł usiąść do kabiny pasażerskiej. Ja o tym oczywiście nie wiedziałem w tamtym momencie. (…) Nagle drzwi od kabiny pasażerskiej otwierają się, staje w nich facet z bronią – nie zapomnę tego do końca życia – i strzela!

Do was?

– Tak! My wtedy stoimy między fotelami, jakieś 3, 4 m od drzwi. Heniek siedzi na porywaczce, zostaję ja i drzwi. Drzwi się otwierają i ta niezna-

Postanowiłem zrobić baner z napisem „Tempelhof". Pędzlem na płótnie. Wyglądało, jak drukowane.

eprasa.pl 24736a12dd

Lotnisko Okęcie, lata 80.

na postać celuje. (…) W sobie mam obraz bandziora, terrorysty, śmiecia, a ten wychodzi do mnie w białej koszuli – coś mi tutaj nie gra, nie pasuje, ja nie miałem czasu na zastanawianie się. To nie był moment. A on strzela. Podnoszę, spust miałem naciskać, ułamek sekundy i coś mi mówi: „Kurwa, nie!". Patrzę na niego i nie wierzę własnym oczom. To jest, kurwa, mechanik. Nie wolno mu było tego, za żadne skarby, zrobić! On nie jest od obrony, on jest od pilnowania przyrządów. Od siedzenia – i nic więcej. W momencie kiedy porywacz wyszedł, kapitan powiedział: „Idź, usiądź w swoim fotelu", to ten mechanik poszedł za nim, zobaczył, że siedzi, przekazał kapitanowi, ale przez ten wizjer w drzwiach zobaczył, jak my wskakujemy. Widział, jak porywaczka goni stewardesę. Co robi mechanik? Podejmuje heroiczną decyzję ratowania życia stewardesy. Nie wolno mu było tego zrobić, bo się wmieszał i stał się celem. „Podejmując tę decyzję – powiedział mi później – ja widziałem jeden obraz: stewardesę, która ucieka; rozumiałem, że chcą ją zaciukać, widziałem tę babę, która goniła ją z podniesioną ręką. Otworzyłem drzwi, żeby do niej strzelić" – to był pistolet gazowy, którego nie mógł mieć ani pilot, ani personel pokładowy. I strzelił. Widzę płomień i co robię? Opuszczam broń – decyzja zapadła w sekundę – i walę do niego fizycznie, czyli odpycham go gdzieś tam, na bok. Skojarzenie proste: biała koszula, wygląd. To był znajomy mechanik, ale w ogóle nie rozpoznałem jego twarzy. (…) Gdybym strzelił, zabiłbym go. (…)

Ale teraz ja wpadam do kabiny i pytam: „Gdzie ten skurwysyn jest?!". A Heniek na to: „Kurwa, nie ma go tutaj!". „Może spierdolił przez drzwi?". „Niemożliwe! Nasi wskakiwali i blokowali drzwi!". Kapitan mówi: „Panowie, jest na pokładzie" – tylko tyle powiedział. Ja już nie pytam, dlaczego jest na pokładzie, bo to nie jest dla mnie istotne. (…) Wszyscy mamy spluwy gotowe. Gdzie ten skurwysyn jest?! Idziemy: jeden rząd, drugi, trzeci… Każdego obserwujemy, patrzymy. I nagle jeden z pasażerów z przodu wskazuje na inne siedzenie… Nie uwierzyłem w to, co zobaczyłem – facet ze strachu tak się wpakował między siedzenia pod spodem, że nie mogliśmy go stamtąd wyjąć. (…)

Udawał, że go nie ma?

– Tak, ze strachu udawał, że jest nieobecny. (…) On był po prostu słaby. Oczywiście dopadamy go, wyjmujemy z tego fotela. Chłopaki wynoszą F., ta dupa leży i tego trzeciego dołączamy. No i teraz się zaczyna! Powódź sukcesów! Akcja zakończona? Zakończona. Jest sukces? Jest. Pasażerowie cali? Cali. Nikt nie odniósł obrażeń? Nikt. (…)

I jaki jest koniec? Ile porywacze dostali lat?

– Koniec jest taki, że po tej robocie dostałem drugie odznaczenie za odwagę. A oni zostali skazani za usiłowanie zabójstwa mnie i Heńka. Jeżeli dobrze pamiętam, to dostali chyba po 12 lat albo i więcej. Kiedy już ich razem przetransportowaliśmy do jednostki, dopiero wszyscy sobie przypomnieliśmy, że jeden z nich oberwał ostro – adrenalina nam tak waliła, że dla nas nie było istotne, że on oberwał. A on się nie przypominał, tylko powtarzał, że go boli brzuch. „Jak cię boli brzuch, to idź do łazienki". Ja patrzę, a on krwawi od cholery. I mówię: „Chłopaki, przecież on jest trafiony! Natychmiast pogotowie!". Oczywiście karetka przyjechała, zabierają go i lekarz mówi: „Ciężki postrzał. Ma deskowaty brzuch. Tak twardy, że nie mogłem go ugiąć. To jest ciężki postrzał". Jedziemy do szpitala MSW, bo najbliżej. Podjechali, zrobili mu operację. Miał postrzeloną trzustkę, wątrobę, żołądek i jelito grube. Ale przeżył. Ba, nie dość, że przeżył, to jeszcze był na rozprawie w sądzie! (…)

> Po tej robocie dostałem drugie odznaczenie za odwagę. A oni zostali skazani za usiłowanie zabójstwa.

Fragmenty książki Jerzego Dziewulskiego i Krzysztofa Pyzi, *Jerzy Dziewulski o polskiej policji*, **Prószyński i S-ka, Warszawa 2017**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, WWW.SAMOLOTYPOLSKIE.PL, POLFILM/EAST NEWS, EAST NEWS

eprasa.pl 24736a12dd

Gdybym był królem

Edward Mikołajczyk

Z dziecięcych marzeń o królowaniu chyba najskuteczniej leczyła do tej pory, czyli od blisko stu lat, powieść Janusza Korczaka „Król Maciuś Pierwszy". Tegoroczny Sejm Dzieci i Młodzieży pokazał, że pamięć o Maciusiu sczezła. Może książka już wyleciała z kanonu lektur szkolnych, a może tylko jej duch opuścił narodowe ciało pedagogiczne. Inaczej nie mogłoby się zdarzyć, że jakiś smarkacz na trybunie sejmowej drze cudzą flagę. Ktoś nauczył go podlizu, zanim rówieśnicy nie obili mu buziulki za coś podobnego.

Do obchodzenia się z dziecięcymi marzeniami bardziej potrzebny jest doktor niż Instytut Pamięci Narodowej. Tymczasem, jak słychać, do castingu na posła IPN przygotował dla szkół temat z naśladowania Pawki Morozowa, który zadenuncjował komu trzeba własnych rodziców.

U dziatwy, która chciała się zabawić w Sejm z okazji Dnia Dziecka, należało zamówić wypracowanie pod hasłem „Gdybym był królem". Dzieci w rolach monarchów sprawdzają się lepiej niż dorośli, którym się wydaje, że są królami. W każdym razie mniej jest po nich sprzątania, a znacznie więcej korzyści dla ustawicznego meblowania własnej wyobraźni. Gdyby monarsze dziecięciu przyszło do głowy ułaskawić wszystkich kumpli z podwórka, zanim w ogóle coś przeskrobią i pójdą siedzieć, nic by się nie stało. Jeden klaps i po wszystkim. Kiedy po królewsku postępuje w taki sposób prezydent z upoważnienia posła, sprawa się komplikuje i potem podwórko trzeba długo zamiatać.

Zabawa w króla nie opłaca się nikomu, kto nie jest na tronie. Mimo to w żadnym ustroju nie brakowało nigdy śmiałków gotowych na serio przejąć i samemu potrzymać berło. Zawsze też, nawet w najbardziej opresyjnych systemach, znajdują się odważni, poeci, publicyści, a nawet dworscy trefnisie, którzy zrobiwszy sobie puklerz ze zdania „Gdybym był królem", potrafią powiedzieć władzy (władcy, satrapie) to, czego nikt ze strachu nie mówi głośno.

Dopada i mnie taka potrzeba.

Gdybym był królem, zaprosiłbym do siebie na zamek pisarzy i, poczęstowawszy kawą, przemówiłbym do nich tak:

– Panie i Panowie, nie jestem ani znawcą, ani miłośnikiem literatury pięknej, toteż na moje osobiste zainteresowanie liczyć nie możecie. Jestem bardzo zajęty.

Dzieci w rolach monarchów sprawdzają się lepiej niż dorośli, którym się wydaje, że są królami.

Nie zamierzam wcale korzystać z waszych usług doraźnych. Nie będę was opłacał za pochlebstwa ani za propagandę moich zamiarów. Nie przywiązuję wagi politycznej do waszych poczynań. Myślę, że normalne, czynne społeczeństwo nie kieruje się w swoich odruchach nastrojami poddanymi przez literaturę. Hasło rzucone przez poezję działa tylko na społeczeństwo będące w stanie nerwicy, a właściwie tylko na jego szczególne grupy – więc aby literatura mogła spowodować konkretne skutki polityczne, społeczeństwo musi się znaleźć pod wpływem owych grup podatnych na poetyckie inspiracje, to zaś zdarza się tylko wtedy, gdy władza polityczna z jakiegoś powodu przestaje funkcjonować, gdy większość społeczna traci świadomość swojej siły i wartości albo gdy wróg podbije i zajmie ojczyznę. Za mojego panowania to się nie zdarzy.

Ja waszych powieści ani wierszy czytać nie będę, ale wiem, że one świadczyć będą o mnie i o moim panowaniu. Róbcie swoje. Wasze sukcesy zaliczę do swoich sukcesów, wasze niepowodzenie będzie moim niepowodzeniem.

Całym tym wystąpieniem udaję tutaj nie tylko zwykłego władcę, ale też pisarza, króla polskiej eseistyki i felietonistyki Andrzeja Kijowskiego. Kradnę mu także tytuł. Choć tekstów zaczynających się od słów „Gdybym był królem" są tysiące, wskazuję tego Autora jako prawowitego właściciela, bo on za mojej pamięci zapłacił najwięcej za tę niewinną retorycznie zabawę w monarchę, w czasach kiedy rządził I sekretarz. Ten z jego felietonów drukowanych w latach 1970-1971 w „Tygodniku Powszechnym" 15 lat czekał na wydanie w książkowym zbiorze.

Dzisiaj król nie musi zwoływać wszystkich twórców i stawiać kawy. Wystarczy, że puści stosownego tweeta. Tyle że nie wiadomo, kogo namówić do zabawy we władcę, kiedy nasz władca nie ma ani Twittera, ani zamku, ani własnego tronu, żadnego atrybutu władzy ani tytułu. Wypadałoby, żeby ćwierknął w tej sprawie Piotr I Gliński i dał wreszcie spokój ludziom teatru, festiwalom i reżyserom.

Za Kijowskim odezwę się wtedy do wielkiego Piotra:

– *Sire*, niech nas Bóg broni od twojej opieki. Twoje literackie zamiłowania dla nas i dla kraju byłyby nieszczęściem. Rób swoje, *Sire*, myśl o przyśpieszeniu wszystkich obrotów życia. Ani się obejrzysz, jak nasza wyobraźnia pomnoży wyobraźnię twoich konstruktorów i twoją własną i jak ty sam zaczniesz naszymi przemawiać słowami. ■

FOT. YOUTUBE.COM

eprasa.pl 24736a12dd

POLSKICH FILMÓW W ROSJI NIE MA

Rosjanie są gotowi na dyskusje. Prowokują je nasze filmy, szkoda, że tylko w obiegu festiwalowym

Artur Zaborski
Korespondencja z Moskwy

Festiwalowi Polskich Filmów „Wisła" w Rosji stuknęło 10 lat. Przez dekadę impreza, którą zarządza prezes Fundacji „Wspieram" Małgorzata Szlagowska-Skulska, zdążyła się wpisać w tamtejszy krajobraz wydarzeń artystycznych, zaznaczając swoją pozycję i niezależność.

Rosyjska publiczność nie zwykła zamiatać niewygodnych kwestii pod dywan, a organizatorzy festiwalu nie poddają się cenzurze. Chociaż w Rosji obowiązuje zakaz propagowania homoseksualizmu, podczas Wisły pokazywano w poprzednich latach „W imię…" Małgorzaty Szumowskiej i „Płynące wieżowce" Tomasza Wasilewskiego. W programie znalazł się też obraz Leszka Dawida „Jesteś Bogiem", mimo że rosyjskie prawo zabrania używać w filmach przekleństw. W tym roku organizatorzy również nie unikali trudnych tematów i zaprezentowali rosyjskim widzom „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego czy „Sztukę kochania" Marii Sadowskiej, w której reżyserka przypomniała postać Michaliny Wisłockiej, żyjącej w miłosnym trójkącie z mężem i przyjaciółką. Trudne tematy prowokują ostre dyskusje – będące integralną częścią festiwalu.

DOCIEKAJĄ I DZIĘKUJĄ

Trzeba zaznaczyć, że pod tym kątem rosyjska publiczność jest wyjątkowa i wyróżnia się na tle innych dociekliwością. Rosjanie mają mnóstwo pytań i to z powodu ich nadmiaru trzeba spotkania przerywać, a nie ze względu na brak zainteresowania. Dyskusje po seansach przenoszą się do kuluarów. Nie ma znaczenia, czy gościem jest reżyser, aktor czy producent, widzowie gotowi są konfrontować się z każdym, każdemu też za obejrzany film dziękują. Bo to także norma, że zanim zadadzą pytanie, Rosjanie dziękują za film, który mogli obejrzeć, czym zaskarbiają sobie sympatię twórców.

Wśród nich jest Wojciech Staroń, którego „Braci" pokazano w tym roku na festiwalu. Reżyser podkreśla, że uwielbia rosyjskich widzów, a jego wewnętrzne odczuwanie świata jest podobne do sposobu odbierania go przez Rosjan. – W Rosji o pewnych rzeczach mówi się od razu, o rzeczach najważniejszych, o tym, co człowiek ma na dnie duszy. Tu ludzie widzą i czują więcej, bo wywodzą się z kultury ikony. Obraz jest tylko pomostem do tego, żeby przenieść się w inny, głębszy świat. Właśnie tego szukałem w „Braciach". Chciałem, aby obraz stanowił wyłącznie pretekst do stworzenia filmu o tym, czego tak naprawdę nie widać – mówił na spotkaniu z widzami.

Z młodego pokolenia w Rosji znani są jedynie Mateusz Damięcki, Paweł Deląg, Karolina Gruszka i Joanna Moro.

Wisła to dla Rosjan możliwość zapoznawania się ze stanem nadwiślańskiej kinematografii w każdym jej aspekcie, w dziedzinie fabuły, dokumentu i animacji. Jest jedynym wydarzeniem dającym kompleksowy przegląd dokonań naszych filmowców, które w Rosji pojawiają się bardzo rzadko. – Polskich filmów w Rosji nie ma. Do bardzo ograniczonej dystrybucji w ostatnich latach trafiły „Pokłosie" Władysława Pasikowskiego, bo film miał rosyjskiego koproducenta, „Młyn i krzyż" Lecha Majewskiego, „Imagine" Andrzeja Jakimowskiego i „Sponsoring" Małgorzaty Szumowskiej, też głównie z racji tego, że to koprodukcje europejskie. To wszystko. Pozostałe obrazy w dystrybucji są z Hollywood – mówi Elena Tworkowska, koordynatorka Wisły. Nasze kino pojawia się jedynie w obiegu festiwalowym. Pojedyncze fabuły i dokumenty można znaleźć w programie Moskiewskiego Festiwalu Filmowego i innych dużych imprez.

W rosyjskich kinach dominują filmy hollywoodzkie, a to martwi decydentów. Ministerstwo kultury wpadło nawet na pomysł reglamentowania kina zza oceanu. – Nie jest tajemnicą, że Rosja przeżywa kryzys stosunków międzynarodowych. Pojawiają się bardzo dziwne pomysły, żeby zabronić kina amerykańskiego, zastąpić je czymś lub limitować. Czasem się zastanawiam: gdyby faktycznie zamiast tych 350 filmów amerykańskich rocznie pokazywać 250, a pozostałą pulę zarezerwować na kino europejskie – polskie, czeskie, węgierskie, które w ogóle się nie pojawia w Rosji – może wcale nie byłoby to takie złe? – zastanawia się Leonid Wasiljewicz Pawliuczik, jeden z najbardziej uznanych krytyków filmowych w Rosji.

NIE DLA GARŚCI WIDZÓW

– Jestem przekonany, że wiele polskich filmów ma duży potencjał komercyjny. Na przykład „Bogowie" Łukasza Palkowskiego. Publiczność mogłaby w tym filmie się zakochać. Albo „Body/Ciało" Szumowskiej. To nie jest kino wyszukane, zarezerwowane dla garstki widzów. A „Serce, Serduszko" Kolskiego? Mogłoby być hitem dystrybucji jako świetne kino rodzinne. Zresztą dla Rosjan słuchanie polskich dialogów to także wielka przyjemność, ze względu na podobieństwo języków. Znaczeń niektórych słów możemy się domyślać, inne okazują się czymś zupełnie innym, niż się spodziewamy – komentuje Pawliuczik.

„Smoleńska" nikt nie potraktował poważnie ze względu na artystyczną nieporadność.

eprasa.pl 24736a12dd

Mimo to polskie kino jest od 25 lat nieobecne w Rosji. Nawet obrazy Krzysztofa Zanussiego czy Andrzeja Wajdy, niegdyś hołubionych, nie budzą zainteresowania dystrybutorów. „Obce ciało" Zanussiego wciąż ma szansę trafić do kin, bo jest koprodukcją z Rosją, „Katyń" wyświetlany był jedynie w telewizji, ale już „Tatarak" nie pojawił się ani na dużym, ani na małym ekranie. A jeszcze w latach 80. na nowe filmy tych reżyserów czekano w Rosji najbardziej.

– Polska kinematografia była niewątpliwie jedną z najważniejszych w Europie Wschodniej. Dla nas, Rosjan, była numerem jeden. Filmy Wajdy wywarły na moje pokolenie największy wpływ, jeśli chodzi o kino światowe. Kawalerowicz, Zanussi czy Kieślowski to byli twórcy, na których filmy czekało się jak na zbawienie. Ale i czasy były zupełnie inne. Wtedy przez ekrany rosyjskich kin przewijało się może sześć amerykańskich filmów rocznie. Kino polskie zaś pojawiało się w dużych ilościach. Mógłbym powiedzieć, że wszystko, co we mnie dobre, zawdzięczam kinu polskiemu – wspomina Pawliuczik.

Karolina Gruszka w rosyjskim filmie „Iwan, syn Amira".

OKNO NA ZACHÓD

Świetność naszej kinematografii wynikała nie tylko z jakości. Polska w okresie zimnej wojny uchodziła za okno na Zachód. – W Polsce można było znacznie więcej niż w Związku Radzieckim. Cenzura była łagodniejsza zarówno w przypadku prasy, jak i dzieł kultury. Dla Rosjan wyjazd do Polski był jak dla Polaków wyjazd do Niemiec. Miało się wrażenie obcowania z innym światem. Rosjanie przez dekady dokładnie śledzili polski rynek wydawniczy, a na nowe książki i filmy bardzo czekaliśmy. Tacy aktorzy jak Beata Tyszkiewicz, Barbara Brylska, Stanisław Mikulski, Jerzy Stuhr czy Daniel Olbrychski mieli – i mają, bo to akurat się nie zmieniło – status gwiazd. Ich pojawienie się u nas doprowadzało ludzi do histerii. W okresie Związku Radzieckiego Rosjanie zresztą masowo uczyli się polskiego, bo chcieli mieć dostęp do tej polskiej kultury, która do Rosji nie docierała, a także możliwość zapoznawania się z polską prasą. Powoływanie się na polskie wiadomości miało mniej więcej taki wymiar jak dziś powoływanie się na artykuły „Guardiana" czy „New York Timesa" – tłumaczy rosyjski polonista Denis Viren, wieloletni pracownik Instytutu Polskiego w Moskwie i badacz polskiej kultury.

Po latach zostało wspomnienie dawnej świetności, które ożywa co roku w sylwestra, gdy telewizja emituje film „Szczęśliwego Nowego Roku" Eldara Riazanowa z 1975 r., którego gwiazdą jest Barbara Brylska. Poza tym w telewizji można od czasu do czasu natrafić na „Vabank" i „Seksmisję" Juliusza Machulskiego – komercyjne przeboje dystrybucji, „Rękopis znaleziony w Saragossie" Jerzego Hasa – dla starszego pokolenia Rosjan film kultowy, „Znachora" Jerzego Hoffmana – wielki hit w Związku Radzieckim, czy przypominane seriami „Stawkę większą niż życie" i „Czterech pancernych".

Rosyjska publiczność wyróżnia się na tle innych dociekliwością.

Aktorzy grający w tych filmach wciąż są w Rosji gwiazdami. Kiedy w 2013 r., rok przed śmiercią, pojawił się w Moskwie na Wiśle Stanisław Mikulski, rozdał więcej autografów i zrobił sobie z fanami więcej zdjęć niż polscy celebryci. Nawet przewodnik na Kremlu, starszy mężczyzna posługujący się płynną polszczyzną, nie krył wzruszenia. Wycieczkę zakończył wyznaniem, że nigdy nie spodziewał się, że dostąpi zaszczytu oprowadzania po Kremlu samego pana Stanisława. Podobne reakcje wzbudzali na jednej z poprzednich edycji festiwalu Jerzy Stuhr i Janusz Gajos.

Status tamtych sław jest dla młodych polskich aktorów nieosiągalny (ale i tak wąska grupa rozpoznawalnych Polaków wydaje się liczniejsza niż grupa rozpoznawalnych nad Wisłą aktorów rosyjskich). Z młodego pokolenia w Rosji znani są jedynie Mateusz Damięcki, Paweł Deląg, Karolina Gruszka i Joanna Moro, którzy przewinęli się przez rosyjskie produkcje. Do tego grona ma szansę dołączyć Michalina Olszańska za sprawą roli w kontrowersyjnej „Matyldzie" Aleksieja Uczitiela (premiera zapowiedziana na październik). Film opowiada o romansie tancerki polskiego pochodzenia Matyldy Krzesińskiej z późniejszym carem Mikołajem II i już wzbudza w Rosji emocje. Organizacja Państwo Prawosławne – Święta Ruś rozsyła listy z ostrzeżeniami pod adresem kin, które zdecydują się na projekcję „Matyldy". Niesmak Państwa Prawosławnego budzi ukazanie Mikołaja II, kanonizowanego przez rosyjską Cerkiew, jako niezupełnie świętego. Przeciwko tym działaniom wystąpili rosyjscy filmowcy, którzy przypominają, że podstawą scenariusza są wydarzenia

eprasa.pl 24736a12dd

sprzed koronacji Mikołaja II i jego ślubu z księżniczką heską Alicją.

„SMOLEŃSK" BEZ EMOCJI

Emocje, jakie wzbudza „Matylda", nie przekładają się na stosunek do innych dzieł o relacjach polsko-rosyjskich. „Smoleńsk" Antoniego Krauzego, który Polaków rozpalał na długo przed premierą, w Rosji przeszedł bez echa. Ani w okresie produkcji, ani już po premierze nie zwrócił uwagi rosyjskich mediów. Denis Viren nie ma wątpliwości, że przyczyną jest niska jakość filmu. – W Rosji obrazu Krauzego nikt nie potraktował poważnie ze względu na artystyczną nieporadność. Teoria o zamachu, od której wychodzi scenariusz, jest u nas bardzo dobrze znana. Mamy też świadomość, że jest lansowana w Polsce przez pewną grupę ludzi, ale mało kto bierze to na poważnie. Nie ma u nas dyskusji na ten temat, bo i za bardzo nie ma o czym dyskutować. Ani zwolennicy, ani przeciwnicy aktualnej władzy nie wierzą w teorię o zamachu. Ten temat nie istnieje, a film Krauzego takiego stanu rzeczy nie zmienił, nie wywołał ani kontrowersji, ani dyskusji – mówi badacz.

Wcześniej spodziewanych kontrowersji nie wywołał również „Katyń" Wajdy. Jak podkreśla Viren, powstał on bowiem w czasie, kiedy Polska i Rosja odbyły już debatę na temat zbrodni katyńskiej. Sam film był zamykającą ją ramą, nie kijem włożonym w mrowisko.

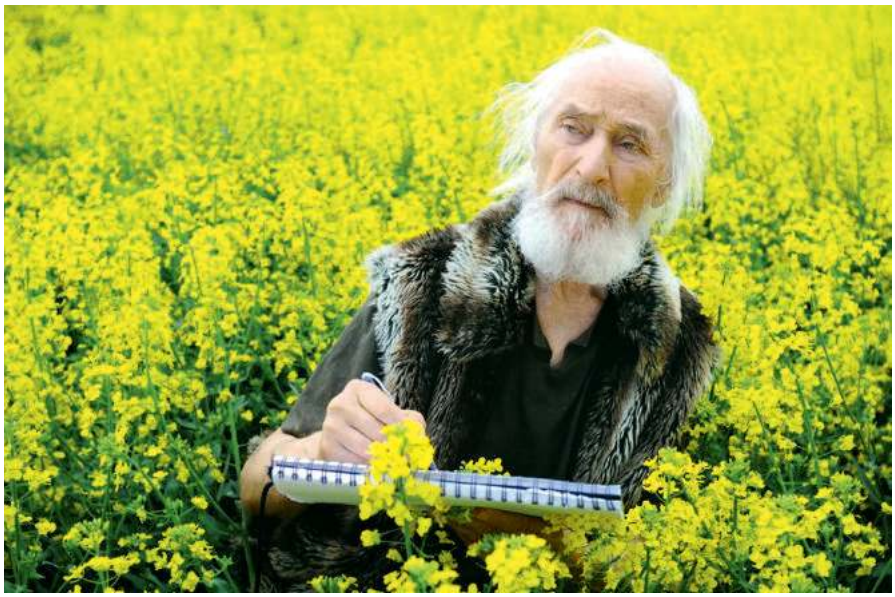

W tym roku na festiwalu pokazano dokument „Bracia" Wojciecha Staronia.

W czasie produkcji ani już po premierze na festiwalach filmowych nie mówiło się w Rosji także o „Wołyniu", którego premiera w ramach Wisły spowodowała duże zamieszanie. Kilka osób wyszło jeszcze w trakcie projekcji, a jak relacjonuje Swietłana Chochriakowa, redaktorka magazynu filmowego „Kultura", z ust z niektórych opuszczających salę miały paść słowa: „Śmierć chachłom", jak obraźliwie określa się Ukraińców. Dyskusja po seansie, w której produkcję reprezentował Lech Dyblik, jedyny polski aktor, który zagrał nie Polaka, tylko Ukraińca, miała wysoką temperaturę głównie za sprawą wyjątkowo oburzonego tematem filmu widza. Mężczyzna, który przedstawił się jako zastępca nieżyjącego rosyjskiego deputowanego Rochlina, zwyzywał twórców od propagandystów nazizmu, mówił o zadawaniu ciosu w plecy Ukrainie będącej w stanie wojny, insynuował, że obraz powstał na zlecenie Federacji Rosyjskiej i za jej pieniądze.

Odosobniony głos nie wytrącił z równowagi biegle posługującego się rosyjskim Lecha Dyblika, którego ojciec urodził się we Lwowie. Aktor podkreślał, że film Smarzowskiego traktuje o narodzinach nacjonalizmu w ogóle i tak został potraktowany przez jury, które przyznało mu główną nagrodę festiwalu właśnie za porażającą artystyczną interpretację zła. Przewodniczący jury Witold Matizen, wiceprezes Izby Krytyków i Filmoznawców Rosji, podkreślił, że potrzeba było wiele odwagi reżysera, żeby podjąć się tematu rzezi wołyńskiej: – Obraz Smarzowskiego wychodzi daleko poza ramy konfliktu polsko-ukraińskiego, dotyczy wszystkich ludzi i pokazuje, jak niebezpieczne są demon nacjonalizmu i religijna propaganda nienawiści zamiast propagandy miłości.

I takie kino z Polski Rosjan dziś najbardziej porusza. Do tej pory z nagrodami z Moskwy wyjechali m.in. Kinga Dębska za „Moje córki krowy", Jerzy Stuhr za „Obywatela", Maria Sadowska za „Dzień kobiet", Marcin Krzyształowicz za „Obławę", Antoni Krauze za „Czarny Czwartek. Janek Wiśniewski padł" czy Wiesław Saniewski za „Bezmiar sprawiedliwości". W uzasadnieniach jurorów można przeczytać o interesującym spojrzeniu na uwikłania człowieka w historię i tryby systemu. Zaangażowane społecznie dramaty, freski historyczne i tragikomedie zdobywają uznanie Rosjan, w których drzemie tęsknota za dokonaniami z okresu PRL, a tamtejsi znawcy kina dziwią się, że nadwiślańscy twórcy nie kontynuują dawnych tradycji.

– Mimo że poziom polskiego kina jest bardzo wysoki, brakuje mi czegoś, co było w starym kinie znad Wisły, mianowicie tego moralnego niepokoju. Brakuje mi filozoficznego spojrzenia oraz poszukiwania głębszego sensu. W polskich filmach nie ma też tego bólu, z jakim mamy do czynienia w nowym kinie rosyjskim, choćby w „Lewiatanie" Andrieja Zwiagincewa czy „Durniu" Jurija Bykowa. A takie mocne akcenty były w starym polskim kinie. Gdzieś się zatraciły, mam wrażenie, że wasi twórcy zapominają o tej wspaniałej tradycji – stwierdził Leonid Wasiljewicz Pawliuczik.

Rosyjscy filmoznawcy dziwią się, że Polacy nie kontynuują tradycji kina moralnego niepokoju.

Polskie filmy, które w ramach Wisły będzie można oglądać w Krasnodarze, Kaliningradzie czy Nowogrodzie Wielkim, potrafią w Rosji wzbudzić dyskusje i kontrowersje, zmusić do refleksji i skłonić do porównań. Która inna kinematografia może się pochwalić takim oddziaływaniem?

Artur Zaborski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 24736a12dd

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

PODSTĘPNA ROŚLINA

Mądralińskie podręczniki cierpliwie tłumaczą, że za trudne zadania należy się samemu nagradzać. Czyli: odskrobię gar po pieczonych jabłkach, a w nagrodę fundnę sobie coś z poniższej listy: seks stulecia, stójkę na łące lub sójkę w lesie. Wszystko jedno, byle cel działał motywująco. Dlatego rok temu, kiedy miałam – jak chce język marketingu – ssanie na pisanie, też sobie coś przyobiecałam. A ponieważ zapowiadała się żmudna praca, nagroda też musiała być szałowa. Jak skończę książkę, kupię sobie roślinę do mieszkania. I będę na nią patrzeć, podlewać ją, a może nawet do niej mówić. Przecież domorosłe ogrodniczki wiedzą, że kwiaty rosną jedynie w świetle porządnej narracji. Bez narracji to i fotosynteza do dupy, i kolor liścia nie ten, i nie kwitnie nadąsany wiecheć. Roślina to jest coś! – pomyślałam i wzięłam się do pracy.

Kończył się wrzesień i ludzie obrazili się na świat: skoro im lato odeszło, to i ochota również. Knajpiane ogródki – jeszcze miesiąc temu obficie zaplute, przez wróble rozdziobane, zasypane petami – zeszły do podziemia. Partie zaczęły rytualne kampanie i w telewizji zaroiło się od „Ja panu nie przerywałem". Biedne dzieci co rano znów taszczyły sto kilo książek w swoich pachnących kanapkami plecakach. I chociaż nauczycielki były jeszcze trochę uśmiechnięte, opalone – było jasne, że dobra karma szybko się wytraca, sezon się skończył i przez pół roku będzie chujnia. A może nawet umrzemy.

OK, nie ma co przesadzać, mówiłam sobie. Koniec września to najlepszy moment, żeby pisać. Nie odciągają uwagi kąpieliska, popijawy na dachu, spontaniczne kręcenie filmików pod wodą, słynne letnie deszcze o zapachu frytek, fajek i nagrzanego asfaltu. Właśnie świetny czas na pisanie. A na koniec kupię sobie roślinkę. Niestety, zapał – słomiany czy papierowy – mija w momencie, kiedy coś, co robimy, NAGLE STAJE SIĘ PRACĄ.

Październik zaczął działać na moją niekorzyść. Niże porywały mnie ze sobą. Nocą starczo chciało mi się spać, a dzień raz po raz stawał się podstępnie „gospodarski". Spraw nie dało się załatwić, bo one wciąż wracały, sabotując rzeczywistość, jakby specjalnie przeszkadzając w procesie. Listopad jakoś przerobiłam, pisząc trochę rano i trochę wieczorem, wprost OTORBIONA kawami, do granic wytrzymałości naszpikowana cukrem. Powieść rosła, ale tempo miało najwyraźniej własne plany na przyszłość. W grudniu nastąpił pierwszy kryzys: szukając w Castoramie abażuru, który ukoi skołatane nerwy, wprost NADZIAŁAM SIĘ na roślinkę. A! Kupię! – pomyślałam. – Kupię na złość, z przekory. Bo w dupie mam całe to niekupowanie. Kupię, żeby ostatecznie upaść i gardzić sobą, użalać się, mieć w końcu jakąś przyjemność.

Wybrałam kaktusa – roślinę mało wymagającą, która nie robi wielkiej afery z pewnego rozkojarzenia swojego opiekuna. Zdecydował fakt, że roślina była w stanie rozkwitu – uznałam, że to dobry znak. Jednak kiedy dotknęłam kwiatu, przekonałam się, że jest zrobiony ze sztucznego tworzywa, a spod spodu wystaje przesadnie rozlany klej. Nie po to czekałam na roślinę, żeby płacić hajs za taki bubel. Wkrótce kryzys minął i cieszyłam się w duchu, że nie kupiłam kaktusa, nie sprzeniewierzyłam się obietnicy.

Niestety, zapał – słomiany czy papierowy – mija, kiedy coś, co robimy, nagle staje się pracą.

Książka powstawała jakby w nagrodę za nieposiadanie kwiatu. Przez chwilę miałam nawet to rzadko spotykane wrażenie, że przejęła kontrolę nad życiem i ogólnie ma niezłą, spontaniczną nawijkę: słowem, tylko tak dalej. Przyszedł luty, miesiąc moich urodzin: planowanie biby, potem coroczne starcia z policją, kłótnia z sąsiadami i deprecha po przyjęciu. Książka jakby zapadła w sen zimowy. Mnie zaś brakowało zieleni. W każdym sklepie, na każdej wystawie, w postaci printu na koszulce, koszulki na iPhone'a, w każdej w ogóle postaci – prześladowała mnie ROŚLINA. Potworna, wszechogarniająca, kusząca. Odwiedzający mnie znajomi pytali znienacka: „Czemu nie masz żadnej rośliny, Agnieszko?", „Dlaczego twoje mieszkanie pozbawione jest kwiatów?", „Ale tu u ciebie zimno, Agnieszko, powinnaś kupić sobie jakąś roślinkę". Co za tani podstęp! Roślina opętała moich przyjaciół. Wyłączyłam telefon, zabarykadowałam się i pisałam. Aż wreszcie – zeszłej niedzieli – skończyłam książkę. Wysłałam ją do mojego redaktora, silnie wzruszona, pełna obaw i przepełniona szczęściem. Jutro jadę po roślinę. Wybiorę bydlę: potężną, o ciemnych, skórzastych liściach. I będę na nią patrzeć. Sprawdzimy, kto kogo pożre.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

NOWA CENA PRENUMERATY

Podwyżka opłat za usługi Poczty Polskiej zmusza nas do zmiany ceny prenumeraty krajowej PRZEGLĄDU

KWARTALNA 79 ZŁ
PÓŁROCZNA 149 ZŁ
ROCZNA 289 ZŁ

Wpłat można dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

Rozmawia Małgorzata Kąkiel

ZOŚKA PAPUŻANKA

– pisarka, nauczycielka języka polskiego. Autorka „Szopki", za którą była nominowana do Paszportu „Polityki" oraz do Nagrody Literackiej Nike. Jej kolejna powieść „On" również była nominowana do Paszportu „Polityki" i otrzymała nominację do Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej dla Autorki Gryfia. Niedawno Papużanka wydała zbiór opowiadań „Świat dla ciebie zrobiłem".

Z LITERATURY MOŻNA SIĘ NAUCZYĆ LITERATURY

UCZCIWIE JEST PISA

Wszystkie wigilie zlewają się w jedną, „jak zupa w wazie, którą Hania wniosła, w jedną kulkę chleba, w jedną gorzką pestkę śliwki z kompotu". Z perspektywy czasu wszystkie święta, rodzinne uroczystości zacierają się w pamięci, ale wciąż powtarzamy rytuały. Często tradycja staje się już tylko pustą formą i bardziej zniewala, niż wzbogaca. Pisze pani o tym w „Szopce", ale równocześnie pokazuje – też w tej książce – jak ojciec znajduje oparcie w przechowywanych we wspomnieniach wiejskich zwyczajach. Jaki jest pani stosunek do tradycji?

– Tradycja jest ważna; ja do rytuałów się przywiązuję i je lubię. Ale uważam, że powinno się je kultywować dopóty, dopóki nie staną się uciążliwe, zanim to, co piękne, zamieni się w banalne. Nie lubię świąt – jednych i drugich. Nie lubię tego nacisku – którego na szczęście nikt już na mnie nie wywiera – że trzeba umyć okna, upiec ciasto, zaprosić ciocię, której się nie znosi. Uwolnienie się od tego poczucia obowiązku przyniosło dużą korzyść mojej psychice. Równie ważne jak kultywowanie tego, co piękne i co ma znaczenie, jest przekształcanie tradycji w taki sposób, jaki nam odpowiada. Bo przecież nie o to chodzi, żeby stała choinka i było 12 wigilijnych potraw, tylko żeby przy stole siedzieli ludzie, którzy się lubią.

Ale czy zmodyfikowana indywidualnie tradycja jest jeszcze tradycją większej wspólnoty?

– Nie mam poczucia jakiejś ogromnej wspólnoty. Nie mam i chyba go nie potrzebuję. Wspólnota może być w tych granicach, w których chcemy; chyba ważniejsze jest, żeby ją budować na zdrowych, niewymuszonych zasadach, niż żeby była liczna. Wspólnota to ci, których lubię i którzy chcą ze mną przy tym stole siedzieć. I taką tradycję możemy sobie zrobić, jeśli już nam zbrzydła inna.

Krytykuje pani rolę matki karmicielki, która zadręcza siebie i rodzinę obowiązkiem wydawania jedzenia. To chyba też element naszej tradycji.

– Zapewne tak. To wynik tradycyjnego podziału obowiązków. Mężczyzna szedł do pracy, zarabiał, wracał i odpoczywał. Kiedy kobiety nie pracowały albo niewiele ich pracowało, naturalne było, że zajmowały się same domem, ale teraz tamta, dawno przyjęta rola coraz bardziej im ciąży. Na szczęście nasze społeczeństwo zaczyna sobie uświadamiać, że nie ma znaczenia płeć; liczy się, czy ktoś umie i chce coś zrobić. U mnie w domu nie ma żadnego sztywnego podziału obowiązków – ten, kto przychodzi pierwszy, robi to, co akurat potrzebne. Sprząta się, bo jest brudno, gotuje się, bo zaraz wrócą dzieci i wszyscy musimy coś zjeść.

A tradycja literacka jest ważna?

– Od niej – myślę – nie możemy się uwolnić. Ba! Nawet nie chcę od niej się uwolnić. Człowiek, który pisze i nie ma świadomości, w jakim świecie literatury znajduje się kartka, nad którą siedzi, okłamuje sam siebie. Myślenie o literaturze jako naczyniu, w którym krążą powtarzające się, korespondujące ze sobą motywy i które pozwala z siebie czerpać, jest mi bliskie. Bo przecież w każdym z nas tkwią fragmenty tego, co przeczytaliśmy, obejrzeliśmy; wiele mówi o nas język, jakim wyrażamy myśli. A ten język też wzięliśmy skądś. Jeśli chodzi o tradycję literacką w szkole…

No tak, pani uczy polskiego w jednej z krakowskich szkół.

– Otóż jeśli chodzi o tradycję literacką w szkole – musi zajmować ważne miejsce. Dzieciaki nie mogą nie mieć świadomości Kochanowskiego czy Mickiewicza. Natomiast jeśli naszym celem jest zachęcenie młodych ludzi do czytania książek, powinniśmy pokazywać im jak najwięcej literatury współczesnej, która mówi o ich świecie i którą oni chcą czytać. Zachęceni, sięgną po następne tytuły. Często coraz ambitniejsze. Do tradycji można więc przejść od literatury współczesnej.

Mówiła pani, że pani uczniowie bardzo chętnie czytają. Wszyscy narzekają, że Polacy rzadko spędzają czas z książką, skąd zatem się biorą pani sukcesy?

– Z tych statystyk mówiących o niskim poziomie czytelnictwa Polaków wynika, że najrzadziej sięgają po książkę panowie na emeryturze. Dzieciaków szkolnych bym broniła, bo one akurat coś przeczytać muszą, więc nawet jeśli są przymuszone – czytają. A jak ja je zachęcam do lektury? Kiedy omówimy wszystkie tytuły obowiązkowe, pozwalam im zaproponować coś, co by chciały przeczytać. Co już znają i chcą zaprezentować kolegom, o czym słyszały, co wydaje im się ciekawe. Dyskutują, uzgadniają i zgłaszają, a ja podejmuję decyzję, wybierając to, co może być źródłem ciekawych lekcji i wartością dla nich. Niedługo będziemy rozmawiać o „Igrzyskach śmierci". To kawał dobrej literatury i będą z tego świetne lekcje.

eprasa.pl 24736a12dd

Ć O TYM, CO SIĘ ZNA

W powieści „On" zawarła pani ostrą krytykę późnopeerelowskiej szkoły. Jak ocenia pani szkołę dzisiejszą?

– Jestem teraz mało wiarygodna, jeśli chodzi o takie oceny, bo pracuję w bardzo dobrej szkole prywatnej. Takie szkoły mają inne możliwości niż placówki państwowe. Myślę jednak, że bardzo wiele zależy od dyrektora, od tego, jaką szkołę chce stworzyć.

W dużym stopniu na pewno wiele od niego zależy, ale jest jeszcze do zrealizowania podstawa programowa, rozmaite wytyczne, terminy, papiery.

– Wszyscy narzekamy na podstawę programową, ja też – bo tam obok tytułów i problemów, które omawiam z młodzieżą z dużą przyjemnością, jest wiele książek, których już od dawna nie powinno być w kanonie. Ich czytanie dzisiaj sprawia wyłącznie kłopot i zniechęca na przyszłość do lektury. Nie znoszę żeromszczyzny, no po prostu nie znoszę, nie umiem powiedzieć młodym ludziom, że to dobre albo że warto. Nie mogę kłamać. Muszę być mobilna. Nauczycielstwo to taki zawód, w którym wielu ludzi szybko się wypala. Mamy 45 minut, kiedy trzeba być na najwyższych obrotach, potem 5-10 minut przerwy i znów 45 na maksymalnych obrotach, więc rzeczywiście zużywa się dużo energii.

W każdym z nas tkwią fragmenty tego, co przeczytaliśmy.

Pewnie dlatego spora część nauczycieli czuje zniechęcenie, ma poczucie beznadziejnego działania, które nikomu się nie przydaje. Kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty. Wtedy nie chce się sięgać po współczesne książki, bo Żeromskiego czy Nałkowską samemu omawiało się w szkole, znajdzie się więc w starych notatkach cytaty, zdefiniowane problemy. Po co przygotowywać lekcje w nowy sposób, skoro można się posłużyć wypracowanymi metodami. No ale nie wszyscy popadają w taki marazm i jeśli uczeń spotka choć jednego zaangażowanego nauczyciela, może spokojnie przejść przez szkolną edukację.

Co kazało pani zająć się literaturą? Mogła pani przecież dalej spokojnie sobie uczyć dzieci jak legion innych nauczycieli.

– Ale ja nadal uczę, nie mam z tym problemu. Nie planowałam wkroczenia do literatury. Kiedyś przeżywałam moment wahania, myślałam, czy nie zacząć czegoś zupełnie nowego. Ponieważ mam dużą umiejętność operowania słowem, mąż zaproponował: napisz książkę, wyślemy do pięciu wydawnictw, jak nikt nie odpowie, damy sobie spokój. Miałam dużo szczęścia, że „Szopka" została zauważona, bo przecież w tym samym czasie ukazało się wiele dobrych książek i nie zostały dostrzeżone.

Potem wyszła druga powieść, „On", też zauważona, teraz zbiór opowiadań. Czyli polubiła pani to drugie życie – literackie.

– Nie umiem już się od tego uwolnić – to jest narkotyczne.

Co? Pisanie, obserwowanie czy roztrząsanie problemu: jak opisać to, co chodzi mi po głowie?

– Obserwowanie jest narkotyczne, a pisanie absolutnie wciągające. Dlatego nie stosuję tego narkotyku codziennie, tylko w dawkach – raz na jakiś czas, bobym się uzależniła zupełnie.

Czy słucha pani rzeczywistości wybiórczo? W „Szopce" i „Onym" zajmuje się pani ludźmi skrzywdzonymi. Ma pani słuch nastawiony na historie osób słabszych?

– Nie. Historie do mnie przychodzą. Siedzę w tramwaju i ktoś obok mnie rzuca takie zdanie, że muszę je od razu zapisać, albo ktoś opowiada mi całą swoją historię. Tak jak w opowiadaniu „Ursa maior". Byliśmy na wakacjach we Włoszech, pewnego dnia podszedł do nas gospodarz, starszy człowiek, pokazał kamienie w ziemi i zaczął opowiadać, jak budował dom. Nie miałam pojęcia, czy mówi prawdę; był przekonany, że na sąsiednim wzgórzu stał zakon

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 24736a12dd

templariuszy i mistrz przychodził do niego na rozmowy. Opowieść tak się zapętliła w nim samym, że nie odróżniał prawdy od fikcji.

Czyli tworzył literaturę.

– Tak, miałam gotową opowieść do spisania.

Piękne jest ostatnie opowiadanie zbioru, „Cykada". Rzecz się dzieje w starożytności.

– Zainspirowała mnie zawartość grobowca, pokazana w jednym z berlińskich muzeów. Dziewczyna, która zmarła tuż przed swoim ślubem, dostała od rodziców wyprawę na życie w zaświatach – zastawę jak z domku dla lalek, maleńkie kałamarze, lampki oliwne, wielką cykadę z kamienia, ikosaedr, orzech z bursztynu. Ten obraz był dla mnie poruszający.

Zakończenie jest filozoficzne. Zrozpaczeni rodzice mówią: wesele, pogrzeb każdy umie zorganizować, ale jak żyć potem, z brakiem? Co jest największym brakiem w ludzkim życiu?

– Odejście kogoś dla nas ważnego. Od kiedy doświadczyłam braku kogoś bardzo bliskiego, łatwiej mi się pogodzić ze strachem przed własną śmiercią. Jedyne, czego się w życiu boję, to odejście moich najbliższych. Ze wszystkim innym sobie poradzę.

Skąd przyszedł do pani pomysł na „Szopkę"? Z „Moralności pani Dulskiej"? Bo we współczesnych realiach powtarza pani schemat: małżeństwo hetery i safanduły, syn podobny do Zbyszka, córka do Meli.

– Zapolską oczywiście znam, ale pisząc powieść, wcale nie myślałam o tym dramacie. To jakoś samo się zrobiło. Ale – jak sądzę – to nic uchybiającego, gdy debiutantkę zestawia się z uznaną pisarką. Dla mnie to był zaszczyt. Poza tym to połączenie jest na płaszczyźnie interpretacji, do której każdy ma prawo.

A skąd się wziął Śpik, bohater książki „On", człowiek dobry, porządny…

– Przede wszystkim bardzo poważnie zaburzony, mający trudności w dostosowaniu się do innych. Nigdy nie spełni oczekiwań rodziców, nie zostanie profesorem uczelni.

Drażni mnie określenie literatura kobieca, oznaczające po prostu literacką szmirę.

Ale jest po ludzku porządny i budzi sympatię, współczucie czytelnika. Był powód, dla którego wybrała pani takiego bohatera? Chciała pani uwrażliwić odbiorców czy akurat takie dziecko zdecydowała się opisać – bez podtekstów? Literatura ma nieść zawsze przesłanie czy można ją od tego uwolnić?

– Budzi współczucie, bo jest głupi i wyśmiewany. I niewiele z tego do niego dociera. Ja niczego nie chciałam, nigdy niczego od czytelnika nie chcę – on sam wybiera to, co z książką zrobi, jak ją przeczyta. Projektowanie tego przez autora albo wymuszanie na czytelniku później byłoby, moim zdaniem, przekroczeniem moich kompetencji. Skoro świadomie daję ten świat odbiorcom, to z pełną zgodą, że mogą w nim buszować i rozumieć go, jak chcą. Do niektórych ta powieść przemawia bardzo osobiście, inni lubią uogólnienia. Nie lubię myśleć o literaturze jak o przesłaniu. Z literatury można się nauczyć literatury tylko. Ale to już bardzo wiele.

Matkę Śpika, chyba jednak główną bohaterkę, każdy polubi.

– To są niesamowite rzeczy, jakie dzieją się z książkami, kiedy autor już je wypuści z rąk. W „Szopce" najważniejszym bohaterem miał być ojciec, a została matka. Hetera, która zdominowała go w fabule, przytłoczyła także w momencie lektury. Najpierw buntowałam się przeciwko takiemu odczytaniu, bo przecież chciałam napisać o czymś zupełnie innym! Potem pomyślałam o istnieniu niezależnego od autora życia książki, dostępnej już powszechnie. Podobnie stało się z „Onym". Miała być opowieść o Śpiku, a nagle prawie wszyscy dostrzegają na pierwszym planie jego matkę, w której nie ma niezgody na Śpika, ale jest wieczna myśl, że jest matką takiego człowieka. Obwinianie się, próba znalezienia wyjścia, wreszcie odnalezienia w sobie prawdy.

Ja też w pani powieściach zwracam uwagę przede wszystkim na postacie kobiece. Jest pani pisarką feministyczną?

– Nie. Myślę, że nie. Bardzo mi przykro, że są na świecie ludzie, którzy bywają traktowani różnie ze względu na płeć. Nie powinno być takich różnic. Dlatego cieszę się, że są też ci, którzy walczą o równość. Natomiast ja nie mam jakichś wielkich inklinacji feministycznych. Być może dlatego, że sama nie doświadczyłam nigdy gorszego traktowania. Za to bardzo mnie drażni określenie literatura kobieca, oznaczające po prostu literacką szmirę. A piszę i prawdopodobnie pisać będę o postaciach kobiecych i z tej perspektywy, bo uczciwie i dobrze jest pisać o tym, co się zna.

Małgorzata Kąkiel

KSIĄŻKA

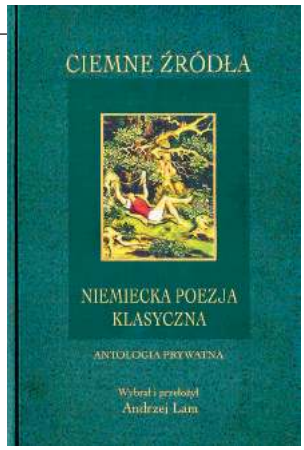

Ciemne źródła
Niemiecka poezja klasyczna
Antologia prywatna
Wybrał i przełożył Andrzej Lam
Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2017

Obszerny wybór przekładów wierszy 71 poetów niemieckich – od początków piśmiennictwa do XXI w., dokonanych w ciągu ostatnich 30 lat przez Andrzeja Lama, historyka literatury i krytyka, profesora nauk humanistycznych. Tłumacz nie pomija dorobku żadnego autora, który znalazł się na szczytach poezji, jak Johann Wolfgang Goethe, Friedrich Schiller, Friedrich Hölderlin, Rainer Maria Rilke, Heinrich Heine, ale przedstawia czytelnikowi także poetów mniej znanych w Polsce, m.in. żyjących na Śląsku, co może szczególnie zainteresować polskich czytelników.

Tom otwiera wiersz anonimowego poety z XII w., a zamykają utwory Heinza Piontka, urodzonego w 1925 r. w Kluczborku. Niektóre zaprezentowane wiersze zostały spopularyzowane w języku niemieckim w formie pieśni Mozarta, Beethovena, Schuberta, Schumanna, Brahmsa, trzeba jednak przyznać, że poza poezją romantyczną niemiecka twórczość poetycka jest u nas mało znana. Można mieć więc nadzieję, że antologia Andrzeja Lama otworzy polskiemu czytelnikowi drzwi do kultury sąsiadów.

E.S.

eprasa.pl 24736a12dd

Oko w oko

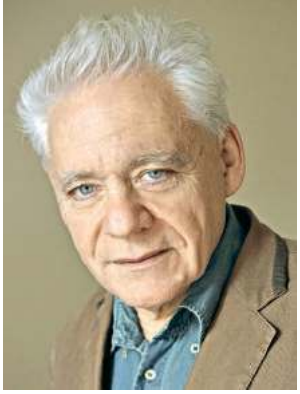

Tomasz Jastrun

POLITYCZNY TRUPIZM

Wraca dawna formuła „Polska nierządem stoi". Zabory, piekło polityczne 20-lecia międzywojennego, okupacja, gnilny czas PRL – to wszystko ogłuszyło Polskę. Obudziła się po roku 1989 i teraz trupy wyłażą z szafy. Do tego ta chorobliwa kłótliwość. Przecież nawet KOD skłócił się wewnętrznie. I na pół jest pęknięta Polska. Już nawet nie mijamy się na schodach – wychodzimy przez okna. Pisałem nieraz, że w czasie podróży po prowincji nie spotykam zwolenników PiS. A przecież ich bez liku. Z socjologicznego i psychologicznego punktu widzenia to fascynujące zjawisko. PiS ma swoje media, swoje uczelnie, swoich pisarzy, teraz walczy o swoje teatry. Wszystko żałosne i karłowate, ale jest. Liberałom trzeba zabrać wszystko, gdyż niszczą ducha narodu. Prezes, Ziobro, Kurski, Macierewicz, Czarnecki i Brudziński jako wyraziciele ducha narodu. Tak samo było przed zaborami. Tylko kto nas teraz chciałby podbić? Nawet Rosja nie ma na to ochoty.

•

Antoś idzie do spowiedzi w rozpaczy, bo nie widzi żadnych swoich grzechów. Mam mu je napisać na kartce. Tego, że poza tym w ogóle nie chodzi do kościoła, nie uważam za grzech. Polski Kościół jest chory, lepiej tam nie chodzić, by się czymś nie zarazić, choćby obskurancckim konserwatyzmem. Oczywiście przesadzam, są dobrzy księża czy choć nieźli księża, czasami jednak ma się ochotę powiedzieć, jak kiedyś antysemici powiadali o Żydach: porządny człowiek, chociaż ksiądz. Całe to chodzenie moich dzieci na religię teraz uważam za nieporozumienie. Rodzice ateiści mają małe szanse wychować wierzące dziecko, ale zdarzają się ludzie z genem wiary. Można to traktować jako naukę podstaw naszej cywilizacji śródziemnomorskiej i tak o tym myślałem, ale da się to osiągnąć w inny sposób, mniej inwazyjny.

PiS ma swoje media, uczelnie, swoich pisarzy, teraz walczy o swoje teatry.

•

Jest taki termin w naszej literaturze: turpizm, sztuka brzydoty, ale można teraz mówić o trupizmie w naszej polityce. To ta słynna gra trumnami, w których rozkładają się rozerwane na strzępy zwłoki tych, którzy zginęli w katastrofie. Meldunki z prosektorium, trzy nogi w trumnie prezydenta. Małgorzata, córka Zbigniewa Wassermanna, donosi: „Śledzionę i serce zamiast w jamie brzusznej zaszyto ojcu w nodze. Nie umyto zwłok po sekcji. Nie zaszyto głowy. Pozostawiono otwartą czaszkę". Co za makabra. Że państwo zawiodło? Gdyby nasze państwo nie było zawodne, nie byłoby tej katastrofy. Są ludzie, którzy chcą mieć bliskie zwłoki w „stanie czystym". Przyjmuję to i szanuję, ale tego nie rozumiem. Grób to tylko symbol. Zmarłego już nie ma, został po nim zaledwie ślad. Przecież Pan Bóg się nie pomyli, wskrzeszając zmarłego. I trafnie napisał Waldek Kuczyński: „Jeżeli zmarli tam nie mieli wrócić zbiorowo w kontenerach i być grzebani po wielu miesiącach, tak się stać musiało. Te pomieszania to były nieprawidłowości, ale wskutek nieuchronności. I jestem pewien, że dawno by to zrozumiano i uznano, gdyby nie fakt, że tragiczny, ale trywialny wypadek lotniczy został przez Kaczyńskiego i PiS wykorzystany do tego, by ofiary Smoleńska zamienić na maczugi bojowe w walce z Platformą i Tuskiem".

•

W niedzielę maraton spotkań z ludźmi. Ani słowa o polityce. Jak się zdaje, już wszyscy mamy dosyć. Poza tym myślimy dokładnie tak samo. Nie ma więc o czym dyskutować. Można tylko powiedzieć: ale się porobiło, jest strasznie i obrzydliwie.

•

Na gali wręczania nagród „Zwierciadła" padają ze sceny słowa odnoszące się do sytuacji politycznej. Na imprezie wielu celebrytów, jest też jednak polska inteligencja. Kilkaset osób, ale wątpię, czy jest choćby jedna, która wyznaje wiarę Prawa i Sprawiedliwości. Spotykam za to dziennikarzy wymiecionych z mediów przez miotłę narodowo-prawicową. Ileż ona już krzywd wyrządziła ludziom. Rozmowa z profesorem psychologii K. Mówimy o tym, że nie można nazywać PiS partią prawicową ani nawet prawicowo-katolicko-narodową, co ja nieraz robię. W Europie partie prawicowe nie podważają demokracji jako takiej. A PiS i Kaczyński tak. To ma być skrajnie scentralizowana władza. Plus nacjonalizm. Więc faszyzm. Łagodny na razie, polski, czyli faszyźmik. Inna sprawa, że nie mogą tego wygrać, za duży będzie opór społeczny. I nie zgodzi się na to Europa, z którą łączy nas już wspólny układ krwionośny.

•

Każdy atak terrorystyczny w Europie nabija punkty PiS. Tych ataków będzie jeszcze wiele, to już widać, bo przykład został dany. A my jako społeczeństwo, naród stajemy się coraz bardziej egotyczni, więc gorsi. Ukochane przez Polaków słowo solidarność brzmi teraz jak kpina. Nie jesteśmy solidarni ze sobą ani z krajami europejskimi, ani z uchodźcami. My, sami kiedyś uchodźcy. PiS niesie na sztandarach hasło „Cel uświęca środki". Ale cel tak potraktowany parszywieje.

Coraz więcej moich znajomych myśli o wyjeździe z Polski. Albo myślą o tym ich dzieci.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

epraśa.pl 24736a12du

KIEPSKI INTERES ŻYĆ DŁUGO

JESTEM MASZYNĄ, KTÓRA ZACZYNA SIĘ PSUĆ

Tomasz Jastrun

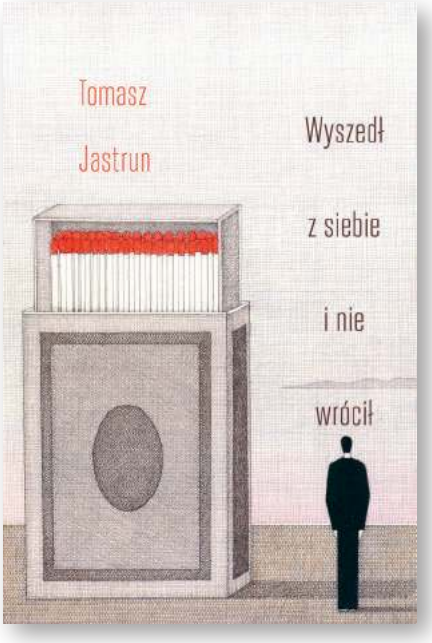

Wkładki

Słuchał radia, gdy nagle zaczął się zmasowany atak reklam: środki na zaparcie polecała kobieta o tak radosnym głosie, jakby była bliżej orgazmu niż wypróżnienia. Wśród reklam pastylek poprawiających erekcję – „Kup tabletkę D i szczycić się będziesz długim i grubym penisem" – podpasek, kremu na hemoroidy, środka na drożdżycę pochwy wpadła mu w ucho reklama wkładek higienicznych dla mężczyzn. „Wkładki męskie zaprojektowane specjalnie dla ciebie, niwelujące przykry zapach, duża chłonność i komfort użytkowania".

To jest coś takiego?! Pomyślał, że wiele reklam dotyczy tego, co z człowieka wycieka bez kontroli. Po doświadczeniach ze starą matką, jej bratem i matką żony Franciszek wie, że częścią horroru starości jest to, że zwieracze już nie trzymają. Dotyczy to także ust. Starzy stają się gadatliwi, słabo słyszą, więc ratują się, mówiąc i plotąc trzy po trzy. Wkładki dla mężczyzn bardzo Franciszka zainteresowały. To chyba nie są wkładki do butów?

Jestem maszyną, która zaczyna się psuć, użalił się nad sobą, pobolewa mnie serce, nawala kręgosłup, mam nadciśnienie, nadwagę, wycieka mi olej. Jestem zagrożony udarem. Strach jednak iść do lekarza. Franciszek przeżył kilka swoich samochodów, był świadkiem ich chorób, leczono je w warsztatach, dokonywano tam przeszczepów części, aż w końcu ledwie żywe oddawane były w cudze ręce, tam dogorywały, by lądować na cmentarzu pojazdów.

Zaszedł do apteki. Tłum, ludzie teraz faszerują się niezliczoną ilością pigułek, dlatego żyją tak długo, na swoje nieszczęście. Kiepski interes żyć długo. Pamięta, że kiedyś, gdy był u matki w domu opieki, pokazano mu obszerną piwnicę, gdzie trzymane są lekarstwa. Wszędzie biegły półki uginające się od lekarstw i stały okryte zieloną ceratą stoły, na których leki były dzielone. Starcy karmieni są jak indyki w tuczarni, długo, coraz dłużej, aż po kres świadomości, kiedy organizm zaczyna się rozpadać, czaszka próbuje wypełznąć z worka twarzy, a skóra zmienia się w pergamin.

Oblicza czekających w aptece były poważne i skupione, jakby nabywali komunię do spożycia rano i wieczorem. Franciszek ponownie nie wykupił psychotropów, był pewien, że są odpowiedzialne za niemoc twórczą i seksualną. Odstawił je nagle, chociaż wiedział, że powinien stopniowo. Nabył za to męskie wkładki higieniczne. Wstyd mu było, więc powiedział, że to dla dziadka. Wcześniej znowu popuścił, tym razem w sklepie spożywczym.

W domu przymierzył wkładkę. Zaczynam nosić pieluszki, pomyślał. Koniec świata. Co za upadek! I zwiesił smętnie głowę.

Ujawnienie

Z Kasią korespondował codziennie. Ostatnio jednak rzadziej odpowiadała na jego listy, pisała krócej i bardziej zdawkowo. Co kiedyś było soczyste, zrobiło się suche. Oddalali się od siebie. Uświadomił sobie, jak ważny był dla niego ten kontakt.

Napisał pięć krótkich listów, odpowiedziało mu milczenie. W końcu

eprasa.pl 24736a12dd

się odezwała. Przesłała mu swoje prawdziwe zdjęcie. Starsza od niego o 10 lat, pewnie nigdy nie była ładna, teraz, pożal się Boże, miała dzieci i wnuki, męża chorego na stwardnienie rozsiane.

Napisała mu prawdę, gdyż jest w sytuacji ostatecznej, dostała diagnozę: ma raka mózgu, nieoperacyjnego, nie może dłużej grać dawnej roli. Jeśli czuje się rozczarowany, to przeprasza, nie miała złych intencji. To będzie test dla ich przyjaźni, ona nadal chce kontynuować tę bliskość.

Wiele reklam dotyczy tego, co z człowieka wycieka bez kontroli.

Franciszek nie wierzył własnym oczom.

– Kurwa! – wrzasnął.

Znowu został wystrychnięty na dudka. Stworzyła fikcję na własny temat, nie ograniczyła się do fotografii młodej, ładnej dziewczyny, opowieści o swojej samotności i problemach w pracy. Śmie pisać: „Test dla ich przyjaźni"? Franciszek ział nienawiścią, po czym przypomniał sobie, że przecież ta kobieta umiera na raka mózgu, ma męża chorego na stwardnienie rozsiane. Jak może się na nią gniewać? Powinien serdecznie jej współczuć. Po czym uświadomił sobie, że to na pewno jest kolejna mistyfikacja: wiek, rak i mąż. I małe miasteczko, gdzie podobno mieszka. A on prawdy nigdy się nie dowie. Nawet jej już nie chce. Czuł, że ktoś bardzo mu bliski umarł śmiercią wrogą, perfidną i nagłą.

Marzena zapytała, czemu jest taki smutny.

– Martwię się, jak spłacimy kredyt – skłamał.

Butelki

Była sobota, wrócił z pracowni do domu, Marzena spała ciężkim snem. Poczuł zapach alkoholu. Chodził nerwowo po mieszkaniu, jakby szukał dowodu, że to nieprawda. Nie wiadomo, co go nakłoniło, by otworzyć drzwi jej szafy. Taka szafa bywa jak jaskinia duszy. To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Była tak szczelnie wypełniona pustymi butelkami, że musiał kilka przytrzymać, aby ich lawina nie runęła na podłogę. Czego tam nie było! Butelki po wódce Absolut, po martini, winie. Zamknął szafę, by znowu ją otworzyć – butelki nadal tam były. Poszedł do pokoju, usiadł na krześle i zanurzył się w sobie. Miał wilgotne czoło i plecy. Zrozumiał, że do tej pory się oszukiwał, a przecież wiedział, że jest uzależniona, tylko odsuwał od siebie tę pewność. Ta podwójność, wiem – nie wiem, często się ludziom zdarza.

Człowiek potrafi godzić w sobie takie sprzeczności. Niektórzy budzą się z fikcji, inni z nią umierają. Podszedł do szafy i począł wyjmować butelki. Ustawiał je wokół łóżka śpiącej, uformowały gęsty szpaler. Zrozumiał, dlaczego czasami tak mocno spała, kiedy wieczorem wracał z pracowni. Upijała się, kiedy go nie było, wracał zwykle późno. Piła sama. To podobno najgorsza forma alkoholizmu. Co to będzie? Usiadł w fotelu i czekał, aż Marzena się obudzi. Minął kwadrans. Zaczął gwizdać. Otworzyła oczy i jęknęła na widok butelek, które patrzyły na nią jak drapieżniki osaczające ofiarę. Zamknęła oczy, udawała, że śpi. Doznał czegoś w rodzaju podłego triumfu, który czuje się czasami na widok czyjegoś nieszczęścia. Problem, że było to ich wspólne nieszczęście.

Szafa bywa jak jaskinia duszy. Ta była szczelnie wypełniona pustymi butelkami.

Pokornie wyniosła wszystkie butelki do kontenera. Dźwigała je z trudem. Nie chciała jego pomocy. Zarzuciła plastikowy worek na plecy i szła zgięta wpół, jakby niosła krzyż. Zrobiło mu się jej żal, bardzo żal. Chciał pomóc nieść ten krzyż, ale zakręciło mu się w głowie. Chyba skok ciśnienia. I tak został z głową w dłoniach, trzymał ją mocno, jakby nie chciał jej stracić.

– Staw, durniu, czoło rzeczywistości – mówił sam do siebie. – Twoja żona jest alkoholiczką, nie chciałeś, durniu, tego zobaczyć, bo to jest dramat. A ty masz dosyć dramatów. To teraz masz jeszcze większy dramat.

Fragmenty książki Tomasza Jastruna *Wyszedł z siebie i nie wrócił*, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2017

KSIĄŻKI

Klemens Krzyżagórski
Nie wszystko jest jasne
Stowarzyszenie Dziennikarzy RP, Warszawa 2017

Zbiór pisanych w latach 50. i 60. reportaży z ziem zachodnich. Przedstawione w nich fakty to szkiełka z mozaiki historii powojennej Polski – znanej z własnych przeżyć starszym czytelnikom i mało znanej młodszym. Niektóre zostały zaprezentowane po raz pierwszy, ponieważ albo czekały na druk, albo do druku nie dopuściła ich cenzura. Dzisiaj tworzą barwną opowieść o czasach, ludziach i miejscach bliskich autorowi, który 21 lat związany był z Wrocławiem.

Jerzy Daniel
Bruzdy
Scriptum, Kielce 2016

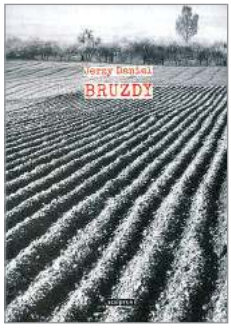

Historie osadzone w scenerii kieleckiej wsi ćwierć wieku po wojnie. Wsi biednej i siermiężnej, znaczonej strzechami, wystającej w kolejkach po sznurek do snopowiązałek, reglamentowany cement i eternit na nowoczesne dachy. Wsi mocno zatopionej w tradycji z jej hierarchią wartości, wśród których jedno z naczelnych miejsc zajmuje ziemia. Zebrane w książce teksty ukazywały się w latach 70. na łamach kieleckiego dziennika „Słowo Ludu".

Jan Żdżarski
Rajd przez życie
Oficyna Wydawnicza Przybylik & Rosner, Warszawa 2016

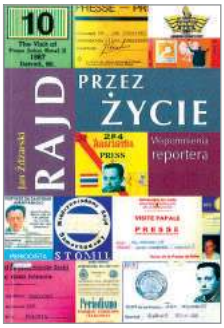

Wspomnienia reportera „Słowa Powszechnego", który przejechał dziesiątki tysięcy kilometrów, aby z bliska obserwować i opisywać sportowe sukcesy Sobiesława Zasady. Później podróżował do kilkudziesięciu krajów, aby uczestniczyć w spotkaniach Jana Pawła II z rodakami mieszkającymi na wszystkich kontynentach, towarzyszył w podróżach prymasowi Józefowi Glempowi. Wydarzenie goniło wydarzenie.

eprasa.pl 24736a12dd

NA EKRANACH

SERCE Z KAMIENIA

reż. Guðmundur Arnar Guðmundsson, prod. Islandia, już w kinach

Islandzkie kino ma się dobrze w przeciwieństwie do jego bohaterów. W docenionym na Warszawskim Festiwalu Filmowym „Sercu z kamienia" Guðmundur Arnar Guðmundsson rozlicza się z własnym dzieciństwem. Na wsi, pośród majestatycznej przyrody, znakomicie tutaj sfotografowanej, dojrzewają dwaj przyjaciele Thór i Kristján. Beztroskę dzieciństwa przerywa budząca się seksualność. Niewinne do tej pory zachowania zaczynają być coraz bardziej dwuznaczne, a słowa – mieć coraz większe znaczenie. Guðmundsson przedstawia wchodzenie w dorosłość z całym okrucieństwem. Ból odzierania z niewinności wylewa się z ekranu, chociaż reżyser jak ognia unika szantażu emocjonalnego. Scenariusz, choć zawiera dramatyczną woltę, nie obfituje w niesamowitości, bo Islandczyk wie, jak z prostej historii o nieakceptowaniu siebie wykrzesać paletę emocji. Tu cofamy się w czasie i oglądamy Islandię sprzed rewolucji liberalnej, kiedy homoseksualizm był traktowany jako zboczenie. Dla Islandczyków ten film to rozliczenie ze wstydliwą przeszłością, dla nas – opis rzeczywistości.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

FRANEK CZEKA NA ŚMIERĆ

Zaczęło się od pogrzebu. Trumnę ze zwłokami wdowy po gen. Sowińskm, obrońcy szańców na Woli, nieśli na ramionach warszawiacy od ulicy Królewskiej aż za rogatki wolskie, na cmentarz kalwiński. Był wśród nich, jak pisze Józef Ignacy Kraszewski, Franek Plewa, student malarstwa. Można więc powiedzieć, że Teatr WARSawy sięgnął po legendę domową – scena mieści się przy Rynku Nowego Miasta, w dawnym kinie Wars, w miejscu, które było teatrem wypadków z początków lat 60. XIX w., poprzedzających wybuch powstania.

Trudno było sobie wyobrazić przeniesienie obrazka Kraszewskiego na scenę. A jednak! Zastygłe wzorce patriotyzmu i Polski katolickiej wypadają drapieżnie w dzisiejszej atmosferze. Brzmi to na scenie ironicznie, groteskowo, także za sprawą figury Matki Boskiej, którą portretuje z talentem komediowym Małgorzata Rożniatowska. Mocną kreację w tym śmiałym przedstawieniu daje również Jolanta Olszewska jako oszalała patriotycznie matka, marząca, aby dziecię złożyć na ołtarzu ojczyzny. Charakterystyczne postacie Edwarda (Marcin Januszkiewicz) i Weterana (Mariusz Drężek) dodają opowieści innych tonów. Powstał spektakl ostro rozliczający się z martyrologiczno-ofiarniczym modelem patriotyzmu, a zarazem z arcykatolickim wychowaniem, które kształtuje postawy ksobne, niechętne obcoplemieńcom, zamknięte w kręgu nienaruszalnych wartości.

Tomasz Miłkowski

„Dziecię Starego Miasta" według Józefa Ignacego Kraszewskiego, reżyseria Cezi Studniak, Teatr WARSawy, premiera 24 maja 2017

ZASŁUCHAJ SIĘ

Aleksander Dębicz & Marcin Zdunik
BACH STORIES

Warner Classics

Dwa krążki pod wspólnym tytułem to dowód miłości uzdolnionych muzyków do twórczości Jana Sebastiana Bacha. Marcin Zdunik na wiolonczeli i Aleksander Dębicz na fortepianie pokazują spory przekrój twórczości lipskiego kantora, nie tylko trzy sonaty skomponowane właśnie na taki zestaw instrumentów, ale również fragmenty kantat, chorały i arie oraz kompozycje organowe, we własnych opracowaniach, gdzie wiolonczela z fortepianem imitują głosy ludzkie albo orkiestrę. I jest prezent dla słuchaczy – autorskie improwizacje, w których także można wyczuć fascynację Bachem. Gra jest swobodna, emocjonalna, piękna przez wyrafinowanie i szacunek dla melodii. To z pewnością nie „muzyka historycznie poinformowana", ale jak najbardziej współczesna. Geniusz Bacha w tym właśnie się objawia.

Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl 24736a12dd

ZAJRZYJ TU

PARA – BUCH! NIE TYLKO ILUSTRACJE EWY I PAWŁA PAWLAKÓW

– Wystawa będzie okazją do prześledzenia różnych etapów powstawania ilustracji – od wstępnych szkiców rejestrujących koncepcję, przez zestawienia licznych wersji elementów poszczególnych ilustracji, np. konkretnych postaci, poprzez fazy pośrednie łączące techniki ręczne z cyfrowymi, po efekty końcowe, z którymi tak naprawdę dane jest nam obcować na co dzień, czyli reprodukcje w książkach – mówi Anita Wincencjusz-Patyna, kuratorka wystawy w całości poświęconej ilustracjom książek dla dzieci. Bohaterowie to wybitni twórcy, dla których tworzenie obrazów do książek stało się niemal misją. A sama ekspozycja mieści się na muzealnym poddaszu. Jej przedostatnią salę oddano do dyspozycji dzieci i rodziców. Można odpocząć na pufach, poczytać książkę, porysować i po prostu pobawić się.

MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU, DO 27 SIERPNIA

FESTIWAL

21. LETNI FESTIWAL OPEROWY

Premierą „Opowieści Hoffmanna" Jacques'a Offenbacha Opera Krakowska rozpoczęła 21. edycję festiwalu, który jak w poprzednich latach prezentuje przedstawienia kończącego się sezonu oraz inscenizacje stworzone tylko na jego potrzeby. Z pewnością powodzeniem cieszyć się będą wystawiane na Wawelu „Arie Oper Świata" (25.06), w których wystąpią soliści Teatru Narodowego w Bratysławie Eva Hornyáková i Daniel Čapkovič, oraz gala baletowa „Grand pas…!". Na Wawelu będzie można obejrzeć również „Carmen" Georges'a Bizeta w reżyserii Laco Adamika. Wielomiesięczny cykl koncertów „Pieśń – Teatr Słowa" zakończy koncert finałowy (16.06) z udziałem Katarzyny Oleś-Blachy, Moniki Korybalskiej, Andrzeja Lamperta i Mariusza Godlewskiego. Miłośnicy jazzu zobaczą na deskach opery spektakl „Dwie historie – jeden taniec" (18 i 19.06) z towarzyszeniem Piotra Orzechowskiego (fortepian) i Krzysztofa Ścierańskiego (gitara basowa).

Szczegóły na: www.opera.krakow.pl

KRAKÓW, DO 2 LIPCA

(pd)

AKCJA

DNI KRÓLA JANA

Wilanów zaprasza na Dni Króla Jana! Będzie można zagrać w bule w królewskim ogrodzie, nauczyć się tańców dworskich, zrobić barokową perukę i obejrzeć galerię żywych obrazów na dziedzińcu. W pałacu i ogrodach wilanowskich goście spotkają się z postaciami ubranymi w stroje z epoki!

Szczegółowy program: www.wilanow-palac.pl.

WARSZAWA, MUZEUM PAŁACU W WILANOWIE, 17-18 CZERWCA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Krystian Piwowarski

JAK ZOSTAŁEM REWOLUCJONISTĄ

Wydawnictwo Carpathia, Rzeszów 2016

„Nikogo nie obchodzi los biednych ludzi", tak rozpoczyna się powieść Krystiana Piwowarskiego, zgryźliwie komentująca rzeczywistość żarłocznego kapitalizmu, który u nas się rozgościł. Widzimy przedstawicieli handlu zdominowanego przez obcy kapitał, zaglądamy do gabinetów polityków i słyszymy, jakimi słowami bronią swoich pozycji, rozmawiamy z pracownikami korporacji, a od czasu do czasu pojawia się także jakiś biedny osobnik, który może budzić współczucie. Główny bohater i narrator niczym Leopold Bloom w „Ulissesie" Joyce'a krąży po wyimaginowanym świecie czy mieście, starając się odkryć mechanizmy chorego systemu, w którym rządzą pieniądz i media, a zwłaszcza telewizja. On sam do biednych nie należy, pracuje w banku, jeździ samochodem, ma elitarne upodobania kulturalne. Dopiero w ostatniej chwili następuje w nim przemiana. Czy na długo mu starczy rewolucyjnej determinacji?

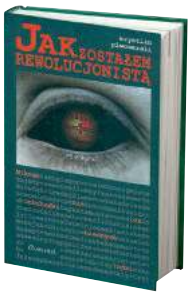

Bronisław Tumiłowicz

Zach Klein, Steven Leckart, Noah Kalina

CABIN PORN. PODRÓŻ PRZEZ MARZENIA, LASY I CHATY NA KRAŃCACH ŚWIATA

tłum. Ewa Wojtych

Smak Słowa, Warszawa 2017

Marzenia, lasy i chaty na krańcach świata? Są takie tytuły, dzięki którym ręce same się wyciągają po książkę. Tytułowe *cabin* to domy, siedliska najczęściej zbudowane własnoręcznie tam, gdzie ktoś znalazł swoje miejsce na ziemi, gdzie lubi przebywać, dokąd ucieka, gdy szuka samotności albo towarzystwa. Zawsze daleko od tego, co na co dzień nie daje takiej satysfakcji jak praca fizyczna przy swoim obejściu. Autorzy tego bogato ilustrowanego zbioru za pośrednictwem historii swoich bohaterów podpowiadają, jak zbudować społeczność, wskrzesić stary bungalow, postawić dom na odludziu lub kilka metrów nad ziemią albo zamieszkać pod ziemią. Przed odważnymi, zdeterminowanymi, a przede wszystkim mającymi taką potrzebę otwiera się wiele możliwości.

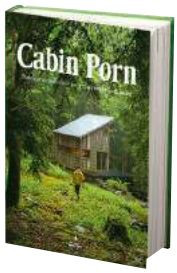

Agata Gogołkiewicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MONIKA KLIMOWICZ, KATARZYNA CHMURA-CEGIEŁKOWSKA, RYSZARD KORNECKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 24736a12dd

Od ponad 50 lat panda wielka jest symbolem ochrony przyrody oraz WWF (Światowego Funduszu na rzecz Przyrody). W ubiegłym roku gatunek zmienił kategorię w Czerwonej Księdze Gatunków Zagrożonych – z zagrożonego na narażony. W ostatnich latach liczba pand żyjących dziko w Chinach wzrosła o niemal jedną piątą, jest ich teraz prawie 2 tys.

Od poczęcia po naukę życia w warunkach naturalnych – kulisy walki o utrzymanie gatunku w Centrum Hodowli Pandy Wielkiej Bifengxia w Ya'an (Chiny) odsłania reportaż „Pandas Gone Wild" Ami Vitale z USA, który otrzymał drugą nagrodę za opowieść w kategorii Natura na World Pres Photo 2017.

FOT. WFP

eprasa.pl 24736a12dd

WORLD PRESS PHOTO

Panda wielka – odrodzona

eprasa.pl 24736a12dd

PIŁKARSKA WIOSNA DLA LEGII

Czy Legia w najbliższych latach może się stać solidnym europejskim klubem?

Maciej Polkowski

W poniedziałek, 5 czerwca, przed południem szef i właściciel Legii Dariusz Mioduski zawiesił na szyi króla Zygmunta III Wazy klubowy szalik. Zanim jednak tradycji stało się zadość, dzień wcześniej kibice Legii przeżyli siedem minut niepewności, a nawet strachu. Spotkanie z Lechią na Łazienkowskiej zakończyło się bezbramkowym remisem i sprawa tytułu zależała od wyniku trwającego jeszcze meczu Jagiellonii z Lechem. Szczęśliwie dla legionistów w Białymstoku było 2:2, ale gdyby gospodarzom udało się zdobyć jeszcze jedną bramkę, tytuł (po raz pierwszy w historii) powędrowałby do stolicy Podlasia. 4 czerwca 2017 r. to jednak Legia Warszawa została piłkarskim mistrzem Polski po raz 12., natomiast Jacek Magiera jako trener menedżer sięgnął po tytuł po raz pierwszy. Ponieważ zaczął pracę 24 września 2016 r., łatwo obliczyć, że dojście do sukcesu zajęło mu 253 dni. Dojście niezwykle trudne, bo mimo że z 25 ostatnich spotkań legioniści przegrali tylko jedno – na czoło Ekstraklasy wyszli dopiero 17 maja, po 34. kolejce.

CELEM (JAK ZAWSZE) MISTRZOSTWO

W lutowym wywiadzie dla PRZEGLĄDU (nr 6/2017) trener Magiera mówił: „W Legii zawsze walczy się tylko o najwyższe trofea. Zostałem tego nauczony przez 18 lat gry i pracy w sztabie w tym klubie. Dla mnie to oczywiste. Obejmując zespół na 14. miejscu w tabeli, trudno było od razu powiedzieć, że jesteśmy na dobrej drodze do obrony tytułu. Nie – wtedy trzeba było krok po kroku odbudowywać morale zespołu. I tylko ten zespół, złożony z tych ludzi, mógł dokonać tego, że z minus 12 zrobiło się jedynie minus cztery. Pracowało na to mnóstwo osób – zawodnicy, sztab, ludzie z biura, kibice. To daje możliwość włączenia się do walki o mistrzostwo Polski i to jest nasz cel".

Kilkanaście minut po czerwcowym meczu z Lechią Magiera powiedział: „Chciałbym mówić o całym sezonie, bo zakończyliśmy go świetnie, tak jak chcieliśmy. Jestem dumny z zespołu, zawodników, sztabu… Duma i jeszcze raz duma. Gratuluję chłopakom, bo zasługują na to jak mało kto. Mecz z Lechią przypominał szachy. Znaliśmy wynik z Białegostoku i chcieliśmy zrobić swoje. Trzeba było odmówić po meczu trzy czy cztery zdrowaśki. Opatrzność była z nami i zdobyliśmy tytuł. Dziesięć minut stresu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Przez ostatni rok wiele się nauczyłem. Zaliczyłem w tym sezonie pięć rodzajów rozgrywek i chyba nie ma drugiej takiej osoby, która musiałaby się dostosowywać do tak różnych realiów. Często musiałem przygotowywać się w autokarze i samolocie, wszędzie szukałem inspiracji i chcę teraz spędzić czas z najbliższymi, nadrobić to. Dziś jednak się cieszymy, ale to historia. Trzeba być sobą, z pokorą podejść do kolejnego dnia".

KONIEC WOJNY PREZESÓW

Pracy Magierze nie ułatwiała wojna między włodarzami stołecznego klubu. Maciej Wandzel, a przede wszystkim Bogusław Leśnodorski i Dariusz Mioduski okładali się za pośrednictwem mediów. Konflikt między współwłaścicielami wybuchł wkrótce po tym, jak spłacili dług wobec ITI. Zamieszki podczas pierwszego meczu w Lidze Mistrzów (0:6 z Borussią Dortmund 14 września 2016 r.) stały się pretekstem do wzajemnych oskarżeń. „Te wydarzenia były momentem granicznym. Nie różnimy się w kwestiach

eprasa.pl 24736a12dd

RADOSNA

Radość legionistów ze zdobycia tytułu mistrza Polski. Razem z nimi cieszył się właściciel klubu Dariusz Mioduski.

podejścia do kibiców. Chodzi o fundamentalny sposób funkcjonowania klubu, aby gra w europejskich pucharach była regułą, a nie dziełem przypadku", oceniał Mioduski. Leśnodorski: „Media nie są dobrą areną pojedynku, ale tak naprawdę od zawsze różnimy się w ocenie różnych sytuacji. Mioduski ma własnych doradców i odizolowuje się. Teraz mu doradzili, że to najlepszy moment na konfrontację, bo pewnych kwestii, jak np. zamknięcie stadionu, nie da się obronić".

Wojna na górze w Legii zakończyła się 22 marca br., kiedy Wandzel i Leśnodorski oficjalnie poinformowali, że odsprzedali swoje udziały (po 20%) Mioduskiemu, który stał się jedynym właścicielem klubu. Leśnodorski przestał być prezesem zarządu i objął funkcję przewodniczącego rady nadzorczej spółki. Jednak zaledwie dzień po wywalczeniu przez legionistów mistrzostwa kraju poinformował o rezygnacji ze stanowiska w radzie nadzorczej i odejściu z klubu.

KIM PAN JEST, PANIE MIODUSKI?

W najnowszym, majowym rankingu „Piłki Nożnej" – 100 najbardziej znaczących ludzi w polskim futbolu – Dariusz Mioduski został sklasyfikowany na bardzo wysokim, czwartym miejscu. Uzasadnienie: „Wcześniej większościowy udziałowiec, ale bez prawa głosu w decydujących kwestiach, obecnie zaś jedyny właściciel, a także prezes Legii Warszawa. Człowiek, który wymyślił menedżerskie przejęcie sportowej spółki od ITI, a później wraz z Leśnodorskim zrealizował ten projekt. Wizjoner działający w Europejskim Stowarzyszeniu Klubów, który nie boi się głosić publicznie, że aby dogonić europejskich średniaków, budżet naszej Ekstraklasy w ciągu najbliższych lat trzeba podnieść pięciokrotnie. Oby i na to znalazł sposób, choć po przejęciu znacznie większej partii obowiązków przy Łazienkowskiej będzie miał mało wolnego czasu".

„Dariusz Mioduski jest dziś jedną z najważniejszych osób w polskiej piłce. Zwycięska batalia z piekielnie mocnym duetem Bogusław Leśnodorski-Maciej Wandzel wzmocniła jego pozycję – słusznie ocenia Marek Wawrzynowski (WP SportoweFakty) i kontynuuje: – W pierwszym kontakcie właściciel Legii Warszawa robi wielkie wrażenie. Zwłaszcza na ludziach sportu, którzy wychowali się na kontaktach z osobami tzw. *street wise*, różnymi cwaniakami, kombinatorami, dorobkiewiczami. Prawnik po Harvardzie, były dyrektor koncernu Kulczyka, to w piłce przybysz z innego świata. Trudno powiedzieć, czy lepszego. Innego. Dlatego od początku jego związek z Bogusławem Leśnodorskim, piekielnie inteligentnym naturszczykiem, owijającym sobie wokół palca dziennikarzy, a co za tym idzie również kibiców, był dziwny. Wyglądało to trochę, jakby postawić nowoczesny szklany biurowiec obok budynku eleganckiego, stylowego, ale oszpeconego zamkowymi wieżyczkami. Związek na tyle dziwny, że skazany na porażkę. I tak też się stało, choć długo obaj utrzymywali, że się znakomicie uzupełniają. Mioduski w ostatecznej rozgrywce okazał się nie mniej ostrym graczem niż jego przeciwnicy. Dziś, gdy jest zarówno właścicielem, jak i prezesem klubu, to on będzie rozliczany z wyników. Poprzeczka zawieszona jest bardzo wysoko".

LEGIA ZATRUDNIA LEGIONISTÓW

Zdaniem Pawła Gołaszewskiego („Piłka Nożna" nr 14/2017): „Już można odczuć powiew świeżego wiatru w korytarzach przy Łazienkowskiej. Nowym dyrektorem akademii został Jacek Zieliński, który zastąpił na stanowisku Jacka Mazurka. Były reprezentant Polski będzie odpowiedzialny za komplekso-

ERA LEŚNODORSKIEGO (od 10 grudnia 2012 r. do 22 marca 2017 r.)

Blaski

- Mistrzostwo Polski – 2013, 2014, 2016.
- Puchar Polski – 2013, 2015, 2016.
- Udział w fazie grupowej Ligi Mistrzów – 2016 i dwukrotnie (2015 i 2017) w 1/16 finału Ligi Europy.
- Nagroda tygodnika „Piłka Nożna" dla Człowieka Roku 2013 w polskim futbolu.

Cienie

- Kompromitująca wpadka (organizacyjna) w rewanżowym meczu europejskich eliminacji (6 sierpnia 2014 r.) z Celtikiem w Glasgow. Na boisko wszedł nieuprawniony do gry Bartosz Bereszyński, który powinien pauzować za czerwoną kartkę.
- Zatrudnienie norweskiego trenera Henninga Berga (od 1 stycznia 2014 r. do 4 października 2015 r.) oraz albańskiego Besnika Hasiego, który wytrwał na posadzie zaledwie od 3 czerwca do 19 września 2016 r. Nie mogło być inaczej, skoro pięć dni wcześniej legioniści pod jego kierunkiem przegrali u siebie z Borussią Dortmund 0:6!
- Niejasne relacje z kibicami, a raczej kibolami, co skutkowało kolosalnymi stratami, w wysokości kilkunastu milionów złotych, na co składały się kary, koszty koniecznych napraw na trybunach stadionu oraz kilkakrotnych nakazów rozgrywania meczów bez udziału publiczności – z Apollonem Limassol 3 października 2013 r., Trabzonsporem 11 grudnia 2014 r., Ajaxem 26 lutego 2015 r. i Realem 2 listopada 2016 r. Jak ktoś sarkastycznie stwierdził: „Kibice Legii? Najlepsi, bo najdrożsi!".

eprasa.pl 24736a12dd

Sektorówka kibiców Lechii na ostatnim meczu tej kolejki z Legią 4 czerwca.

wy rozwój akademii, która jest oczkiem w głowie prezesa Mioduskiego. To właśnie Zieliński do spółki z Radosławem Mozyrką – koordynatorem do spraw rozwoju akademii – będą mieli największy wpływ na kształt i rozwój młodzieży przy Łazienkowskiej. – Legia będzie klubem, który zawsze walczy o mistrzostwo Polski i gra w fazie grupowej europejskich pucharów. Musimy mieć jednak swoje DNA i wprowadzać wychowanków. Nie stanie się to szybko, ale zamierzamy stworzyć struktury, które do tego doprowadzą – mówił Mioduski. – Pracę Jacka trzeba będzie oceniać dopiero po kilku latach, kiedy zawodnicy, którzy obecnie kształtują się w akademii, będą wchodzić do piłki seniorskiej – mówi w rozmowie z »PN« Tomasz Sokołowski I, wieloletni zawodnik Legii, później trener grup młodzieżowych, a obecnie szkoleniowiec Mazowsza Grójec.

Ściągnięcie Zielińskiego idealnie wpisuje się w aktualną politykę mistrza Polski. Trenerami Legii są jej dwaj byli piłkarze – Jacek Magiera oraz Aleksandar Vuković – którzy kilkanaście lat temu cieszyli się olbrzymią sympatią kibiców i nie stracili jej do dzisiaj. Po półrocznej działalności Magiery przy Łazienkowskiej można śmiało powiedzieć, że była to decyzja najlepsza z możliwych, bo legioniści wskoczyli o poziom wyżej. Z kolei Vuković nie tylko odpowiada za sprawy związane z treningami, ale także bezpośrednio angażuje się podczas meczów oraz dba o odpowiednią atmosferę w szatni. Filmiki z jego udziałem i radością po wygranych meczach już od kilku miesięcy cieszą się wielkim uznaniem wśród kibiców i internautów. Tercet byłych piłkarzy w sztabie szkoleniowym pierwszej drużyny zamyka Lucjan Brychczy – jedna z największych legend w historii stołecznego klubu. Byli piłkarze mają pomagać nie tylko wiedzą merytoryczną, ale przede wszystkim odpowiednio dobierać i kształtować młodych zawodników pod względem charakterologicznym. Wraz z odejściem Leśnodorskiego z klubem pożegnał się Grzegorz Szamotulski, który odpowiadał za szkolenie bramkarzy w akademii, a także pomagał czasami Krzysztofowi Dowhaniowi przy pierwszym zespole. Legia nie zwlekała zbyt długo i już na początku rundy wiosennej zatrudniła innego byłego legionistę i reprezentanta Polski – Wojciecha Kowalewskiego.

Inni byli zawodnicy także mogą liczyć na zatrudnienie w strukturach akademii. Tomasz Sokołowski II jest asystentem trenera w ekipach juniorów z rocznika 2000 i 2001. Od kilku tygodni z młodzieżą pracuje również Tomasz Jarzębowski, który w grudniu zakończył piłkarską karierę. Trzeci Tomasz – Kiełbowicz – też pracował w akademii, ale od kilku miesięcy jako skaut wyszukuje młode talenty. Dyrektorem sportowym jest Michał Żewłakow, który kończył karierę przy Łazienkowskiej. Były kapitan reprezentacji Polski miał odejść z klubu wraz z prezesem Leśnodorskim, jednak Mioduskiemu udało się namówić go na pozostanie na stanowisku".

EUROPEJSKIE MARZENIA

Jak widać, koncepcja jest prosta – w Legii zaczęto zatrudniać legionistów, mając na uwadze nie najbliższy sezon, nie rok czy dwa, lecz znacznie dłuższą perspektywę. Pozostaje zatem uzbroić się w cierpliwość i za poradą dziennikarza sportowego Grzegorza Kalinowskiego, autora powieściowego cyklu „Śmierć frajerom", pozostawać umiarkowanym optymistą: „Styl, styl, styl... Mój Boże, a jakie to ma znaczenie, 20 lat temu styl był wielki, ale kac jeszcze większy. Legia grała pięknie i przegrała z Widzewem 2:3. Wczoraj się doczołgała, ale to problem tych, którzy jej nie przegonili. Styl był z Realem (3:3), ze Sportingiem (1:0), w trzech meczach z Lechem, w Białymstoku z Jagiellonią (4:1) oraz u siebie z Lechią (3:0). Wtedy był styl, wczoraj była męka, a dziś karnawał!".

Czy Legia w najbliższych latach może się stać solidnym europejskim klubem? Na postawione w ten sposób pytanie odpowiedziało sporo, bo 3067, internautów. 72% uważa, że tak, że nie – 28%. Na razie piłkarze stołecznego klubu są hegemonami własnego podwórka. W siedmiu ostatnich wydaniach aż pięciokrotnie sięgali po Puchar Polski, w ciągu pięciu lat czterokrotnie triumfowali w Ekstraklasie. To ostatnie mistrzostwo rodziło się w bólach i niemal każdy podkreśla, że był to najtrudniejszy sezon ze wszystkich. Dlatego już teraz trzeba myśleć o tym, jaka będzie przyszłość zespołu. Nikogo nie powinny dziwić zmiany kadrowe. Jak to w przerwie rozgrywek bywa, kilku graczy może odejść, kilku przyjść. Absolutnym priorytetem wydaje się zatrzymanie najlepszych zawodników, w tym Vadisa Odjidji-Ofoego. Jednak poziom gry, chociażby w ostatnim pojedynku z Lechią, dobitnie pokazał, że do oczekiwanego, wymarzonego pułapu jeszcze daleko, bardzo daleko…

Maciej Polkowski

FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS, KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 24736a12dd

Twarz IV RP

Minister Waszczykowski potwierdził ocenę, którą wyrażaliśmy wielokrotnie.

Stało się to przy okazji dyskusji nad kandydaturą Tomasza Młynarskiego na ambasadora we Francji. Młynarski, dodajmy, jest profesorem w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doświadczenie dyplomatyczne ma zerowe. Niewielkie – w administracji. Bo był przez jakiś czas dyrektorem gabinetu wojewody małopolskiego. Szczerze mówiąc, niewysoka to funkcja i raczej techniczna, ale Waszczykowski za to go chwali. I za co jeszcze? Dlaczego go wybrał?

Wyjaśnia następująco: „Intensywnie poszukiwaliśmy właściwego kandydata, który łączyłby w sobie doświadczenie, wiedzę o Francji, Unii Europejskiej, a jednocześnie po 28 latach od transformacji mógłby być bez wstydu twarzą nowej Polski. Poprzedni, którzy byli odwołani, taką twarzą być nie mogli. Prawda? Mimo że mieli kilkudziesięcioletnie doświadczenie, nie służyło ono nowej Polsce. To jest oczywiste".

No, nie wiem, czy oczywiste. Chyba że, mówiąc „nowa Polska", mamy na myśli inne kraje. Waszczykowski pewnie uważa, że jest nią Polska dzisiejsza, pisowska. W tym sensie ambasador jest dla niego przedstawicielem nie państwa, ale partii, która aktualnie rządzi, czyli PiS.

To zresztą by się zgadzało – bo minister w dalszej części wystąpienia tłumaczył, jacy ambasadorowie są mu potrzebni. „Ambasador musi mieć zdolność powiedzenia czegoś. Zawodowy dyplomata nie musi nic mówić. W stolicach głównych państw potrzeba nam oprócz ludzi, którzy posiadają pewne umiejętności administracyjne i dyplomatyczne, osób, które będą potrafiły przedstawić stanowisko Polski, wyjaśnić, wytłumaczyć, wejść w dyskurs i przedstawić argumenty. Zawodowy dyplomata nie jest szkolony, aby wejść w dyskurs. Jest szkolony, aby ściągać informacje do własnego kraju na temat tego, co się dzieje w innych krajach. Chciałbym, i robię to konsekwentnie od wielu miesięcy, aby w kluczowych placówkach RP za granicą, w kluczowych państwach, byli intelektualiści, którzy mogą być twarzą Polski i podjąć dyskusję w krajach urzędowania".

Kredo Waszczykowskiego na pierwszy rzut oka wygląda logicznie. Owszem, są sytuacje, kiedy na stanowisko ambasadora wysyła się kogoś wyjątkowego, kto poza dyplomatycznymi procedurami może prowadzić efektywną politykę. Kimś takim był Szewach Weiss, ambasador Izraela w Polsce, taką rolę odgrywał w Kijowie Wiktor Czernomyrdin, były rosyjski premier. Człowiekiem tej kategorii był Stanisław Ciosek w Moskwie, a także Jerzy Koźmiński w Waszyngtonie. Ale wszyscy oni są postaciami, które zanim weszły do dyplomacji, zbudowały sobie pozycję w kraju.

Przy całym szacunku, jak można porównywać do nich ambasadorów Młynarskiego, Przyłębskiego (to ten TW z Niemiec), Rzegockiego (Wielka Brytania), Wilczka (USA)?

Owszem, mają tytuły naukowe, ale to bardziej szeregowi pracownicy polskich uczelni niż gwiazdy, które mogłyby zainteresować amerykańskie, niemieckie czy francuskie elity polityczne. Przykład ambasadora Przyłębskiego, który jest dziś w Niemczech obiektem kpin, nie tylko z powodu uporczywego poszukiwania sali kinowej, żeby wyświetlić „Smoleńsk", to potwierdza.

Nie chcę się wyzłośliwiać, mówić: jaka partia, tacy intelektualiści, ale przecież samo się to narzuca.

Attaché

Nie samym duchem człowiek żyje – Jemeńczyk odbiera pomoc żywnościową rozdawaną przez organizacje charytatywne podczas ramadanu. Stolica Jemenu Sana.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 24736a12dd

JOLKA

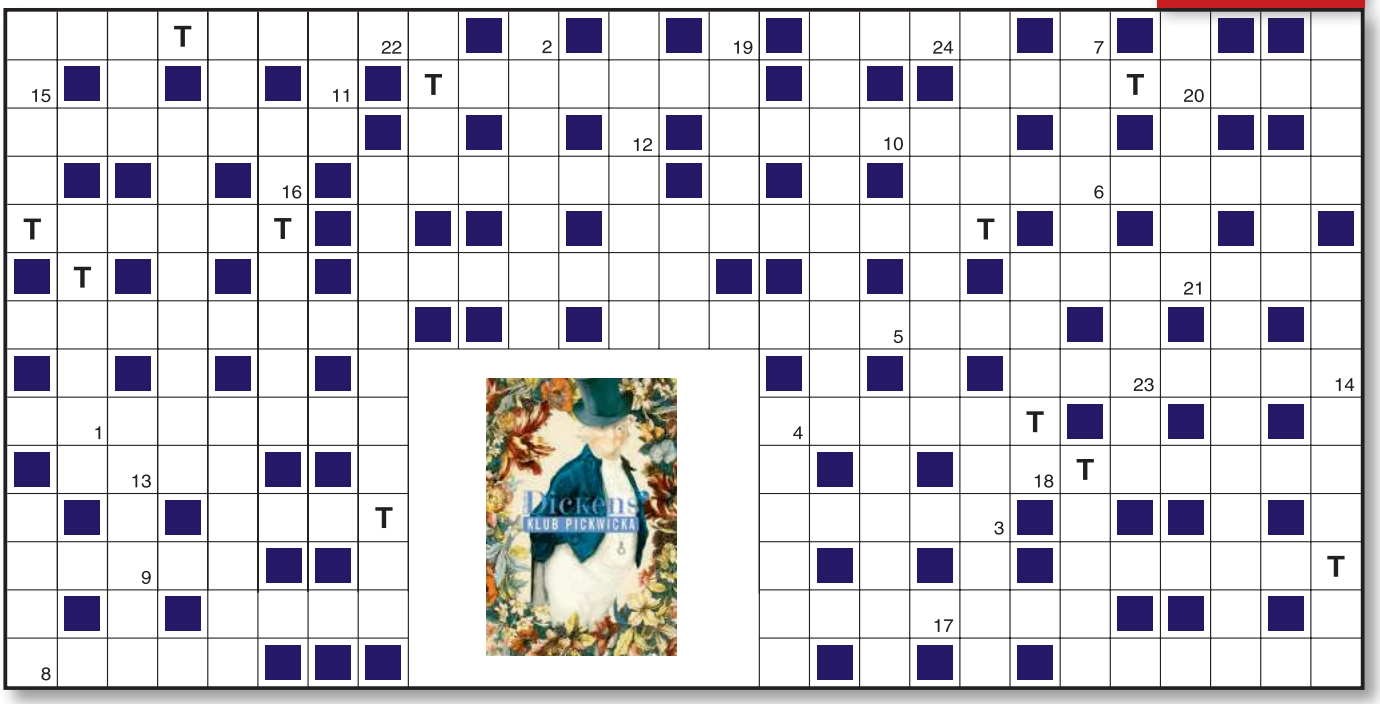

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- wstążka z meszkiem
- glin
- Nowy Świat, ale nie ulica
- herod albo Jaga
- zbędny ciężar, niepotrzebna rzecz
- cicha woda je rwie
- pies wyścigowy
- szpunt w beczce
- Krasowska z „Galerianek”
- uprawniony do rozstrzygania, postanawiania
- słynny wampir z Transylwanii
- płyta dla stolarza
- zdobi lub pokrywa szkliwem
- np. mezozoiczna
- spirytus niepotocznie
- w nim drobna, delikatna rzecz
- cecha Diderotowego Kubusia
- oddział wojska w mieście lub twierdzy
- wenecka łódź
- wielki niedźwiedź z Ameryki Północnej
- inaczej cucha
- dzieje państwa, narodu
- dolina o wąskim dnie i stromych zboczach
- miasto też kojarzące się z piernikiem
- muza ze zwojem papirusu
- disc jockey szczerzył je znad konsolety
- piękności albo świadectw
- zakład wydobywczy
- …mazowiecki to Teofil Lenartowicz
- o gąsienicy
- pukle
- włóczęga (ten lub ta)
- przetacza i zestawia wagony
- żeruje na liściach i pędach
- u Dobraczyńskiego jego listy w tytule
- wyborcza lub majątek rodowy
- z niej Antoni i Marsyliusz
- Staszica lub Elizejski
- …Kołodziej
- częste wytaczanie spraw sądowych
- raduje oczy estety
- duża wolna przestrzeń w mieście
- jedzenie, pożywienie
- nad nim Muszyna i Stary Sącz
- część zdania określająca rzeczownik
- bezludzie
- pozostałość, przeżytek
- jednolatek
- ród królowej Bony
- rurka do picia
- autor „Tajemnic Paryża”
- dziewosłęb
- deska z tartaku
- zespół trzech
- o członku partii Theresy May
- czy to jest rzeka Walgierza?
- i ustawienie zębów, i kłopot
- jeździec w masce i pelerynie

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-810”. Do rozlosowania książki „Klub Pickwicka” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.810.DZIEŃ DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 18 czerwca 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-807” z 28 maja: W naturze nic nie ginie.
Nagrody otrzymują: Włodzimierz Harasiński z Wolina, Dorota Kaczmarek z Gdańska, Lucyna Lachendro z Kęt.

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Odczytaj dwa hasła

2. Zaznacz karty z błędami.

Masz na to minutę.

1

ucz	yci	ele
#na	nny	m#i
że#	być	ch.
#mo	nie	uk#
zęś	szc	Nie
cia	jle	psz	ą.
#są	#na	ą#n	auk

2

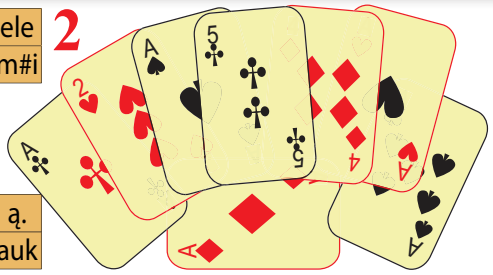

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 24736a12dd

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Przekonywano mnie, że dziennikarzy zastąpią blogerzy. Że dziś warto publikować wyłącznie w internecie. Aż wierzyć się nie chce, że kłótnia na ten temat między dziennikarzami a blogerami, do której doszło na kongresie we Wrocławiu, odbyła się zaledwie sześć lat temu. Buńczuczne hasła, że blogerzy zmiotą stare media z rynku, okazały się fanfaronadą. Gdy czytam teraz o blogerach, którzy na gwałt próbują przeskoczyć do działki wideo, widzę, że wtedy miałem rację. Dłużej klasztora niż przeora.

POLSKA **BARBARA PIWNIK,** SĘDZIA, BYŁA MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Ja, sędzia orzekający od trzydziestu paru lat, znający odczucia społeczne, mogłabym mówić o reformie wymiaru sprawiedliwości wtedy, kiedy proponowano by zmiany bezpośrednio przekładające się na rzeczywistość na sali rozpraw. Gwarantuję, że żadne zmiany w Krajowej Radzie Sądownictwa, żadne zmiany na stanowiskach prezesów nie zmienią nic, jeśli chodzi o sprawność prowadzonych postępowań i satysfakcję społeczną. Będzie jeszcze gorzej.

RZECZPOSPOLITA **WALDEMAR ŻUREK,** SĘDZIA, RZECZNIK KRAJOWEJ RADY SĄDOWNICTWA

Już dzisiaj widzimy sędziów, którzy chcą robić „kariery" w Ministerstwie Sprawiedliwości. Znam takich osobiście i mam nadzieję, że mimo wszystko będą mieli chwilę refleksji, że w swojej pracy przykładają rękę do spraw, którymi być może będą zajmować się Trybunał Stanu czy sądy dyscyplinarne. Liczba sędziów jest na tyle duża, że mogą się znaleźć tacy, którzy zechcą brać udział w procedurze łamiącej ustawę zasadniczą. Mam nadzieję, że są jedynie narzędziem w rękach dzisiejszej większości politycznej.

Twój STYL **AGATA PASSENT,** FELIETONISTKA

Co prawda, Polska jest w ruinie i jej odbudowa może potrwać do 2027 r., ale spora część rodziców nie mieszka już w kawalerkach z ciemną kuchnią. Podejrzewam, że mój ojciec prędzej by zmienił zamek w drzwiach, niż zgodził się na to, by jakiś mój absztyfikant zamieszkał na parę miesięcy razem z nami, a teraz rodzice tolerują nawet adopcje chwilowych pomyłek sercowych swoich dzieci. „Wiesz, ja nawet lubię tę młodzież, która przewija mi się rano przez kuchnię", usłyszałam niedawno od pewnej mamy o postawnym, dwumetrowym chłopie po magisterce, który jest najnowszą miłością jej córeczki.

FOT. AFP/EAST NEWS

Łączy ich piłka… jajowata. Fani British and Irish Lions – zespołu rugby, w którym występują zawodnicy z reprezentacji Anglii, Irlandii, Szkocji i Walii.

Aby język giętki…

LECH WAŁĘSA O JACKU KURSKIM
To największy łotr wśród polityków.

PROF. MIROSŁAW KARWAT O „WIADOMOŚCIACH" TVP
Zostały przetworzone w medium dla kretynów lub obłudników.

ANDRZEJ OLECHOWSKI O UCHODŹCACH
PO obraża mnie barbarzyńską postawą w sprawie uchodźców.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK O DR. MISIO
Kocham Dr. Misio. Nikt lepiej nie pokazał naszego życia publicznego: bylejakości, plastikowości i celebryckości.

KRZYSZTOF VARGA O ARTYSTACH, KTÓRZY LGNĄ DO WŁADZY
Władza może artystę przelecieć z niejaką nawet satysfakcją, ale przecież w nim się nie zakocha.

RYSZARD TYMON TYMAŃSKI O ROSJI
Nie jestem fanem państwa rosyjskiego, ale nie widzę powodu, by się z nim bić.

OLGA TOKARCZUK O KOŚCIELE
Kościół nie tylko nie jest spoiwem, ale wręcz jest instytucją nastawioną na nieustanne szukanie okazji do wykluczeń.

BRONISŁAW KOMOROWSKI O POLOWANIACH
Nigdy nie przestałem polować. Dzisiaj nie mam już żadnych ograniczeń.

WOJCIECH KUCZOK O RUCHU CHORZÓW
Jest synonimem śląskiej dupowatości, azylem nieudacznictwa i niekompetencji. Nie mam już łez, które mógłbym uronić nad pogrzebem tego dziadostwa.

WERONIKA ROSATI O ROZBIERANYCH SCENACH
Zagrałam w ponad 40 filmach, a sceny rozbierane wyłącznie w dwóch. Wszyscy w branży wiedzą, że nie gram takich scen.

MICHAŁ ŻEBROWSKI O NAWYKACH, KTÓRYCH NIE LUBI ŻONA
Owsianka. Więc jadam ją rzadko i zawsze z poczuciem winy.

KATARZYNA BONDA O PISANIU
Kiedy piszę, mam wełniane papucie, a właściwie radzieckie haftowane walonki, które są tak brzydkie, że aż strach.

eprasa.pl 24736a12dd

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

MIESZKANIE ZA GRZANKĘ

Kilka tygodni temu młody australijski milioner Tim Gurner doradził rówieśnikom oszczędzanie na mieszkanie poprzez odmawianie sobie grzanek z awokado, które są popularną śniadaniową przekąską na Zachodzie. W odpowiedzi na słowa milionera powstał właśnie Indeks Grzanek z Awokado, który pokazuje, ilu grzanek trzeba sobie odmówić, żeby kupić mieszkanie w 10 różnych miastach świata. W Berlinie np. byłoby to ok. 7 tys. grzanek, ale już w Londynie prawie 20 tys. Niestety, Warszawa nie została ujęta w wyliczeniach.

CO Z OCZU, TO DO SIECI

Spółka Snap, właściciel popularnej aplikacji Snapchat, rozpoczęła sprzedaż okularów przeciwsłonecznych z funkcją nagrywania filmików z perspektywy oczu użytkownika. Okulary synchronizują się z telefonem, więc filmik od razu trafia do aplikacji. Obraz jest okrągły i ma być wspomnieniem przeniesionym z oczu do smartfona.

BOSKA TECHNOLOGIA

Kościół Ewangelicki na Kongresie Kościelnym w Wittenberdze zaprezentował robota BlessU-2, który w siedmiu

językach czyta wersety Biblii i błogosławi wiernych. Tylko czekać, aż ktoś zaprogramuje robota, by odprawiał msze.

MAJĄTEK W TOREBCE

Padł kolejny aukcyjny rekord – tym razem chodzi o torebkę. Nabywca białej, matowej torebki Birkin marki Hermes ze skóry krokodyla, ozdobionej 18-karatowym złotem i 10-karatowymi diamentami, zapłacił za to cudo 380 tys. dol. Jakoś nie dziwi, że nabywca wolał zachować anonimowość.

BUDYNEK W DRUKU

W Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich powstało pierwsze na świecie biuro wydrukowane technologią 3D. Jego budowa trwała zaledwie 17 dni i kosztowała ok. 140 tys. dol. Biuro nie jest atrapą budynku – co prawda nie jest rozległe, ale w jego pokojach mieści się siedziba Fundacji Przyszłości. Zjednoczone Emiraty Arabskie opracowały już strategię, zgodnie z którą do 2030 roku aż 25% zabudowy Dubaju będą stanowić budynki drukowane w 3D.

ZE SMAKIEM

Kaszotto JANA KURONIA

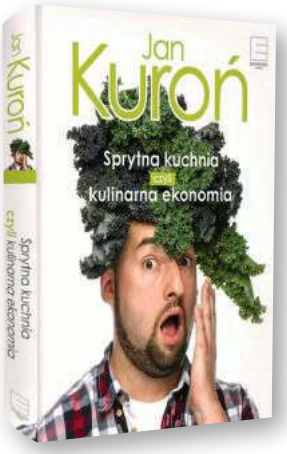

Składniki: 2 łyżki masła klarowanego lub oliwy z oliwek, 3 szalotki, 3 ząbki czosnku, 2 szklanki kaszy jaglanej, 2 marchewki, 3 łodygi selera naciowego, szklanka mrożonego groszku, 800 ml bulionu, kilka krewetek, 70 ml wytrawnego białego wina, pęczek natki pietruszki, sól, pieprz, kilka ziaren ziela angielskiego, 3 liście laurowe, łyżeczka suszonego tymianku.

Na rozgrzanym maśle szklimy szalotki pokrojone w kostkę, a następnie dodajemy do nich płatki czosnku. Po minucie wsypujemy kaszę, tymianek i cały czas mieszając, smażymy przez 2-3 minuty. Następnie podlewamy całość winem, a potem regularnie bulionem po 50-100 ml. Po zużyciu połowy płynu wrzucamy pokrojoną w kostkę marchewkę oraz seler naciowy w kawałkach długości 1 cm. Dodajemy przyprawy. Kontynuujemy dolewanie bulionu do momentu, kiedy kasza zacznie robić się miękka. Wtedy dokładamy zblanszowany groszek oraz krewetki. Po 2-3 minutach zdejmujemy danie z ognia. Serwujemy ze świeżo posiekaną natką pietruszki. Krewetki można zastąpić np. piersią z kurczaka. Mięso pokrojone w paski dodajemy nieco wcześniej niż krewetki.

Przepis pochodzi z książki Jana Kuronia *Sprytna kuchnia, czyli kulinarna ekonomia*, Edipresse Polska, Warszawa 2017

„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY
RDC Warszawa 101 FM DAB+
RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Nieuk nie może być nauczycielem innych. Nieszczęścia są najlepszą nauką.
2. As trefl, dwójka kier, piątka trefl, as kier, as pik

eprasa.pl 24736a12dd

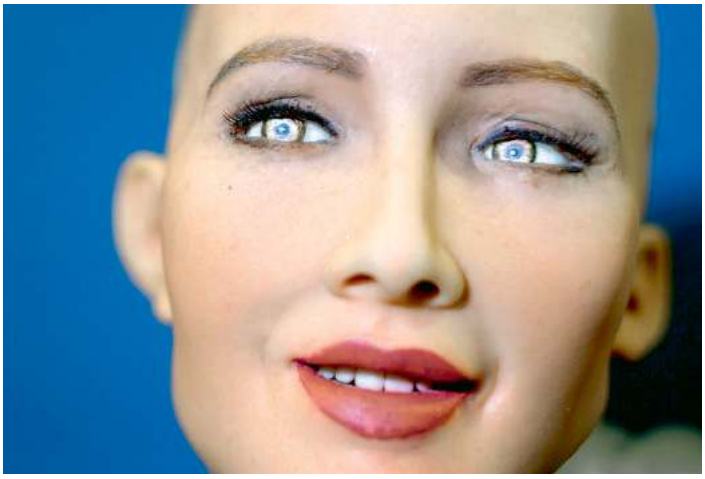

Cybernetyczna bogini mądrości. Sophia – tak twórcy z Hanson Robotics nazwali humanoida, który w przyszłości ma być mądrzejszy od człowieka. Oczywiście w nawiązaniu do tradycji robot jest kobietą.

WYROK ZA KLIKNIĘCIE

45-letni mężczyzna z Zurychu został skazany za lubienie postów na Facebooku – to pierwszy taki przypadek. Mężczyzna polubił bowiem kilka postów, które oskarżały Erwina Kesslera, prezesa stowarzyszenia ochrony zwierząt, o rasizm i antysemityzm. Sąd uznał, że samo lajkowanie ma cechy przestępstwa oszczerstwa. Wyrok jest w zawieszeniu.

OBOWIĄZKI NADE WSZYSTKO

Sieć obiegło kolejne zaskakujące zdjęcie – przedstawia właściciela posesji w prowincji Alberta w Kanadzie, który nie przerwał koszenia trawnika mimo przechodzącego w okolicy ogromnego tornada. Zdjęcie opublikowała w sieci jego żona, która chciała pokazać rodzicom zdjęcia żywiołu, jaki w miejscu ich zamieszkania nie występuje. Kobieta wyjaśniła, że koszenie trawnika należy do obowiązków męża.

KURY DO WYNAJĘCIA!

W Kanadzie panuje moda na miejskie rolnictwo. Kanadyjczykom nie wystarcza jednak uprawa ziół, warzyw i owoców na balkonach czy w małych ogródkach. Nadeszły czasy, kiedy w przydomowych minigospodarstwach spacerują miejskie kury – ptaki można tradycyjnie kupić lub... wynająć na lato.

FOT. AFP/EAST NEWS (2), KURON.COM, ARCHIWUM, MEM NEWS.PL, FB.COM/SEKCJAGIMNASTYCZNA

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 289 zł, półroczna – 149 zł, kwartalna – 79 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 24736a12dd

ĆWICZENIA Z OSWAJANIA

Biuro Wystaw Artystycznych
Jelenia Góra, ul. Długa 1
do 29 lipca
wernisaż 16 czerwca, godz. 18

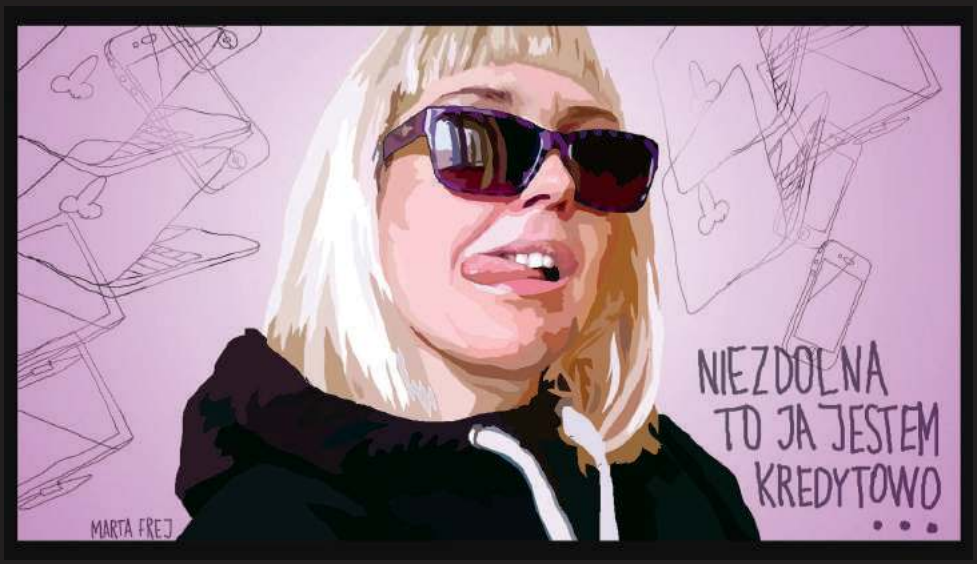

Memy to bez wątpienia jedna z najpopularniejszych form aktywności internautów. Marta Frej postanowiła przenieść ten sposób komentowania wydarzeń na teren sztuki. Powstały dzięki temu rysunki, których wzorzec opiera się na zdjęciach i obrazach znalezionych w sieci. Artystka okrasza je soczystymi komentarzami, które trafnie oddają mechanizmy ludzkich zachowań, choć w głównej mierze dotyczą sfery kobiecości i postrzegania ciała. Jej prace to bodziec do powiększania przestrzeni wolności, nieustannie ograniczanej przez politykę, religię oraz media.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 24736a12dd

Historia pewnego życia
reżyseria Stéphane Brizé
Adaptacja powieści Guya de Maupassanta
73
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY w Wenecji 2016
Nagroda FIPRESCI Konkurs Główny
CEZAR
FRANCUSKA AKADEMIA SZTUKI I TECHNIKI FILMOWEJ
Najlepsza aktorka Judith Chemla
NOMINACJA
W KINACH OD 16 CZERWCA
AURORA
Co-funded by the European Union
Creative Europe MEDIA
uniFrance films

„ODWAŻNY”
★★★★★
VARIETY

„ZASKAKUJĄCY”
★★★★★
INDIEWIRE

„ZMYSŁOWY”
★★★★★
FILM STAGE

„ZACHWYCAJĄCY”
★★★★★
ELLE

„SEKS, ZBRODNIA i ZEMSTA.
UWODZICIELSKIE POŁĄCZENIE”
★★★★★
THE HOLLYWOOD REPORTER

LADY M.

W KINACH
30 CZERWCA

co jest grane24 · K MAG MAGAZYN · FILM film.com.pl · ROOM · G'RLS · Przegląd · MY COMPANY POLSKA · AKTIVIST